

ANNA KŁODZIŃSKA

TRZECI GANG



ROZDZIAŁ 1

Kierowca zwolnił i przez potoki deszczu, zalewające świat, usiłował dojrzeć numery mijanych domów. Każdy z nich oddzielony był od ulicy długim pasmem ogrodu, a tej kwietniowej nocy, ulewnej i wietrznej, wszystkie wydawały się jednakowe. Wreszcie zahamował.

- To tu? - spytała dziewczyna, wyciągając portfel z torebki.

- Aleja Króla dwadzieścia osiem. Tak miało być?

- Dziękuję. - Była mu wdzięczna, że w ogóle zgodził się na jazdę, kawał, drogi od śródmieścia i zupełne pustkowie, tak jej się przynajmniej wydawało, nie znała tej części Warszawy. - Ile płacę?

- Trzydzieści cztery.

Dała pięćdziesiątkę, nie czekając na resztę, kto wie, czy znajdzie pasażera o dziewiątej wieczór w taki deszcz. Wsiadła, przez chwilę mocowała się z oporną parasolką, pod pachą miała dużą teczkę, na ramieniu wisiała torebka.

- Cholera - burknęła, kiedy strużki wody polały jej się za kołnierz. Wreszcie parasolka otworzyła się. Kierowca złamał chorągiewkę taksomierza, rozejrzał się dokoła czy ktoś nie biegnie w jego stronę, ale na szerokich chodnikach i na jezdni nie dostrzegł nikogo, ruszył wolno, w

nadziei, że jednak może po drodze... Nie lubił pustych kursów.

Dziewczyna stanęła przed furtką, szukając dzwonka, nie znalazła go, więc lekko pchnęła drzwiczki. Były otwarte. Szła ostrożnie w kierunku domu, lękając się, czy nie wyskoczy znienacka pies. Kilka schodków, brązowe podwójne drzwi, po prawej dzwonek. Przycisnęła dwa razy, odczekała sekundę i znowu dwa sygnały. Tak było umówione. Po chwili za półkolistą szybą nad drzwiami pojaśniało, usłyszała czyjeś kroki, chrobot zamków, było ich kilka. Nie dziwiła się, w tym domu znajdował się spory majątek.

Mężczyzna, który ukazał się na progu, mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Twarz miał czerstwą, może trochę zbyt rumianą jak na tę porę roku, włosy zaczesane do góry, łysiejące od czoła i szpakowate, nos mięsisty o szerokich nozdrzach, ładnie wykrojone usta. Ubrany był w wełnianą bonżurkę koloru starej wątroby, obramowaną ciemniejszym jedwabiem, i spodnie z szarej flaneli.

- Pani do kogo? - spytał niewyraźnie, w ustach miał na pół wygasłego papierosa.

- Przyjechałam od Henryka - odparła, akcentując imię.

Wypluł niedopałek, uniósł brwi w górę.

- Jakiego Henryka?

- Od Henryka, z „Garścią wiatru”.

Roześmiał się, oparty o drzwi przyglądał się jej rozbawiony.

- Wiatru nie musiała pani przywozić od tego swego Henryka. Mamy go tutaj dość.

- Proszę pana - powiedziała ostrzej, wciąż czuła wilgoć za kołnierzem, była zmęczona - może już wystarczy, co? I tak powiedziałam

za dużo. Powinien się pan domyśleć.

Spojrzał teraz na nią jakoś inaczej, ściągnął gęste brwi. Zmienił mu się również wyraz twarzy, spoważniał. Wahał się jeszcze chwilę, a potem nagle rzekł:

- Proszę, niech pani wejdzie.

Zamknęła parasolkę, otrząsnęła ją z deszczu i weszła do holu. Mężczyzna pomógł jej zdjąć zmoczony płaszcz i czerwony beret. Bez przerwy czuła na sobie jego spojrzenie, uważne i nieufne. Nakazano jej, aby nie wymieniała żadnych nazwisk, żadnych adresów, prócz imienia, które było hasłem. Mimo to postanowiła się upewnić, ta wstępna rozmowa wydała się jej jakaś dziwna.

- Pan Hustecki, prawda? - spytała, patrząc mu prosto w twarz.

Lekki uśmiech pojawił się na jego wargach.

- Przyjeżdża pani i nie wie do kogo? - mruknął. - Proszę do pokoju.

Wskazał ręką, dopiero wtedy zauważyła, że brakowało, mu kciuka u prawej dłoni. Zdziwiła się, pracodawca nic o tym szczególnie nie wspominał. Cóż, może nie uważał tego za istotne.

Weszła do salonu czy jadalni, może było to jedno i drugie razem. Obszerny pokój zapchany był najróżniejszymi meblami, zawieszony obrazami i kinkietami, niczym sklep „Desy”, już na pierwszy rzut oka, było widać, że meble były stare, cenne, dobrze utrzymane, obrazy również.

Na jednej ze ścian stał kominek, paliły się w nim elektryczne czerwone żarówki między sztucznymi polanami, wyglądało to pretensjonalnie i nie pasowało do reszty. Przed kominkiem siedziała kobieta w jedwabnych, czarnych spodniach i czerwonym swetrze patrząc

na nich ze zdziwieniem. Dziewczyna pomyślała, że pewnie jest to córka pana Husteckiego, była od niego o wiele lat młodsza.

- Wando, pani przyjechała od Henryka - rzekł mężczyzna ostrym tonem. - Przywiozła coś dla nas.

Drobna, blada twarz kobiety na chwilę zastygła jakby w zdumieniu, zaraz jednak wypogodziła się. Wstała, zbliżyła się do dziewczyny z grzecznym uśmiechem.

- Dobry wieczór - powiedziała, podając jej rękę. - Wiem, mąż wspominał o pani przyjeździe. Proszę usiąść. Czego się pani napije? Kawy, herbaty?

- Może coś mocniejszego, bo widzę, że pani zmarzła.

- Chętnie - odparła dziewczyna. - Ale może wpierw...

Zawróciła do przedpokoju, mężczyzna wyszedł za nią, ciągle czuła, że ją obserwuje i bezwiednie spojrzała w lustro, poprawiła włosy. Zauważył to, uśmiechnął się.

- To żona? - spytała, ton jej głosu był trochę zaczepny.

- Żona - potwierdził. - Szuka pani czegoś?

- Teczki. O, jest.

- Pomogę pani.

Chwycił teczkę razem z nią, poczuła mocny uścisk pa leć w na swojej ręce oraz zmieszany zapach papierosów i wody kolońskiej.

- Nie trzeba - odparła ze śmiechem. - Sama zaniosę.

Dostrzegła, że kobieta stoi na progu i przygląda się tej scenie, więc trochę zażenowana przeszła obok niej, położyła teczkę na najbliższym fotelu, potem kluczykiem otworzyła dwa boczne zameczki i większy, środkowy. Tamci przypatrywali „się, jak wyjmuje niewielki rulon owinięty

starannie w karton i papier.

Wprawnym ruchem rozwinęła opakowanie.

- To jest właśnie ten obraz - powiedziała z pewną dumą w głosie. - Henryk miał sporo kłopotów, zanim udało mu się go zdobyć dla państwa.

Hustecki wziął płótno, delikatnie rozpostarł w powietrzu.

- Piękna rzecz! - pokręcił głową.

- Owszem - zgodziła się jego żona. - Dobra szkoła.

Obraz przedstawiał konia czystej krwi arabskiej, białego jak mleko, pędzącego przez łąkę w kierunku ciemniejącego w oddali lasu.

- „Garść wiatru” - wyjaśniła dziewczyna, która historię obrazu знаła już na pamięć. - Tak Arabowie mówią na swoje konie. Ten przedstawia potomka rodu Saklawi, Dżahiza. Namalowany został przez francuskiego artystę Claude Perraulta. Dzieło powstało pod koniec ubiegłego wieku, dokładna data nie jest znana. Na odwrocie - wyjęła obraz z ręki Husteckiego i pokazała - jest napis, że... to znaczy, był napis, ale Henryk musiał go usunąć. Państwo rozumieją, oczywiście, dlaczego. Natomiast - znów odwróciła obraz - tutaj, w prawym dolnym rogu, widnieje podpis malarza. Cenę, rzecz jasna, państwo już znają.

- Może jednak pani nam przypomni? - rzekł Hustecki.

- Po co? - wzruszyła ramionami. - Ja przecież pieniędzy nie wezmę. Henryk sam po nie przyjedzie, jak wróci z Wiednia. Ja miałam tylko dostarczyć towar.

- Rozumiem, ale dokładna cena nie była między nami uzgodniona. Henryk miał ją przekazać przez panią. Zapomniała pani? - dodał z naciskiem.

- Nie, skądże? Mówił mi, że czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

- W porządku. To znaczy, że zgodził się na moją propozycję i opuścił o dwadzieścia tysięcy.

Wziął obraz, jeszcze raz mu się przyjrzał, potem zasłonił papierem. Wanda Hustecka nakryła tymczasem na niskim, długim stoliku, postawiła pieczywo, szynkę, kieliszki i butelkę winiaku. Siedli, dziewczyna jadła chętnie, widocznie wygłodniała w podróży, tamci markowali tylko. W pewnej chwili wymienili między sobą spojrzenia, po czym Hustecka rzekła nieco mniej serdecznie:

- Nie możemy pani, niestety, przenocować. Czy ma pani pociąg powrotny?

- Jeżeli nie, to pomogę znaleźć miejsce w hotelu - dodał jej mąż.

- Nie, dziękuję - odparła dziewczyna. - Jest pośpieszny o - dwudziestą trzecią pięćdziesiąt. Chcę być jutro w Gdańsku. Tylko, czym ja dojadę na dworzec? - spojrzała zatroskana w okna, za którymi wciąż jeszcze lał deszcz, chociaż burza oddaliła się na wschód, za Wisłę.

- Ja panią odwiozę. Mam samochód. Właściwie - spojrzał na zegarek - jeżeli chce pani zdążyć, to powinniśmy za chwilę wyjechać.

- Wcale mi się nie chce - przyznała, ociężała po jedzeniu i senna. - No, ale jak trzeba, to trzeba.

Pożegnała się z Hustecką, włożyła płaszcz i beret, zabrała pustą już teczkę. Wyszli przed dom. Gospodarz wyprowadził z garażu szare Volvo i uprzejmie otworzył drzwiczki po swojej prawej stronie. Po chwili ruszyli w stronę śródmieścia.

*

W barze „Pod pieskiem”, nikt nie wiedział, dlaczego go tak nazwano, odbywało się spóźnione wesele. Ślub był rok wcześniej, ale pan

młody zaraz po tej uroczystości musiał zacząć odsiadywać sześciomiesięczny wyrok, przedłużony później o nie spłaconą grzywnę.

Goście weselni składali się w połowie z tych, co niedawno opuścili więzienie, oraz takich, którzy w najbliższej perspektywie pójną siedzieć. Teściowie młodego nie pożałowali grosza na jedzenie i picie, zwłaszcza zaś na to drugie. Ojciec dziewczyny, nad podziw trzeźwy i czujny, dbał o to, żeby przy - stolach nie znaleźli się obcy, których trochę było w knajpie.

Jeden z takich nie zaproszonych wytoczył się właśnie na ulicę prosto pod nogi przechodzącego patrolu milicyjnego. Przyjrzał się plutonowemu, szeroko rozłożył ręce i zawołał na wpół z płaczem: „Mości hetmanie! Bar... wzięty!”, po czym miękko ułożył się pod ścianą, rezygnując z dalszej walki o miejsce przy stole.

- Sprowadź Nysę - mruknął plutonowy do kolegi.

Spojrzał na uchylone drzwi baru, skąd dochodziły chóralne śpiewy i niewielki łomot. Zawahał się. Interweniować? Nikt milicji nie wzywał.

- Bawią się - kapral wzruszył ramionami. - Nie było sygnału do interwencji.

- A Nysa?

- Przyjadą.

Nagie z mroku ulicy wynurzył się jakiś mężczyzna. Był zdyszany, oddychał ciężko i wyraźnie zmierzał w stronę milicjantów. Kiedy się zbliżył, rzekł spieszenie, wskazując ręką za siebie:

- Proszę pana!... Panowie, tam leży... Ona chyba nie żyje!

- Zaraz - plutonowy lubił jasne sytuacje. - Gdzie leży i kto nie żyje?

- Tam, na Lampowej, to taka mała ślepa uliczka na osiedlu. Kobieta.

Młoda. Wcale nie oddycha... Niedaleko stąd.

- Pan zaprowadzi - powiedział milicjant stanowczym tonem.

Zostawili śpiącego pijaka, załoga Nysy da sobie z nim radę i ruszyli spiesznie razem z mężczyzną, który po drodze usiłował opowiedzieć, jak natrafił na leżącą kobietę i co o tym myśli. To drugie na razie mniej interesowało podoficera, liczyły się fakty, w milicyjnym języku - wydarzenia.

Ulica Lampowa jak na ironię oświetlona była jedną samotną latarnią, reszta ginęła w mroku. Właśnie tam, w najciemniejszym miejscu, obok wystawionych dla MPO kubłów ze śmieciami, leżała kobieta. Kapral poświecił latarką, plutonowy schylił się i przyjrzał uważnie. Dotknął ręki, wymacał puls. Bił bardzo słabo, ale bił.

- Ona jeszcze żyje - powiedział. - Wezwij radiowóz i karetkę.

Kapral uruchomił radiostację, powiadomił stanowisko dowodzenia. Tego kolega wraz z młodym mężczyzną w niebieskich dzinsach i brązowej skórzanej kurteczce, który zawiadomił o wypadku, dźwignęli leżącą, plutonowy podłożył jej pod głowę szalik. Wtedy dostrzegł, że jego ręce są mokre od krwi.

Okazało się, że kobieta ma ranę z tyłu czaszki. Każde poruszenie głowy mogło pogorszyć sytuację, należało więc czekać na pogotowie. Wyprostował się, oświetlił teren dokoła. Deszcz ustał może z godzinę temu, ale płaszcz i włosy kobiety były jeszcze mocno wilgotne, widocznie leżała tutaj podczas ulewy albo też porzucono tu ciało, a napadu dokonano w innym miejscu. Nie miała torebki, w ogóle żadnych rzeczy ani dokumentów.

Tymczasem kapral pracowicie wypełniał notatkę służbową, a chłopak w dzinsach odpowiadał na pytania, dotyczące nocnej wyprawy na

Lampową, dokładnego czasu, w którym natknął się na leżącą kobietę, a także i tego, jak ją w tych ciemnościach zauważył. Milicjant był z natury sceptyczny, choć z usposobienia optymistą.

- Nie wiem - rzekł chłopak i zamyślił się na chwilę. - Może potknąłem się o nią? A może jęczała? Nie pamiętam.

- Trzeba pamiętać - przygadał mu kaprał. - Jada. - To ostatnie odnosiło się do radiowozu, który z wolna jechał na Lampową. Tuż za nim pojawiła się karetka. Lekarz obejrzał ranną, założył prowizoryczny opatrunek, zrobił zastrzyk, reszta należała do chirurga. Pojechali na sygnale, tej nocy ostry dyżur miał szpital na Pradze.

- Nie znam jej - powiedział chłopak, chyba po raz dziesiąty. - Szedłem od - kolegi, mieszka tam - pokazał ręką na bloki z osiedla. - Jak zobaczyłem, że leży, pobiegłem szukać milicji. Spotkałem patrol koło baru „Pod pieskiem”.

- Dobrze - mruknął kapitan Kręglewski z Komendy Stołecznej MO. - Nie znaleźliście torebki? - zwrócił się do plutonowego dla porządku, wiedział, że gdyby były dokumenty, to by mu je dali.

- Nie. Nic przy niej nie było. Chyba - zastanowił się - chyba dostała nie tutaj. Przywieźli i rzucili.

- Niekoniecznie, Mogła tędy przechodzić, uderzyli ją i obrabowali. - Poświecił latarką, bo szedł ktoś chodnikiem. Schwytany reflektorem, zatrzymał się i osłaniając ręką oczy wpatrywał się w stojących. Dostrzegł milicyjne mundury, podszedł bliżej.

- Coś się stało? - spytał ostrożnie. - A pan kto?

- Gospodarz domu, Siedlecki Jan. Z Lampowej siedem.

- Czemu pan nie śpi?

- Spałem, ale się zbudziłem, bo dzieciak marudzi, zębki mu wychodzą. Zobaczyłem przez okno karetkę, no i jechała na sygnale, więc wyszedłem.

- Nic pan tu przedtem nie słyszał? Jakiegoś krzyku, zatrzymującego się samochodu?

- Nie.

- Kiedy pan poszedł spać?

- Gdzieś tak... jak się serial skończył. Po dziesiątej, dwudziestej drugiej, znaczy.

- Taka młoda kobieta... - zaczął Kręglewski i urwał. Rannej już nie było, nie miał żadnego zdjęcia, a młodych kobiet mogło być na osiedlu parę tysięcy.

*

Dziewczyna żyła. Chirurg stwierdził niezbyt głębokie naruszenie kości, bardziej groźne było długotrwałe omdlenie i upływ krwi: musiała leżeć na chodniku parę godzin. Dopiero po sześciu dniach otworzyła oczy i spojrzała przytomnie. Po dziesięciu dniach lekarz pozwolił kapitanowi Kręglewskiemu usiąść przy jej łóżku i zadać kilka pytań.

- Nazywam się Magdalena Borek - zaczęła tak cicho, że musiał pochylić się, aby dosłyszeć. - Mieszkam w Gdańsku. - Podała adres - Proszę mi powiedzieć, co się ze mną stało.

- Znaleźliśmy panią leżącą na ulicy. Nieprzytomną, z raną na głowie. Resztę szczegółów chciałbym usłyszeć od pani.

Zbierała myśli, nerwowo zagryzając wargi.

- A torebka i teczka?

- Nie było tam torebki. Ani żadnej teczki, torby czy walizki. Czy pani

przypomina sobie, po co poszła na Lampową?

- Na jaką? Gdzie to jest? - zdziwiła się.

- Ulica Lampowa. Mała, ślepa uliczka na osiedlu. Dolny Mokotów.

Zna pani Warszawę?

- Trochę. Czy to gdzieś w pobliżu alei Króla?

- No, kawałek. A pani była tego wieczoru w alei Króla?

- Nie. Tak tylko przypomniało mi się. Kiedyś tam byłam.

Miał zbyt duże doświadczenie, aby w tej chwili nie zauważyć, że kłamała. Na razie pominął to milczeniem.

- Ja leżałam na tej Lampowej? Jak to się stało?

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Ktoś musiał panią uderzyć w głowę, zabrać torebkę i teczkę. Nic pani nie pamięta?

- Czuję się nie najlepiej szepnęła. Niech pan przyjdzie jutro. Dobrze?

- Dobrze - zgodził się wstając. - Jeszcze tylko jedno. Czy ma pani w Gdańsku jakąś - rodzinę? Trzeba ją przecież zawiadomić o wypadku.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Przymknęła oczy, wyraźnie dając mu do zrozumienia, aby sobie poszedł. Oczywiście, była osłabiona po operacji. Ale zasadniczą przyczyną było to, że do następnego dnia chciała obmyśleć odpowiadającą jej wersję wydarzenia. Spojrzał na nią ponownie, ale nie otworzyła oczu. Wszedł więc i z komendy wysłał radiotelegram do Gdańska, prosząc o wszystkie szczegóły dotyczące Magdaleny Borek, lat dwadzieścia siedem, włosy blond.

*

Obmyśliła dość prawdopodobną historię mającą uzasadnić jej wyprawę do Warszawy. Miała tu daleką krewną ze strony matki, poczciwą staruszkę, którą widywała raz na rok, albo jeszcze rzadziej, ale pisała do

niej regularnie na Boże Narodzenie i na imieniny. Babcia Czarnecka mieszkała na ulicy Czerniakowskiej, w pobliżu Powsińskiej.

- Miałam kilka wolnych dni, chciałam więc babcię odwiedzić - powiedziała, spoglądając na Kręglewskiego wzrokiem osoby chorej, lecz rozumiejącej konieczność odpowiadania na nużące pytania. - Przyjechałam z Gdańska wieczorem. Była burza, deszcz. Nie udało mi się złapać taksówki, wsiadłam do autobusu...Gdzie? - przerwał.

- Obok dworca. Tam jest przystanek.

- Do jakiego autobusu pani wsiadła? Opuściła powieki, westchnęła.

Nie pamiętam. Ale dojechałam nim w okolice Czerniakowskiej. Tam wysiadłam i jedna pani mi powiedziała, że numer trzydzieści sześć jest po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej.

- Tam mieszka pani Czarnecka?

- Tak Przeszłam przez taką kładkę... właściwie mostek nad jezdnią. Strasznie lało i ciągle się błyskało. Bałam się. Wtedy jakiś samochód zatrzymał - cię przy chodniku Kierowca zaproponował, że mnie podwiezie. To nie była taksówka. Zgodziłam się, byłam mokra i zmęczona, Usiadłam obok niego. Ruszyliśmy. Spytał, czy nie zmarzłam, i zaproponował gorącą herbatę z termosu. Wypiłam. Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że herbata miała jakiś dziwny smak. No i potem już nic nie pamiętam. Przytomność odzyskałam dopiero w szpitalu.

- Jaki to był samochód? Marka, kolor?

- Nie wiem, Chyba Fiat-125p. Ciemny Nie przyglądałam się.

- A kierowca? Siedziała pani obok, jak wyglądał?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Miał bardzo jasne długie włosy. Był młody Miał nieduży

kartoflowaty nos - zerknęła na twarz kapitana, zamilkła taktownie - Aha, okulary Kurtkę, chyba w kratę, i szalik. Bez rękawiczek, Nic więcej nie zauważyłam.

- Jakiś napis, naklejki na tablica rozdzielczej? Na szybie? Maskotka?
Potrząsnęła przecząco głową.

- A termos? Jakiego był koloru? Jakiej pojemności?

- Biały, litrowy.

- Piła pani wprost z termosu czy z jakiegoś naczynia?

- Z zakrętki, była wielkości małej filiżanki.

- Musieliście się wtedy chyba zatrzymać, bo przecież trudno było prowadzić wóz, odkręcać termos i nalewać herbatę jednocześnie

- Tak, to było, zanim ruszyliśmy.

- Czy pamięta pani, jak długo jechaliście, nim pani zasnęła, względnie straciła przytomność?

- Może... - wahała się. - Bo ja wiem? Może parę minut.

- Czy jechaliście szybko - dla kapitana ważny był każdy szczegół.

- Nie. Tak normalnie. Nie znam się na tym Umilkł. Chwilę pomyślał, posiedział. W końcu podniósł się z krzesła.

- Zawiadomimy tę krewną Czy wiedziała o pani przyjeździe?

- Nie. Ja nie pisałam. To miała być niespodzianka.

Przerzucił parę stron notatnika.

- Podała mi pani spis przedmiotów, które były w torebce. Nie pominęła pani niczego?

- Chyba nie. Mówiłam o parasolce?

- Tak. Torebka z zawartością, teczka pusta... - twarz jego wyrażała zdziwienie. - Przecież jechała pani w odwiedziny na parę dni. Nic pani nie

zabierała z rzeczy osobistych? Bielizny, szczotki do zębów?

- Tak, oczywiście - uśmiechnęła się blado. To było w teczce. Pizama niebieska z jakiegoś sztucznego tworzywa, szczotka, tubka pasty, mydło. Chyba nic więcej. Mój pobyt w Warszawie miał trwać najwięcej trzy dni.

- Czy na pizamie był znak firmowy pralni?

- Nie. Ja bielizny osobistej nie oddaję do pralni, jedynie pościel i ręczniki. Ale ręcznika nie zabierałam. Zaraz, czy powiedziałam panu że miałam czerwony beret?

Potwierdził ruchem głowy. Czas było kończyć rozmowę. Gdy wrócił do komendy, czekał już tam na niego radiogram z Gdańska. Owszem, kobieta o takim nazwisku mieszka pod wskazanym adresem, zajmuje pokój z kuchnią w starym budownictwie. Pracuje w prywatnym warsztacie złotniczym niejakiego Henryka Kapslera jako siła biurowa z pensją trzy tysiące dwieście złotych. W milicji nie notowana, opinia w miejscu zamieszkania dobra. Niezameżna, nie mająca bliższych krewnych. Aktualnie nie ma jej w domu. Do pracodawcy dzielnicowy nie zgłaszał się, bo nie było polecenia służbowego.

Kręglewski przeczytał depezę z zainteresowaniem. Bądź, co bądź, trochę o Magdalenie Borek już się dowiedział. Napisał notatkę z tego, co mu sama powiedziała w szpitalu, potem zajrzał do pokoju szefa wydziału, pułkownika Daniłowicza. Teraz był w sanatorium i podczas jego nieobecności zastępował go major Szczęsny, pracownik Biura Kryminalnego Komendy Głównej. Szczęsny z Daniłowiczem znali się od wielu lat i mieli do siebie całkowite zaufanie.

Kręglewski był również ich starym znajomym i nieodłącznym towarzyszem w prowadzeniu trudnych spraw kryminalnych, zwłaszcza w

sekcji zabójstw. Siadł teraz obok biurka i położył przed Szczęsnym radiogram wraz z notatką. Szczęsny spojrzał swymi wąskimi, czarnymi oczami najpierw na niego, potem na papiery.

- Powiedz, w czym rzecz - zażądał. - Krótko i treściwie.

Kapitan wyjaśnił, a po chwili dodał:

- Powiem ci szczerze, że nie mam do tych informacji za grosz zaufania.

- Informacji z komendy w Gdańsku? - zdziwił się Szczęsny.

- Nie! Do tego, co mi ta babka naopowiadała. To się kupy nie trzyma. Jednego dnia nic nie pamięta, drugiego znów wszystko sobie przypomina, nawet z drobnymi szczegółami... Że facet miał nos jak kartofel. I co on woził w tym termosie? Środek nasenny? Po co? Chyba że wiedział o przyjeździe dziewczyny i czyhał na nią na Czerniakowskiej, akurat tam, gdzie ona wysiadła. Takie rzeczy może opowiadać swojej babci, a nie mnie.

- Czy ta babcia rzeczywiście istnieje?

- Zaraz się dowiemy Zresztą, to się prawdopodobnie zgadza, tego by nie zmyśliła, ponieważ można to łatwo sprawdzić. Ale cała ta” historia z luminalem, to bujda, no nie?

- Mhm - mruknął major, przeglądając notatkę. - Rzeczywiście, nie wygląda wiarygodnie. Może po prostu przyjechała do Warszawy, żeby się spotkać z jakimś chłopakiem, no i tak się to skończyło, a teraz wstydzi się o tym powiedzieć. Albo może poszła z przygodnym towarzyszem podróży na Lampową, tam dostała po głowie i cześć. Jeżeli przyjąć, że mówi prawdę, to zbyt wiele pieniędzy nie miała, czterysta złotych z groszami, ledwie na bilet powrotny, ale dla jakiegoś żulika dość na małą kolację z

zakropem.

Natalia Czarnecka, siedemdziesięcioletnia kobieta, ale całkiem jeszcze żwawa, potwierdziła to, co kapitan usłyszał poprzednio od Borkówny. Nie spodziewała się przyjazdu wnuczki, ucieszyła się, że Magdalena jest w Warszawie, bardzo się zmartwiła, że dziewczyna miała wypadek i postanowiła ją natychmiast odwiedzić. Mówiła o niej „Madzia”, dodając z uśmiechem: „Tak, jak ta z pensji pani Latter!”

Zastanawiała się, co teraz robić. Właściciel warsztatu i jej szef, Henryk Kapsler, na dzień przed jej wyjazdem do Warszawy wybrał się w dłuższą, bo kilkutygodniową, podróż do Austrii. Z tych względów pozwolił swojej pracownicy, choć nie był z tego zadowolony, dostarczyć „Garść wiatru” do odbiorcy, który ponaglał, ponieważ sam również wybierał się za granicę.

Magdalena rozmyślała o tym wszystkim leżąc na szpitalnym łóżku. Była zadowolona z nieobecności Kapslera, wiedziała, że będzie ją pytał o to, co właściwie zaszło od chwili, kiedy wsiadła z Husteckim do szarego Volvo, a przecież ona sama nie miała o tym pojęcia. Pamiętała dobrze, że ruszyli z alei Króla w ostrym tempie. Ciągłe padał deszcz, bezgłośnie pracowały wycieraczki na przedniej szybie. Patrzyła na nie, czasami spoglądała na kierowcę. Raz złapała jego spojrzenie, wtedy uśmiechnął się i objął ją przez plecy gestem jednoznacznym. Zaraz jednak cofnął rękę. W tym momencie bowiem..

Tak, w tym momencie skręcali w lewo, w jakąś boczną uliczkę. Pomyślała, że w ten sposób skraca sobie drogę do dworca. I to była już ostatnia myśl, jaką zapamiętała. Potem nic - kompletna pustka w głowie. A przecież wtedy coś się musiało stać. Może wpadli na drzewo, może

zderzyli się z innym samochodem. Czy ta boczna uliczka, to była Lampowa? Ale dlaczego tylko ona sama znalazła się na niej, ułożona podobno obok kubłów ze śmieciami? I w takim razie, co się stało z Husteckim i jego wozem?

- Katastrofa - mruknęła do siebie. - Pewnie nie żyje.

- Kto taki? - zainteresowała się pacjentka na sąsiednim łóżku. - Niech pani powie. - Była już prawie zdrowa i nudziła się.

- E, tam! Nie ma o czym - odpowiedziała niechętnie Magdalena. Rozmyślała dalej, zastanawiała się, czy ten kapitan uwierzył w historię o kierowcy z herbatą w termosie Babcia w każdym razie, uwierzyła. Bardzo przejęta przyniosła wnuczce czekoladę i kompot z truskawek i parokrotnie kazała sobie opowiadać, jak to było. Madzia cierpliwie spełniała jej prośbę, zwracając uwagę na to, żeby zawsze było tak samo.

Martwił ją brak torebki, a przede wszystkim dokumentów. Będzie sporo kłopotu z odtwarzaniem ich od nowa, czekaniem Babcia zaoferowała pieniądze na bilet do Gdańska, kupiła piżamę i kilka chusteczek do nosa. Był już początek maja, płaszcz ubrudzony błotem i krwią mogła w ogóle zostawić.

Cokolwiek się stało w ów kwietniowy, burzliwy wieczór, powinna sprawdzić przed powrotem do Gdańska, czy odbiorca „Garści wiatru” w ogóle żyje - postanowiła. Wiedziała, że Kapsler będzie się denerwował, niepokoił, chciała tego uniknąć, z różnych względów zależało jej na pracy w warsztacie.

Kiedy więc w poniedziałek rano opuściła szpital postanowiła przede wszystkim pojechać w aleję Króla, do willi pod numerem dwadzieścia osiem. Na taksówkę nie mogła sobie pozwolić, wsiadła więc do autobusu,

potem kawałek szła pieszo. Willo i domki jednorodzinne były tak do siebie podobne, jakby wszystkie budował jeden architekt według jednego wzoru. Wypatrywała numerów, małych i źle widocznych wśród winorośli pnących się po ścianach. Wreszcie odnalazła.

Tak, to było tutaj. Furtka jak poprzednio trochę uchylona. Kilka schodków, brązowe drzwi - również otwarte. Zawahała się: wejść od razu, czy zadzwonić? W tym momencie zobaczyła, że w ogrodzie ktoś pracuje. Wysoki mężczyzna, łysy jak przysłowiowe kolano, ubrany w luźny sweter i szerokie spodnie, rozkopywał grządkę starannie odkładając ziemię na bok. Zanim zdążyła się odezwać, odwrócił się i dostrzegł ją.

- Pani do kogo? - zapytał.

- Szukam pana Husteckiego

- To ja.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem

- Nio. Skądże! Pan Hustecki wygląda inaczej. Łysy mężczyzna odsunął butem jakiś Korzeń, wsparł się oburącz na łopacie i rzekł ostro:

Moja pani, ja chyba lepiej wiem, kim jestem. Natomiast nie wiem, kim pani.

- Ja tu przecież byłam. W kwietniu, w czasie burzy. Przywiozłam... no, mniejsza. Może tutaj mieszkają jeszcze inni lokatorzy? - była zaniepokojona.

- Nikt inny prócz mnie i zony

- Pani Wandy prawda? - podchwyciła: - Taka drobna blondynka.

Coś jakby uśmiech przeleciał mu po wargach

- Blondynka, to owszem, ale drobną to raczej trudno ją nazwać. I nie Wanda ale Zofia. A w kwietniu pani u" nas nie mogła być, bo

wyjeżdżaliśmy za granicę.

Milczała skonsternowana. W końcu powiedziała ciszej:

- Ja przyjechałam od Henryka

- Jakiego Henryka?

- Z Gdańska. - Nie chciała, nie mogła mówić więcej.

Teraz i on pomilczał chwilę, przypatrując się jej z uwagą. Poprawił pasek przy spodniach, odkasznął

- Po co pani... - zaczął i urwał.

- Henryk nie telefonował, że ja przyjadę?

- Mam w Gdańsku znajomego o tym imieniu - odparł oględnie. -

Owszem, wybierał się z wizytą w kwietniu. Ale ja pisałem, żeby odłożył przyjazd, bo nas me będzie w kraju. Jak się nazywa ten pani Henryk?

- Przecież to jest aleja Króla dwadzieścia osiem? - odpowiedziała pytaniem na pytanie rozglądając się uważnie dokoła. - A w tym pokoju po prawej stronie jest kominek?

- Adres prawidłowy, ale żadnego kominka u nas nie ma i nigdy nie było. I niech mi pani głowy nie zawraca, bo mam robotę. - Odwrócił się, zaczął znowu kopać.

- Proszę pana! - zawołała. - Może tu gdzieś mieszkają inni Hustecey? Te domy są tak do siebie podobne...

Spojrzał na nią, miał zły uśmiech na twarzy.

- Ale numery domów są na każdym inne, moja pani - rzekł ironicznie. - Nie wiem, kim pani jest i po co ta cała komedia. Nic mnie to nie obchodzi. Radziłbym jednak na przyszłość lepiej planować swoje wyjazdy. Ja w żaden szantaż wrobić się nie dam. I niech pani stąd idzie, bo poszczuję psem - takiej groźby się nie spodziewała.

Duży czarny dog jakby dosłyszał, bo ukazał się na ganku i spojrzał na swego pana przekrwionymi ślepiami. Magdalena pobladła. Tamci nie mieli psa - myślała wychodząc na ulicę. Przyjrzała się jeszcze raz: tak, to był numer dwadzieścia osiem. Też taki ogródek przed domem, też... Właśnie, co jeszcze? W deszczu i ciemności słabo rozświetlanej błyskawicami i odległą latarnią nie dostrzegła radnych szczegółów nie zapamiętała nic, prócz wyglądu tamtych ludzi i pokoju, w którym jedli kolację. Kominek, dużo mebli i ciekawych obrazów.

Przystanąła na chodniku, - zrobiło jej się słabo. Ten cios w głowę, szpital... czy to możliwe, że wszystko, co pamięta jest tworem wyobraźni? Czy możliwe, że kiedy wyszła z taksówki, ktoś ją uderzył, zabrał teczkę, torebkę, a potem nieprzytomną i zakrwawioną powiózł, czy zaniósł, na ulicę Lampową i tam położył, aby umarła..

Odparła sama sobie, że jest to możliwe. Widocznie ktoś ją obserwował może jeszcze w pociągu. Mógł zresztą być w zмовie z kierowcą taksówki może to był sam kierowca. Jeden, czy kilku ich było - wiedzieli, że wiezie w teczce cenny obraz. Skorzystali z ciemności, z burzy i skradli „Garść wiatru”.

Ja mu się chyba nie pokażę pomyślała o Kapslerze. Bała się jego gniewu. W złość wpadał rzadko ale wtedy wyraz jego twarzy był straszny, nie panował nad sobą, rozbijał wszystko, co stało na jego drodze.

Rozejrzała się dokoła. Tyle podobnych domów z ogródkami otoczonymi siatką. Uszła kawalek, znów przystanąła. Spojrzała na numer, przed którym teraz się znajdowała. Trzydzieści osiem. A może wtedy taksówkarz po prostu pomylił się. Znowu uchylona furtka, brązowe drzwi, dzwonek po prawej. Psa chyba nie było. Nagle powzięła decyzję. Co tam

nic jej nie zrobią, jeżeli o coś zapyta, o byle co. Chciała przyjrzeć się ludziom, którzy tam mieszkają. Weszła do ogrodu, zadzwoniła. Drzwi uchyliły się i na progu stanął mężczyzna o czerstwej twarzy z dużym, mięsistym nosem i lekko siwiejącymi włosami. Poznała go w jednej chwili, prawie ucieszyła się.

- To jednak pan żyje! - zawołała bezwiednie. Mężczyzna wyjął z ust papierosa i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam, ale kim pani jest? I dlaczego miałbym nie żyć?

- No, jak to? - roześmiała się. - Nie poznał mnie pan? Tak się zmieniłam w szpitalu?

- W dalszym ciągu nie rozumiem, o co chodzi.

- Przecież... pan Hustecki?

- Nie, proszę pani Nazywam się Mielich, jeżeli to panią interesuje. Widocznie pomyliła pani domy.

Przyglądała mu się ze wzrastającym zdumieniem. Nie, nie mogła się pomylić. To był ten sam człowiek, któremu wtedy wręczyła obraz i który potem odwoził ją na dworzec, Nie miał kciuka u prawej ręki, ten szczegół był nie do podważenia.

- A pani Wanda? - spytała. - Przecież byłam wówczas u państwa, jedliśmy kolację.

- Wówczas, to znaczy kiedy? I kto to jest” Wanda?

- W kwietniu, to był wtorek, straszna burza i deszcz. Przyjechałam do państwa z Gdańska, Od Henryka.

- Jakiego Henryka?

- Przywiozłam „Garść wiatru” - mówiła coraz ciszej. Rozejrzała się, ale w pobliżu nie było nikogo. - Wanda, to przecież pańska żona.

- Droga pani, nie mam dwóch zon, o tym wiedzą wszyscy moi znajomi. A ta jedna jedyna ma na imię Irena. O właśnie... - Odwrócił głowę, zza jego pleców wysunęła się drobna, dużo od niego młodsza, blondynka. Popatrzyła na dziewczynę obojętnym wzrokiem. - To jest moja żona Irena Mielichowa.

- Co się stało. Jerzy? - zapyłała kobieta. Kim jest ta pani?

- Właśnie, ja też chciałbym wiedzieć. Twierdzi, że była u nas w kwietniu na kolacji. - W głosie mężczyzny zadrgał śmiech.

- U nas? Na kolacji? - Twarz kobiety wyrażała najgłębsze zdziwienie. - Tę panią widzę po raz pierwszy w życiu

- Ależ... ależ proszę pani, ja się nie mogę mylić! - wykrzyknęła Magdalena. - Pani miała wtedy na sobie czarne jedwabne spodnie i czerwony sweter, Siedziała pani przed kominkiem.

- Z tego wszystkiego zgadza się tylko jedno: kominek. Nigdy nie noszę czerwonych swetrów, bo mi nie do twarzy w tym kolorze. A czarne spodnie, owszem, mam, ale wełniane.

Oboje roześmieli się wesoło. Borkówna szeroko otwartymi oczami spoglądała to na nią to na niego. Bezwiednie podniosła rękę do głowy, dotknęła zabliznionej rany.

- Jezus. Maria.1 - szepnęła do siebie. - Gdzie ja zostawiłam obraz? - Jaki to jest numer domu?

- Trzydzieści osiem. Czyżbyśmy mieli tu gdzieś sobowtórów? - Irena zerknęła na męża z rozbawieniem. - O jakim obrazie pani mówi?

- Husteccy, gdzie mieszkają? - wykrzyknęła z rozpaczą.

- Nie utrzymujemy kontaktów z sąsiadami. Aleja Króla jest dosyć długa. Możę jednak pani poszuka takich.. podobnych do nas.

Ta historia nie była dla niej zabawna. Wiedziała z absolutną pewnością, że są to ci sami ludzie, z którymi wtedy była i że oni od niej wzięli obraz. Twarz jej poczerwieniała z oburzenia.

- Proszę państwa - zaczęła, zacinając się ze zdenerwowania - tak nie wolno postępować! Państwo doskonale wiecie, że obraz jest u was wskutek jakiejś niezrozumiałej okropnej pomyłki. Pożartowaliście ze mnie. Trudno. Ale teraz proszę o zwrot „Garści wiatru”.

- Czego? - zapytał Mielich, a oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

- Pani u nas szuka wiatru?

Znów wybuchnęli śmiechem, Irena aż się zanosila i ocierała załzawione oczy. W końcu mężczyzna rzekł:

- Niestety, nie potrafimy go dla pani złapać. Ale może pani zrobić to sama w naszym ogrodzie. Nie widzę przeszkód. Tylko w czym pani zawiezie wiatr do Gdańska? - kontynuował natrętnie.

- Słuchaj - Irena pociągnęła go za rękaw szepnęła coś do ucha.

Teraz twarze ich spoważniały, kobieta zaniepokoiła się.

- Przepraszam - Mielich wyraźnie szukał słów. - Ale czy pani na początku rozmowy, jeżeli dobrze pamiętam wspomniała pani o szpitalu. Czy chodziło o szpital psychiatryczny?

- A teraz chcecie zrobić ze mnie wariatkę! - krzyknęła tak głośno, że kobieta cofnęła się w głąb domu - Ale to się wam nie uda. O nie! Ja potrafię udowodnić, że obraz jest u was. Ja tu przyjdę jeszcze raz, ale nie sama, wtedy zobaczycie. Złodzieje, łobuzy.

Bluznęła potokiem wyzwisk, po czym umilkła i rozplakała się. Patrzyli na nią w milczeniu, w końcu Mielich rzekł ostrożnie:

- Doprawdy, niechże się pani uspokoi...

A to szare Volvo? - krzyknęła przez Izy Przecież pan mnie odwoził na dworzec, Nic pan nie pamięta?

- My mamy Hillmana, nie Volvo. Nasz samochód jest zielony - odezwała się Irena. - A w ogóle - spojrzała na zegarek - to już nie mamy czasu na rozmowy z panią. Przykro nam że przez pomyłkę pozbyła się pani jakiegoś obrazu, ale to me nasza wina. Chodź, Jerzy bo się spóźnimy.

Zniknęli w przedpokoju, starannie zamykając drzwi za sobą Powoli na wpół przytomna z gniewu i przerażenia powlokła się na ulicę.

ROZDZIAŁ 2

- Tylko sześćdziesiąt? - zdziwił się „Boss”. Zdjął okulary, położył je przed sobą na stole i zmęczonym ruchem przecierał powieki Błado-pomarańczowe światło lampy stojącej nieco z tyłu za fotelem, rzucało łagodny cień na przerzedzone ciemne włosy. Tylko najbliżsi znajomi „Boss’a” - przyjaciół nie miał - wiedzieli, że taki spokojny głos i przymrużone oczy nie wróżą nic dobrego.

- Więc jak powiedziałaś? Sześćdziesiąt? - powtórzył znowu. Człowiek, stojący przed nim na grubym, puszystym dywanie, westchnął i przygotował się na najgorsze Wolałby nie odpowiadać, ale musiał

- Sześćdziesiąt krugów kosztuje tam dziewięć tysięcy sześćset dolców - rzekł cicho. - U nas ostatnio poszły w górę. Mogę dostać za jednego krugerranda nawet dwadzieścia dwa tysiące złotych.

- Od kogo? - „Boss” pytał niemal szeptem, nie patrząc na stojącego.

- No - tamten zawahał się nieznacznie. Choćby od „Buldog’a”. To dobry kontrahent.

- To oszust - stwierdził krótko „Boss”. Przetarł oczy, nałożył z powrotem okulary. - Oszust i kanalia. Krugerrandy są teraz po dwadzieścia cztery, nawet pięć. Zgłupiałeś ostatnio albo próbujesz mnie kantować.

- Ależ, szefie! - wykrzyknął „Moher” z oburzeniem. Pomyślał błyskawicznie, że widocznie „Boss” ma jakieś ukryte kontakty z „Buldogiem” i postanowił tamtemu przy okazji dołożyć. - Nigdy bym się nie odważył. Mało dotąd dla pana zrobiłem?

„Boss” przyjrzał mu się z rozbawieniem”, gniew minął.

- Pozwól, że cię poprawię. Chciałeś powiedzieć: mało dotąd na panu zarobiłem? Przyznaj się, „Moher”, ale powiedz prawdę.

„Moher” zakręcił się w miejscu, niespokojny i czujny. Prawdy powiedzieć nie chciał, musiał jednak podać taką liczbę, która brzmiałaby prawdopodobnie.

- Ja wiem, ile panu zawdzięczam - odparł przymilnie. - Gdyby nie pan, to ja bym... no, w ogóle. Nic - rozłożył ręce szeroko.

- Spytałem cię, ile dotąd na mnie zarobiłeś - przypomniał „Boss” - To znaczy, w ciągu jedenastu lat i trzech miesięcy.

- Coś tak... około, no... prawdę mówiąc, ze dwadzieścia sześć milionów. Ja wiem, że to dużo. Ja dlatego...

- Łżesz, „Moher” - przerwał mu ostro „Boss”.

Przechylił się, otworzył szufladę biurka, stojącego po drugiej stronie fotela, pogrzebał w niej i wyciągnął arkusz papieru. Przynął trochę lampę, aby światło padało na dokument.

- Posłuchaj uważnie. W ciągu tych jedenastu lat zarobiłeś u mnie czy na mnie, to w tym wypadku wszystko jedno, trzydzieści dwa miliony osiemset tysięcy pięćset złotych. Złożyło się na to między innymi: sto

sześćdziesiąt dziewięć kilogramów złota, osiemset krugerrandów, pięćset trzydzieści „kół”, czyli dwudziestodolarówek, nieco ponad dwieście dukatów austro-węgierskich i tak dalej Zważ, „Moher”, że - liczę ci dolar i sztabki złota po państwowym kursie, chociaż sprzedawałeś po naszym.

Nastała chwila milczenia. Nazywany „Moherem” nerwowo oblizywał i przygryzał spierzchnięte usta, wreszcie rzekł:

- Testem panu potrzebny. Tak jak pan mnie.

- Nieprawda. Takich, jak ty, mogę mieć na pęczki. Natomiast ja jestem tobie potrzebny jak powietrze i woda. Gdzie pójdziesz, jeżeli cię stąd wykopię? No, powiedz, kto ciebie przygarnie? Co ty właściwie umiesz, człowieku? Co umiesz, poza kupowaniem złota i waluty?

„Boss” wyciągnął się w fotelu. Przyglądał się „Moherowi”, cieszyło go zdenerwowanie i złość starannie skrywana przez tego człowieka. Miał go całkowicie w ręku i obaj o tym wiedzieli.

- Mogę cię zniszczyć, „Moher”, Pozwalam ci czasami na drobne oszustwa, bo wiem, że bez tego nie potrafisz żyć.. Ale są jakieś granice...

Podniósł się z fotela. Był gruby i zwalisty, mimo ciągłych masaży, gimnastyki i letnich pobytów nad morzem. Tusza denerwowała go, przez nią dziewczyny kosztowały go drożej - te zwały tłuszczu i wielki brzuch nie mogły się przecież podobać. „Boss” niechętnie wydawał pieniądze na kobiety, to nie procentowało Ale w miarę upływu czasu musiał jednak wydawać na nie coraz więcej.

- Wiesz, jak to się nazywa w naszym języku? - kontynuował, otwierając butelkę winiaku. - Przewalanka albo skrócenie finansowe. Dopuszczalne, a nawet pożądane pomiędzy konkurencją. Nigdy pomiędzy mną a moimi pracownikami. Możesz „skrócić” każdego, poza mną.

„Moher” milczał. Przyjął kieliszek, wypili na zgodę. Zaczęli rozmawiać, „Boss” wydawał polecenia na przyszłość. Byli już znowu jedynie parą: szef - pośrednik, i na pozór wszystko zostało zapomniane.

A przecież „Moher” nie potrafił zapomnieć. Przez całą noc drzemał niespokojnie i budził się, zapadał w niespokojny sen i znów zrywał z tapczana, aby krążyć w napięciu po swojej kawalerce. Miał ochotę spić się, zalać w trupa - może by pomogło - zdawał sobie jednak sprawę, że następnego dnia musi być u „Bistora” absolutnie trzeźwy. Orientował się, że tamten go oszukuje, miał w tym długoletnią wprawę, nie było dla niego świętości ani autorytetu, mimo to był „Moherowi” potrzebny. Na razie.

Dopiero nad samym ranem zapadł w twardy sen. Zbudził go dzwonek u drzwi. Zanim jednak oprzytomniał, nałożył piżamę i poczłapał do przedpokoju, tamten ktoś zrezygnował widać i odszedł, bo na schodach nie było nikogo.

„Moher” nalał wody do wanny. Gorąca kąpiel, a potem zimny prysznic poprawiły znacznie jego samopoczucie. Golił się starannie, lustro ukazywało twarz dość młodą, przystojną, o błękitnych oczach i gęstych jasnych włosach spadających w puklach na ramiona. Nałożył pasiastą koszulę z krótkimi rękawami i niebieskie dżinsy; tak zresztą chodzili niemal wszyscy mężczyźni w Warszawie.

Zjadł naprędce śniadanie, miał później poprawić w barku „Europejskim”, gdzie się umówił w południe z kumplami. Teraz musiał jechać na Pragę, do „Bistora”.

To co miał tam zawieźć, było przygotowane w czarnej teczce. Wrzucił ją do swego Fiata-125p, zapuścił silnik i wprawną ręką wyprowadził samochód z chodnikowego parkingu. Parkowanie na osiedlu

było zakazane, czasem dzielnicowy lub ktoś z wydziału ruchu karał mandatami i dzień czy dwa chodniki były puste. Potem wszystko zarzynało się od początku.

Warsztat jubilerski „Bistora” był niewielki i tak skromny, że nie wzbudzał zazdrości. Ot, ciemny i ciasny sklepik w którym przed ladą z trudem mieściły się dwie osoby. W gablocie leżały niepozorne pierścionki, w sam raz dla niezamożnych małżeństw, na ladzie zawsze kilka zepsutych zegarków, przyniesionych przez kogoś do naprawy. „Bistor” pomocników nie zatrudniał, całą robotę wykonywał sam, toteż czasem upływały całe tygodnie, zanim coś tam zreperował, i zniecierpliwieni klienci odbierali swoje przedmioty nie naprawione, czym jubiler wcale się nie martwił, gdyż warsztat był tylko po to, aby mógł istnieć „Bistor” taki, jakim go znał „Moher” i paru innych podobnych.

Zaparkował samochód w pobliżu sklepu, rozejrzał się uważnie dokoła, potem nie spiesząc się wszedł, a że nie było nikogo obcego, powiedział bez wstępów:

- Zamykaj budę. Idziemy na górę.

„Bistor” siedział za ladą, przygarbiony i suchy, z twarzą pomarszczoną i trochę wyblakłymi oczami okolonymi czerwoną obwódka. W jednym oku miał zegarmistrzowską lupę, oglądał właśnie wnętrze jakiegoś Schaffhausona przyniesionego przez naiwnego właściciela. Odłożył teraz lupę, popatrzył na „Mohera”, potem na ulicę.

- Coś przyniósł? - zainteresował się.

- Zobaczysz. Zamykaj!

Jubiler bez pośpiechu podniósł się, opuścił żaluzję na oknie wystawowym, przekręcił klucz od wewnątrz i nastawił cały

skomplikowany system urządzeń alarmowych własnego pomysłu. Zwykle „Mohera” bawiła ta ostrożność, teraz jednak niecierpliwił się. Wreszcie znaleźli się na piętrze, dokąd wchodziło się z małego korytarza. Na górze były dwa pokoje, urządzone więcej niż skromnie, oraz mała kuchnia. „Bistor”, oczywiście, tu nie mieszkał, miał piękną willę na Mokotowie, zapisaną na nazwisko swojej ciotki, która dawno już zmarła. Sprawy spadkowe i meldunkowe okazały się tak zawile, że nie rozwiązał ich do tej pory, zresztą, było mu to na rękę. Więc „Bistor” mieszkał w willi, czasami dla pozorów przespiał jedną noc nad warsztatem.

- Co przyniosłeś? - powtórzył.

Wyciągnął rękę w stronę teczki leżącej na stole, ale „Moher” przesunął ją w swoją stronę.

- Wolnego - mruknął. - Jeszcze nie twoje.

Wyjął z teczki spory skórzany woreczek, rozwiązał i wysypał na stół zawartość. Zalśniły złote monety.

- Same krugi - stwierdził raczej niż zapytał „Bistor”. W głosie jego było zadowolenie. Do obróbki na biżuterię wolał krugerrandy niż inną monetę. - Ile tego jest?

- Sześćdziesiąt.

- Nie kłamiesz?

- To sobie policz, dziadu - zdenerwował się „Moher”, bo było o jedną mniej. - Nie wystarczy ci, że mówię?

- Nie. - Tamten policzył i roześmiał się urągliwie. - Dawaj tę ostatnią! Jest pięćdziesiąt dziewięć.

„Moher” lekko rozchylił palce lewej ręki, złoty krugerrand potoczył się z brzękiem po stole.

- Ile chcesz za jedną? - jubiler włożył dłonie pomiędzy chłodny metal.

- Krugi podrożały. Dwadzieścia siedem.

„Bistor” znowu się roześmiał, tym razem szczerze. Popatrzał na swego gościa bladymi oczami, pokiwał głową.

- Dwadzieścia cztery.

- Siedem!

Targ trwał blisko godzinę. Obaj byli twardzi i obaj chcieli jak najwięcej zarobić. Kilkakrotnie „Moher” zrywał się i robił ręką ruch, jakby miał zgarnąć monety z powrotem do teczki Jubiler nawet nie drgnął, wiedział, że to gra. Pasjonował się nią od lat.

Wreszcie tamten zmęczony opadł na krzesło i zgodził się. Za każdego krugerrand a wziął dwadzieścia pięć tysięcy pięćset. Te pięćset miał dla siebie, resztę musiał oddać „Bossowi”.

Doktor Henryk Krzymuski wyszedł z sali operacyjnej, przystanął na korytarzu i głęboko odetchnął. Był zmęczony. To zmęczenie czuł w każdej komórce swego ciała i musiało upłynąć co najmniej pół godziny, aby minęło. Do następnej operacji miał jednak tylko piętnaście wolnych minut, kobieta z urazem czaszki nie mogła czekać ani chwili dłużej.

Zszedł do szpitalnego ogrodu i ciężkim krokiem spacerował obok rozkwitłych krzaków róż. Powinien żyć - myślał o pacjencie, którego zszywał przed chwilą. Uderzenie w głowę musiało być co prawda bardzo silne, chyba łom albo młotek. Krwiak podoponowy dał podrażnienie ośrodkowego układu nerwowego i dlatego pewnie sądzili, że jest pijany. Ale krwiak nie zdażył na tyle ucisnąć mózgu, aby nastąpiło wklęśnięcie. Nie było wklęśnięcia, a więc...

- Panie doktorze! - dobiegło go wołanie siostry Zofii.

Nie zareagował, choć wiedział, że chodzi przecież o niego. Spacerował już dwadzieścia minut. Za chwilę trzeba było wracać, czekały go jeszcze dwie ciężkie operacje.

- Panie doktorze Krzymuski - usłyszał ponownie wołanie.

- Już idą.

Zawrócił, cisnął papierosa na trawę, jak gdyby tym niedbałym ruchem chciał zrzucić z siebie zmęczenie i zniechęcenie. Ostatnio był diabelnie przemęczany...

O wpół do drugiej po południu zrzucił poplamiony fartuch po ostatniej operacji i bezsilnie opadł na krzesło.

- Zrobić kawy? - spytała siostra Zofia. Krążyła dokoła niego bezszelestnie, drobna, cicha, zawsze usłużna.

- Zrobić - mruknął.

Powlókł się do dyżurki, rzucił na twardą kozetkę. Zanim weszła z kawą, zasnął. Nie budziła go, przysiadła koło drzwi, spoglądając tylko od czasu do czasu na jego twarz pociągłą, szczupłą, wydłużoną jeszcze przez niewielką jasną bródkę. Okulary zsunęły mu się na podłogę, podniosła je więc i położyła na stole, przed tym jednak starannie przetarła zakurzone szkła.

Krzymuski zbudził się tak nagle, jak usnął. Nieprzytomnymi oczami popatrzył na siostrę, sięgnął po okulary i uśmiechnął się do niej z zażenowaniem.

- Długo spałem? - spytał, przyczesując stargane włosy.

- Parę minut. Kawa jeszcze gorąca. Niech pan pije.

Nie powiedziała, że spał prawie godzinę, a kawą przyniosła po raz

drugi, kiedy i tak trzeba było go zbudzić, bo do pokoju zaglądał już lekarz dyżurny pozbawiony służbowego lokum.

- Jak ta kobieta spod szesnastki? - spytał - odstawiając szklankę.

Czuł się o wiele lepiej, był prawie wypoczęty.

- Zaraz się dowiem. Powstrzymał ją ruchem rąk i.

- Nie, dziękuję. Pójdę sam. Pytał kto o mnie?

- Jakiś pan. Pewnie krewny któregoś z pacjentów. Powiedziałam, żeby przyszedł jutro.

- Nie mówił, o co mu chodzi?

- Nie. - Zawahała się sekundę, nie zauważył tego. - Chyba już poszedł.

Nie chciała, aby się kłopotał. Wizyta oficera milicji mogła rzeczywiście oznaczać zainteresowanie kimś z rodziny, kogo operował, mogła też jednak znaczyć zupełnie coś innego.

Jest za bardzo zapracowany, aby mu zawracać głowę takimi sprawami - myślała, zabierając pustą szklankę. Pewnie znowu szukają złodzieja czy chuligana, a dla nas to są tylko chorzy, tylko i wyłącznie chorzy.

Krzymuski wyszedł na korytarz. Wtedy zbliżył się do niego mężczyzna śniady, jasnowłosy, o czarnych wąskich oczach.

- Pan do mnie? - spytał chirurg z roztargnieniem Myślał o kobiecie spod szesnastki i o jeszcze paru pacjentach naraz, przebiegał w pamięci poszczególne fazy operacji.

- Doktor Henryk Krzymuski? - Śniady patrzył na niego uważnie Lekarz nie lubił takich spojrzeń, irytowały go.

- Tak. Ale śpieszę się. Mam chorych po operacjach - nie miał ochoty

rozmawiać.

- Wobec tego - tamten zawahał się - zaczekam tutaj - dokończył.

- Nie jestem lekarzem dyżurnym... O co chodzi? - zainteresował się jednak.

- Musimy porozmawiać. Sprawa, jest ważna i pilna. - Widząc niechętny wzrok chirurga, dodał ciszej: - Jestem z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Major Szczęsny.

Krzymuski zdziwił się. Major? Takie szarże nie przychodziły w zwykłych sprawach. Zastanowił się, spojrzął na zegarek.

- Muszę zajrzeć do chorych. Powiedzmy, za pół godziny, dobrze? - Rozejrzał się bezradnie. Wszędzie było ciasno i pełno ludzi. - Może po prostu wyjdziemy razem. Chyba że są to sprawy bezpośrednio związane ze szpitalem, w takim razie lepiej byłoby z dyrektorem...

- Nie - odparł Szczęsny. - To nie są sprawy. - Zaczekam na pana przy wyjściu.

- Dobrze. Postaram się przyjść możliwie szybko.

Spóźnił się jednak i przyszedł prawie po godzinie.

Pacjent z krwiakiem podoponowym był w agonii. Lekarz, mimo iż wiedział, że zrobił wszystko, co tylko było w jego mocy, czuł się zgnębiony i pełen winy. Posiedział przy łóżku chorego, dopilnował zastrzyków, śledząc z napięciem szarą, zapadniętą twarz.

Zupełnie zapomniał o umówionym spotkaniu, dopiero przypomniał sobie o nim, gdy natknął się w korytarzu na zniecierpliwionego oficera.

- Ach, tak - mruknął. Wytarł spocone czoło - Przepraszam, nie mogłem wcześniej. Mam chorych, pan rozumie?

- W porządku - Szczęsny pohamował irytację. - Jestem samochodem,

możemy gdzieś podjechać, gdzie będzie chłodniej.

Dopiero w kawiarni lekarz uważniej przyjrzał się oficerowi i rzekł nieco już przytomniej:

- Słucham, o czym chciał pan ze mną pomówić?

- O Czesławie Krzymuskim.

Twarz chirurga spochmurniała. Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- O moim bracie? Nie utrzymujemy ze sobą żadnych kontaktów.

- Od dawna?

- Dlaczego pan się tym interesuje?

- Nie prywatnie - odparł major. Obserwował lekarza z uwagą. - Chciałbym, jeżeli się da, oszczędzić panu kłopotów. Jeżeli się da - powtórzył z naciskiem.

- Z tego wynika, że przeciwko memu bratu... że prowadzi pan śledztwo?

- Tak.

- Co on zrobił?

- Kiedy pan go widział ostatni raz? - pominął pytanie.

Krzymuski zawahał się, ściągnął jasne brwi. Widać było, że z pewnym wysiłkiem zmusza się do rozmowy i Szczęsny zastanawiał się, co jest tego przyczyną: myśl o pacjentach, zmęczenie operacjami czy coś zupełnie innego. A kiedy tamten wciąż milczał, powtórzył pytanie. Dwa lata temu. Albo jeszcze dawniej, Nie pamiętam... Czy Czesław jest aresztowany?

- Tak. Więc twierdzi pan, że co najmniej od dwóch lat nie mieliście ze sobą żadnego kontaktu. Na pewno?

W głosie Szczęsnego było coś takiego, że lekarz szeroko otworzył

oczy, a twarz pokrył mu ciemny rumieniec.

- Jak mam to rozumieć! - spytał ostro. - Uważa pan, że ja kłamię?

- Pański brat dwukrotnie podtrzymał swoje zeznanie o waszych dość bliskich kontaktach.

- O co jest oskarżony?

- O nielegalny handel złotem, obcą walutą i o - pośrednictwo w podobnych transakcjach. Czesław Krzymuski twierdzi że część jego walorów była przechowywana w pańskim mieszkaniu za pana zgodą i wiedzą. I że korzystał pan z jego przestępczej działalności, panie doktorze, biorąc spore sumy dla siebie.

Chirurg zbladł. Nie był w stanie wymówić słowa. Szczęsny przyglądał mu się chłodnym okiem oficera milicji i rozważał w duchu, ile w tym zdumieniu jest prawdy, a ile fałszu.

Doktor Henryk Krzymuski podtrzymał przed prokuratorem swoje zapewnienie, że od lat nie utrzymywał z bratem żadnych kontaktów. Jego żona, Helena, po wstępnych wahaniach i plątaninie słów oświadczyła również stanowczo, iż mąż nie posiadał nigdy i nie posiada żadnych większych pieniędzy, bo gdyby tak było, nie mógłby tego przed nią ukryć. Również w świecie lekarskim wśród kolegów, Krzymuski miał nieskazitelną opinię.

Czesław Krzymuski po raz nic wiadomo już który podtrzymał jednak swoje pierwotne zeznanie twierdził, iż dzielił się z bratem pieniędzmi i złotem, którym handlował. Co lekarz z tym robił, gdzie trzymał, nie wie, gdyż te kwestie nie obchodziły go. Kontaktowali się potajemnie i dość rzadko. Miejscem ich spotkań były taksówki, kawiarnie kilkakrotnie spotkali się w Łazienkach.

Prokurator prowadzący sprawę Czesława Krzymuskiego człowiek niemłody, przed biurkiem którego przewinęła się już niejedna osoba w charakterze podejrzanego, zdecydowanym ruchem ręki podpisał nakaz przeprowadzenia rewizji w domu lekarza. Pułkownik Brezga z wydziału przestępstw gospodarczych wysłał w tym celu do Krzymuskiego oficera z dwoma doświadczonymi funkcjonariuszami oraz fotografa, który również mógł się okazać potrzebny.

Chirurg nie był obecny w czasie rewizji, w domu znajdowała się tylko Helena Krzymuska. Położyła na stole wszystkie klucze od szafa biurka i szuflad, po czym z „Burdą” w ręku usiadła na tapczanie i pozornie przestała się nimi zajmować. Takie przyjęcie nie zraziło ich, innego się nie spodziewali - Przyglądali się jej uważnie, dostrzegli niespokojne, ukradkowe spojrzenia i drżenie rąk trzymających pismo. Parogodzinne przeszukiwanie mieszkania nie dało rezultatów. Instykt śledczy mówił oficerowi, że dom nie jest jednak czysty.

Wiedziony tym instynktem i doświadczeniem podszedł do wielkiej trzydrzwiowej szafy przylegającej do ściany. Zawartość jej milicjanci przebadali dokładnie, ścianki były zbyt cienkie, aby mogły pomieścić w sobie otwory, nóżek nie było, szafa stała wprost na podłodze. A mimo to oficer zaczął się jej przyglądać podejrzliwie. Raptem odwrócił głowę i zobaczył, że Helena Krzymuska zasłoniła twarz „Burdą”. Wtedy zrozumiał, że zabawa w „zimno” i „gorąco” zbliża się do końca.

Otworzył drzwi szafy, wyjął latarkę i szkło powiększające. Centymetr po centymetrze przesuwiał szkło po drewnianej, wewnętrznej ściance. Jeden z milicjantów zbliżył się, wziął z jego ręki latarkę i świecił, odsuwając wiszące ubrania.

Po chwili zauważyli brązową mocną żyłkę nylonową. Prowadziła w górę, ginęła w mikroskopijnej szczelinie pomiędzy deskami i fornirem.

- Odsuńcie szafę - powiedział.

Na tylnej ścianie znaleźli drugi koniec wisiał na nim spory woreczek. Oficer rozchylił materiał, zajrzał do środka.

- No tak - mruknął.

Podszedł do stołu, wysypał zawartość. Błysnęły złote monety. - było też trochę cennej, starej biżuterii.

- Nie sądzi pani, że to trochę niewygodne miejsce na przechowywanie biżuterii? - zwrócił się do Krzymuskiej.

Podniosła się, odłożyła czasopismo i zbliżyła do niego. Wzrok miała utkwiony w rozrzuconych monetach, pierścionkach i broszkach. Oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia.

- Skąd to się wzięło? - spytała. Przyglądał jej się chwilę, oceniał prawdziwość tej reakcji.

- To nie jest pani własność?

- Te cudne pierścionki? I bransoletki... Skądże! Broszka chyba z brylantami! Zobaczą tylko - poprosiła. Jej ręce zadrgały i wyciągnęły się w kierunku złota i drogich kamieni.

- Przykro mi - Odsunął kobietę lekko. Przywołał fotografa. Potem wysypał wszystko z powrotem do worka, zapieczętował. - Więc nie wie pani, czyje są te walory?

- Nie mam pojęcia. To było za szafą?

- Za szafą? Czy pani mąż zna ten schowek? Zawahała się, wzięła papierosa, zaciągnęła się mocno dymem Przez kilka sekund wyraźnie rozważała, jaką dać odpowiedź. Uśmiechnął się lekko.

- Słaby z pani gracz. Dobrze, zapytamy męża. Podszedł do telefonu, wykręcił numer szpitala, poprosił chirurga do aparatu. Helena błyskawicznym ruchem wyszarpnęła wtyczkę z kontaktu.

- Droga pani - zniecierpliwił się - czy naprawdę pani sądzi że mam tylko takie możliwości?

Włączył z powrotem telefon. Po chwili ktoś z tamtej strony odpowiedział, że doktor operuje i nie może teraz podejść. Oficer odłożył słuchawkę

- Pojedziemy do szpitala. Pani również.

- Nie! - Żartuje pani - uśmiechnął się znowu. Skapitulowała, widząc jego spokój i pewność siebie.

- Będę zeznawać - oświadczyła.

- Więc słucham.

Usiedli. Oficer uruchomił magnetofon.

- Od pewnego czasu zdawałam sobie sprawę, że mój mąż Henryk i jego brat Czesław są ze sobą w potajemnym kontakcie. Oni kiedyś pogniwiali się i przestali widywać, Tak było kilka lat. Potem, może rok temu, sytuacja się zmieniła. Nie rozumiałam, dlaczego ukrywają to przede mną. Parę razy widziałam ich razem na ulicy raz w taksówce. Stałam na przystanku, a samochód zatrzymał się przed światłami, oni obaj siedzieli w środku. Spytałam później Henryka, czy pogodził się z bratem. Zaprzeczył i wyśmiał mnie, mówiąc, że to nieprawda. Był tak rozgniewany, że przestałam go po prostu pytać. - Umilkła, myślała nad czymś, a potem dokończyła: - Ten worek, pusty, z nylonową żyłką, widziałam kiedyś u Henryka w kieszeni jego jesionki, Nawet chciałam spytać, do czego mu potrzebny, ale potem zapomniałam. To wszystko.

- Więc przypuszcza pani, że biżuteria i waluta należą do męża?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- W tym mieszkaniu jesteśmy tylko we dwoje - szepnęła. A ja bym nawet nie potrafiła wynaleźć takiego sprytnego schowka.

Kiedy, później znaleźli się w radiowozie, już bez Heleny, gdyż po tych zeznaniach nie było potrzeby aby jechała do szpitala, jeden z podoficerów rzekł ze śmiechem:

- Najpierw babka nie chciała męża wsypać, ale kiedy zobaczyła, co przed nią ukrywał, zaraz jej się język rozwiązał. Może lekarz trzymał to dla innej kobiety?

- A ona nie może teraz przeboleć, że sama wcześniej schowka nie znalazła - dorzucił drugi.

- Nie - powiedział oficer.

Spojrzeli na niego z zaciekawieniem, nie powiedział jednak nic więcej. Swoje spostrzeżenie schował na razie dla siebie.

ROZDZIAŁ 3

„Boss” miał imieniny. Początkowo zamierzał zaprosić mnóstwo gości, urządzić zabawę na świeżym powietrzu, na przykład wynająć statek na Zalewie Zegrzyńskim, tak jak w ubiegłym roku. Co to były za imieniny, trwały trzy dni i noce, diabli wzięli prezesa, bo był po dwóch zawałach i nie wolno mu było pić. Ale cóż to za ubaw bez picia.

„Boss” pomyślał, że może dobrze się stało, prezes od pewnego czasu był zaniepokojony, nazwał to kiedyś wyrzutami sumienia. Tacy ludzie powinni zniknąć z zabawy i w ogóle. Oczywiście, „Boss” nie miał sobie

nic do wyrzucenia, wyłączną winą prezesa było, iż pił wszystko, co mu podsuwała ta ruda... no jakże jej było? Mniejsza z tym. Cóż, za wszystko trzeba płacić.

- Do diabła z prezesem! - mruknął sam do siebie. Wstał, otworzył drzwi do ogródka i spojrzał po niebie. Wieczór był pogodny, gorący, rozchodził się zapach kwiatów, posadzonych na grządkach przez Agnieszką.

Wrócił do pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Nalał sobie trochę koniaku, postawił obok fotela, usiadł i zamyślił się. Nie, w tym roku nie urządzi hucznych imienin. Namnożyło się ostatnio rozpraw sądowych, ludzie zrobili się tacy jacyś kąśliwi, patrzą na ręce, liczą wydatki, każda większa impreza prywatna wzbudza podejrzliwość. Funkcjonariusze milicji też stali się jeszcze bardziej uważni.

Postanowił, że zaprosi nie więcej niż osiem, dziesięć osób. Tu, do willi. Wieczorem puści psy do ogrodu, na oknach zaciągnie zasłony i nikomu nic do tego, co się w domu dzieje. Żadnych kelnerów, tylko we własnym gronie, żeby nic nie wydostało się na miasto.

Te rozważania przerwał dzwonek, do pokoju wszedł „Moher”. Był wyraźnie zaniepokojony. „Boss” wskazał mu krzesło, wciąż zajęty myślami o imieninach. Nie wiedział, z czym tamten przyszedł, ale czekał aż odezwie się pierwszy.

- Niedobra sytuacja - rzekł przybyły szeptem i „Boss” kazał mu mówić głośniej nie lubił takich szeptów. - Niedobrze jest! - „Moher” podniósł głos. - Duża wpadka w konkurencji.

- Kto?

- „Lekarz”. Zamknęli go.

- Martwisz się o konkurencję. Powinieneś się cieszyć.

„Moher” niecierpliwie zatrzepotał rękami.

- Nie mogę się cieszyć, bo wiem, jaki był ostrożny i to może oznaczać tylko jedno: zaczyna się wielka rozróżba przeciwko nam. Nam wszystkim! Te dwie ostatnie sprawy sądowe... Jak raz zaczęli, to będą węszyć na wszystkie strony, aż wywęszą. Poza tym, pan przecież wie, że na najniższym szczeblu naszych grup spotykają się znajomi, nie tylko konkurenci. Mógłbym wymienić od razu kilkunastu „koników”, którzy pracują dla nas i dla innych. To jest nie do uniknięcia.

- Więc co z tego?

- „Lekarz” znał wielu i oni go znają. Wystarczy, że puści farbę, dobiorą się wpierw do „koników”, potem dotrą na przykład do „Bistora” albo do „Jakuba”...

„Boss” poruszył się niespokojnie. To, co mówił „Moher”, było przekonujące. Zatrzymanie przez milicję człowieka, który pracował dla konkurencyjnego gangu, ale znajdował się w nim na bardzo wysokim szczeblu, tuż za szefem - oznaczało wpadkę nie tylko dla tamtych. Raz uchwycona nie i dobrze pociągnięta przez milicję, mogła prowadzić o wiele za daleko niż „Boss” tego pragnął.

- Jak to się stało? - spytał, bo szczegóły były ważne, mogły niejedno wyjaśnić.

„Moher” zaczął opowiadać Podobno rzecz cała miała się tak: oto w konkurencyjnym gangu w tajemniczy sposób zginął bardzo cenny obraz. Wiozła go, gdzieś z Gdańska czy Szczecina, kobieta. Dotarła do Warszawy i ślad po niej zaginął. Nie wiadomo nawet na pewno, czy dojechała. W gangu zrobił się cichy szum, poszukiwania nic nie dały. Ale właśnie w tym

czasie milicja zatrzymała „Lekarza” w melinie drobnego handlarza. Traf sprawił, że „Lekarz” miał przy sobie trochę obcej waluty - Zagarnęli go z tamtym, pojechali do jego mieszkania, a tam już było tego sporo. No i siedzi.

- Wolno mieć - zauważył „Boss”. - Potrafi się Wykręcić.

- Nie wiem. Jeżeli mieli go na oku... Kwestia, czy i kto kogo będzie sypał. Jego ludzie kręcili się wszędzie jak wszy za kołnierzem.

„Boss” machnął ręką. Co innego zainteresowało go w opowiadaniu.

- Jaki to był obraz?

„Moher” wzruszył ramionami na znak, że nie wie.

- Zabili tę kobietę czy jak? Musiał ją ktoś obserwować. Kogo podejrzewają w tamtej grupie?

„Moher” ściągnął wargi z niezadowoleniem. Pytanie było podchwytliwe i nie chciał dać się złapać.

- Pan uważa, że ja u nich siedzę w kieszeni? - warknął. - Skąd mam wiedzieć, co oni myślą. Nie zwierzali mi się. Nie pracuję na dwie strony.

„Boss” milczał. Rozwagał w duchu, co się mogło stać z obrazem i czy w jakiś sposób nie dałoby się do niego dotrzeć. Gangów, handlujących walutą i obrazami, było w Warszawie sporo. Jednakże w „środowisku” liczyły się właściwie tylko dwa: jego i człowieka, którego nazywano „Karolem”. Właśnie u „Karola” pracował „Lekarz”, pośrednika który teraz siedzi. Mniejsza o niego, niech siedzi. Ale kto był na tyle sprytny, że dowiedział się o obrazie i zabrał go dziewczynie? Dlaczego nie zauważył tego nikt z obu gangów? Mieli przecież dość gęstą siatkę różnych „koników”, płotek, tego drobiazgu, który kręci się zawsze koło wielkich potentatów finansowych, aby uszczknąć cokolwiek z ich majątku,

obojętnie za jaką cenę.

- Co to był za obraz? - powtórzył.

Chwilę czekał na odpowiedź, a kiedy się nie doczekał, odwrócił ciężkie, tłuste ciało w fotelu i sięgnął po słuchawkę.

„Molier” śledził cyfry na tarczy obracanej wskazującym palcem Bossa”. Przed nakręceniem ostatniej dotknął jego ręki i wstrzymał ruch. Nie chciał, żeby „Boss” sądził, iż może liczyć bardziej na „Jakuba” niż na niego.

- Obraz nazywa się „Garść wiatru” - rzekł. - Przedstawia konia, biegnącego przez pole czy gdzieś drogą. Nie widziałem go. Malarz francuski z końca ubiegłego wieku. Cenna rzecz.

„Boss” znów pomilczał, dopił koniak i mruknął raczej do siebie:

- Kanalia. Dla kogo ty właściwie pracujesz? Co chciałeś zrobić z tą informacją?

- Nic - odparł „Moher” z uśmiechem.

- Chciałeś szukać sam. Dla siebie. Tak? Blade oczy „Bossa” strzeliły gniewem, twarz mu poczerwieniała. „Moher” przestraszył się trochę, kiedyś w napadzie złości szef rozbił mu kieliszek na twarzy i od tej pory „Moher” miał kłopoty z lewym okiem zaproszonym wtedy szkłem.

- Nie, proszę pana - powiedział grzecznie. - Wcale nie miałem zamiaru szukać. Chyba że pan każe mi to zrobić.

- Kanalia. Ale ty mnie nie przechytrzysz!

Wszyscy będziecie szukać. Muszę mieć ten obraz. Za ile tamci sprzedali go w kraju?

„Moher” westchnął, już nie próbował ukrywać, że nic nie wie o transakcji. Wyjaśnił, że dzieło sztuki miało przejść z rąk do rąk za

czterysta pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy. Później, w walizce pewnego dyplomaty z Ameryki Południowej, miało być wywiezione z Polski do Wiednia. Całość interesu bardzo opłacalna. Właściciel sklepu z antykami dobijał się o ten obraz od dawna.

- Jakie jest pochodzenie „Garści wiatru”? - spytał „Boss” już uspokojony. Nigdy nie wierzył „Moherowi”, sprawdzał każdą jego informację, rzadko tamtemu udało się go oszukać.

- Zdaje się, że któreś z muzeów - tym razem „Moher” rzeczywiście nie znał bliższych szczegółów. - Albo kościół. Ale wątpię, to świecki obraz.

- Sprawdź. Czy milicja już szuka?

- Tego nie wiem. Oficjalnych komunikatów nie było. W prasie też nie znalazłem nic na ten temat. Oczywiście, mogło być w którejś z gazet prowincjonalnych, tych nie czytuję.

Agnieszka uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju. Spocona twarz „Bossa” zmiękła, rozjaśniła się na jej widok. Ruchem ręki wyrzucił „Mohera” z gabinetu, mówiąc krótko:

- Szukać obrazu! - Potem zwrócił się do dziewczyny, która usiadła na poręczy jego fotela, i powiedział zupełnie innym głosem: - Słuchaj, mała. Pojutrze są moje imieniny. Urządzamy je tym razem tutaj, w wąskim gronie. Bądź tak dobra i zajmij się przygotowaniem wszystkiego, co potrzeba. Do pomocy weź tylko jedną osobę, nie chcę tu widzieć żadnych obcych ludzi.

- Może Jolkę? - spytała, głaszcząc jego rzadkie, ciemne włosy.

- Którą Jolkę? Aha, twoją siostrę. No, dobrze. Alkohol ja sam załatwię, a wędliny i całą resztę przywiezie ci któryś z moich chłopców.

Tylko patrz im na ręce...

Wstała, przeciągnęła się, podeszła do dużego lustra w staroświeckich złoconych ramach. Miała na sobie tylko białe Szorty i kolorową bluzkę z jakiejś lekkiej, przezroczystej tkaniny, trzymającą się na wąskich ramiączkach.

„Boss” przyglądał się dziewczynie z upodobaniem. Była tutaj najdłużej ze wszystkich, już prawie rok. Poznał ją całkiem zwyczajnie, na plaży w Sopocie. Zachwyciły go smukłe, opalone nogi i wdzięczny uśmiech na ślicznej twarzy. Nie dostrzegł, bo na kobietach znał się mniej niż na swoich pomocnikach, że ładnie wykrojone usta przybierały czasem twardy, ostry wyraz, a w piwnych oczach, przysłoniętych długimi rzęsami, kryło - się wyrachowanie. Agnieszka miała dwadzieścia sześć lat i dość dokładnie wyrobione poglądy na życie, które pędziła w tym wąskim, specyficznym środowisku. Znała wszystkie cechy, zapatrywania, potrzeby tego kręgu Judzi, umiała się do nich dostosować, sama również wymagała wiele, bo potrafiła ocenić swą wartość jako kobiety.

Poznał ją w chwili, kiedy wiedziała o nim bardzo dużo, postanowiła to wykorzystać. Tłuste, zawsze trochę spocone ciało wzbudzało w niej lekki wstręt, potrafiła go jednak opanować i grać tak dobrze, że czadami w skrytości ducha sam się dziwił przejawom tej namiętności, bo wiedział, jak wygląda, i nie miał co do tego złudzeń.

Udawała przed nim nie tylko kochającą kobietę, ale i dobrą panią domu. Zajmowała się nawet ogrodem, co zresztą najbardziej lubiła. Gdzieś, na samym dnie jej osobowości, tkwiła głęboko ukryta, a przecież dająca czasem znać o sobie tęsknota za życiem zwyczajnym, bez szarpaniny i upokorzeń, właśnie tak - w ogrodzie, przy kwiatkach, w

towarzystwie zwierząt i ludzi, których by naprawdę lubiła. Żeby ręce ubrudziły się ziemią, dotykały zieleni łądyg i delikatnych płatków róż czy tulipanów albo po prostu zanurzały się w puszystej sierści jakiegoś kundla.

To były jednak tylko krótkie chwile. Mijały, pozostawiając niejasne poczucie krzywdy, którą wyrządzała sama sobie, bo przecież nikt jej do takiego życia nie zmuszał, znów wracało zadowolenie z pięknie urządzonej willi, wykwintnego jedzenia, wakacji nad Adriatykiem, najmodniejszych sukien i cennej biżuterii. Wiedziała o tym, że „Boss” ją zdradzał czasami z przelotnie poznaną dziewczyną, ale udawała, że nic o tym nie wie. I o ile na te przygodne znajomości nie lubił wydawać znacznie większych sum, o tyle dla Agnieszki nie żałował właściwie niczego. Wciąż bał się, że któregoś dnia wróci do domu i nie zastanie ani jej, ani rzeczy, być może tylko list z kilkoma słowami pożegnania, być może nawet i tego nie.

Ale jak na razie Agnieszka nie myślała odchodzić, było jej tu zbyt wygodnie.

- Kogo zaprosisz? - spytała odchodząc od lustra. Usiadła naprzeciw niego, naląła sobie koniaku.

- Cóż... - zastanowił się, chociaż już ustalił właściwie, ale zależało mu na tym, aby wydawało się jej, że wspólnie decydują. - Myślę, że powinni przyjść Mielichowie, Staszewscy, no i Józek, bo twoja Jolka nie miałaby partnera do tańca - roześmiał się. - Wystarczy. Z nami będzie osiem osób. Podobają ci się tacy goście? - zażartował?

- Jak najbardziej - uśmiechnęła się zalotnie. Nie znosiła Mielicha i obojga Staszewskich, ale wiedziała, że „Boss” nie może zapraszać obcych, że muszą zawsze bawić się w swoim gronie. Domyślała się, gdzie leży

źródło ogromnych pieniędzy, z których korzystała obficie, chociaż on nie wtajemniczał jej w swoje interesy i nigdy przy niej nie używał pseudonimów. Toteż dla niej, Jerzy Mielich nie był nikim innym, jak tylko właścicielem prywatnego sklepu z krawatami oraz domku jednorodzinnego w alei Króla, Staszewski natomiast był złotnikiem i zegarmistrzem po trochu, a Józek, którego „Boss” przed paru minutami niedbale wyrzucił z mieszkania, to po prostu zwykły Józio używany do najróżniejszych zajęć.

Ich żony, ładnie ubrane i dobrze utrzymane przez kosmetyczkę, zajmowały się domem i dziećmi. Do Agnieszki odnosiły się z leciutkim lekceważeniem, ale poprawnie. Moralność w tym środowisku była na dalekim planie, nie przynosiła pieniędzy, nie była potrzebna.

Wieczorem „Boss” pojechał w aleję Króla, aby pogadać z „Jakubem”. Nigdy nie uprzedzał o swej wizycie, toteż zdarzało się, że nie zastawał pomocników w domu. Przyjeżdżał wówczas o innej porze albo następnego dnia. O ich dłuższej nieobecności powiadamiany był wcześniej, musieli to z nim uzgadniać.

„Jakub” zobaczył przez okno granatowe BMW i wyszedł do ogrodu. „Boss” wygramolił się z trudem z wozu, zamknął go starannie. Spotkali się obok krzaków ciemnoczerwonych róż, przywitali i „Jakub” zaproponował plecione fotele na werandzie. W domu było ciągle jeszcze gorąco mimo późnej pory. Irena pokazała się na chwilę, przywitała, uprzejmie przyjęła zaproszenie na uroczystość imieninową i znikła w głębi mieszkania. Panowie mieli swoje sprawy, które jej w gruncie rzeczy nie obchodziły.

„Boss” odmówił picia alkoholu, czuł jeszcze w sobie koniak, który

pociągał właściwie przez cały dzień; Zgodził się jedynie na mrożoną kawę, jakaś podnieta była mu w tej chwili potrzebna. Ułożył sobie w myślach pewien plan i postanowił przekonsultować go z najbliższym współpracownikiem. „Jakub”, to nie był „Moher”, z tymym mógł się właściwie nie liczyć. Temu wierzył. Na tyle, na ile w ogóle komukolwiek wierzyć potrafił.

- Słuchaj, jest taka rzecz - zaczął z namysłem. - Został zatrzymany „Lekarz”, ten pośrednik od „Karola” Mniejsza o niego. Ale cała sprawa zaczęła się od pewnego zagubionego obrazu. I właśnie w trakcie szukania zguby „Lekarz” poszedł do mieszkania jednego z drobnych handlarzy starociami i został razem z nim zatrzymany. Nie chodzi mi o „Lekarza”, nie nasz pracownik. Chodzi mi o obraz.

„Jakub” słuchał uważnie, z przymkniętymi powiekami. Twarz mu nie drgnęła, niczym nie zdradził się, że wie o sprawie więcej, niż tamten przypuszcza. Wypił łyk kawy, odstawił filiżankę i zapytał:

- Dlaczego chodzi ci o obraz?

- Bardzo cenny. Mieli go tutaj kupić za blisko pół miliona. Potem oczywiście wywieźć za granicę. „Karol” nie dawałby pół miliona za jakieś barachło. On się zna na sztuce.

- Co obraz przedstawia?

- Konia biegnącego przez pole. Malował francuski artysta z końca ubiegłego wieku. Obraz został nazwany „Garść wiatru”. Tak na Wschodzie nazywają konie krwi arabskiej.

- Nie wiesz, w jaki sposób go zgubili?

- Podobno wiozła go z Wybrzeża jakaś kobieta. Nie dojechała do tutejszego odbiorcy, nie wiem, kto to miał być. O ile znam kontakty

„Karola”, obraz mógł mu nadać Kapsler z Gdańska.

- Wiem. Henryk Kapsler, właściciel sklepu z antykami. Wątpię, żeby tak drogą sztukę Kapsler przesyłał przez kobietę, która w dodatku ginie po drodze. Dlaczego sam nic przywiózł?

- Nie mam pojęcia. Zdaje się, że był w tym czasie w Austrii.

- Czy ta kobieta była jego żoną?

- Nie wiem, u diabła, skąd mogę znać takie szczegóły!

- Dobrze byłoby znać; Bo może babka po prostu związała.

- Może. Ale jest parę innych możliwości. Na przykład, ktoś spoza grupy „Karola” wiedział o tej transakcji. Załatwił kobietę, zabrał obraz.

- To możliwe - zgodził się „Jakub”. - Widzę, że cię ta historia interesuje. Co chcesz zrobić?

- Chcę odnaleźć „Garść wiatru” albo dziewczynę, nawet jej zwłoki, bo wtedy pozwoli mi to odrzucić hipotezę, że uciekła z towarem. Kiedy byłem ostatnio w Wiedniu, Bednarczyk wspomniał mi, że szuka obrazu, przedstawiającego siwego konia galopującego przez łąkę. Nie znał malarza, wiedział tylko, że był Francuzem.

- Z tego wynika, że Bednarczyk koniaki u je się nie tylko z nami, ale i z „Karolem” - zauważył „Jakub”.

„Boss” machnął ręką.

- Jasne - mruknął. - Dla niego każdy obraz dobry, byle mógł zarobić. Mnie to nie przeszkadza, przede mną i tak on pierwszy zdejmuję kapelusz. Więc słuchaj. Musimy znaleźć obraz. Musimy go znaleźć my, zanim to zrobią ci od „Karola”. Mam dość pieniędzy na uruchomienie dużej statki ludzi, którzy będą szukać, jeżdżąc po kraju, zajrzą wszędzie. I ty się tym zajmiesz.

„Jakub” milczał chwilę, pocierając mięsisty, duży nos. Potem cień uśmiechu pojawił się na jego wargach. Owszem, to mu bardzo odpowiadało, ale przyczyny były zupełnie inne.

- Dobrze - odparł, - Znam takich ludzi. W Warszawie i poza nią. Potrzebuję jednak trochę czasu na rozkręcenie sprawy. Ile pieniędzy na to przeznaczasz?

- Ile trzeba. Oczywiście, w rozsądnych granicach. Nikt za moją forszę nie będzie urządzał sobie, dajmy na to, urlopu nad morzem czy w Zakopanem. Jeżeli jednak będzie trzeba, to niech siedzi na plaży albo w górach nawet parę tygodni i nawet w najdroższym hotelu. Byle zrobił to, co do niego należy.

„Jakub” spojrzał na „Boss” z pewnym zdziwieniem.

- Czemu ci zależy tak na tym Obrazie? Robiliśmy już: transakcje na większe sumy. Sądysz, że to się opłaci?

„Boss” wzruszył ramionami. Zaciągnął się papierosem i zdusił starannie niedopałek w kryształowej popielniczce.

- Może nie tyle na obrazie - powiedział, patrząc w ogród, ciemny w nocnym mroku. - Jestem pewien, że „Karolowi” ogromnie na nim zależy. A ja mam z nim dawne, osobiste porachunki.

- Co?... twoja sprawa.

Omówili jeszcze trochę szczegółów, w końcu „Boss” podniósł się z krzesła i - przypomniawszy im o zaproszeniu na imieniny wyszedł do ogrodu. „Jakub” odprowadził go do samochodu, a kiedy granatowe BMW znikło w głębi alei, wrócił do domu, już nie kryjąc uśmiechu zadowolenia.

*

Hustecki niecierpliwił się. Nie zdarzyło się dotąd, aby Kapsler

zawiódł, zresztą sprzedaż obrazu „Garść wiatru” leżała również i w jego interesie. Miał go przywieźć w maju tymczasem był początek czerwca, a on nie dawał znaku życia. Oczywiście, można było po prostu napisać albo jechać do Gdańska. Hustecki wiedział jednak, że im mniej listów, telefonów i wyjazdów, tym lepiej dla niego, dlatego unikał ich.

- Gdyby miał obraz, to by sam przyjechał - stwierdziła Zofia. - Widocznie jeszcze czeka, aż sprzedawca się zdecyduje. Pamiętasz, przecież mówił nam wtedy, że ma trudności, że tamten się waha.

Hustecki nie odezwał się. Nie chciał żonie tłumaczyć, że jego szef niecierpliwi się jeszcze bardziej niż on sam, bo wiedeński antykwariusz ma jakiegoś nadzwyczajnego kupca ze Stanów i cała transakcja może przepaść, jeżeli klientowi Kapslera nadal będzie żal siwego konia.

- Pojadę jednak do Gdańska - mruknął. Siedzieli w ogrodzie przed domem, był bardzo ciepły i cichy wieczór.

- Wciąż myślę o tej dziewczynie - powiedziała Hustecka. - A jeżeli ona naprawdę przyjechała wtedy od Kapslera?

- Gdyby przywiozła obraz, to byśmy go mieli. Sądzisz, że taką ważną transakcję Henryk powierzyłby jakiejś dzierlatce. Obraz wart prawie pół miliona! Przecież ona chciała mi wmówić, że nie nazywam się Hustecki, bo prawdziwy Hustecki inaczej wygląda. Śmiechu warte! Zresztą, nie mówiła nic o obrazie. Plotła coś tam o Henryku z Gdańska, o tym że tu już raz była... Nic nie znaczący zbieg okoliczności, to samo imię i miasto.

Ta argumentacja nie przekonała Zofii. Wprawdzie widziała dziewczynę tylko przez okno, ale jej zachowanie nie wyglądało ani na szantaż, jak sądził mąż, ani też na to, że jest nie zrównoważona. Coś się tu

nie zgadzało.

- Może pomyliła adres i oddała obraz komuś, kto podszył się pod ciebie, a potem przyszła jednak sprawdzić? Nie była już tu więcej?

- Nie. To nonsens - odparł, chociaż to, co mówiła Zofia, należało poważnie brać pod uwagę. I jemu ciągle tkwiła w pamięci ta krótka, dziwna rozmowa. Zbyt wiele tu było danych, jak na zwykły zbieg okoliczności - To by przecież przyszła jeszcze raz - dokończył głośno swoją myśl. - Powiedziałyby: tak i tak się stało, pomyliłam adres, czy coś podobnego, pomóżcie teraz odzyskać obraz.

- A może ją sprzątnęli? - Ukradli obraz i zabili dla usunięcia śladów - zastanawiała się głośno Hustecka.

- Kto?!

- Sam mi kiedyś mówiłeś, że takich szefów, jak twój, jest więcej. Konkurencja. Więc może któryś z nich?

Pomyślał, że Zofia jest sprytniejsza, niż sądził: Zastanowił się, czy to dobrze czy źle. Kobiety nie umieją milczeć... Z drugiej jednak strony czasami mogła mu pomóc.

- Pójdę, zrobię kolację. - Dźwignęła z ławki swoje dziewięćdziesiąt kilogramów, spojrzała na furtkę. Jakiś samochód zatrzymał się przed nią, z wozu wysiadł wysoki mężczyzna z twarzą okoloną ciemną bródką.

- Jest Kapsler! - szepnęła. - No, widzisz. Przyjechał, już wszystko w porządku. Dobrze, że mam szynkę w lodówce.

Hustecki zerwał się z rozjaśnioną twarzą i wyszedł naprzeciw przybyłego. Uścisnęli sobie ręce.

- Prosto z Gdańska? - spytał, prowadząc gościa w stronę domu.

- Tak. Męcząca podróż, bo straszny upał.

- A ja już się niepokoiłem, czemu pan nie przyjeżdża.
- Byłem w Wiedniu, potem w Monachium i tak mi zeszło.
- Rozumiem. Proszę do łazienki, pewnie chcę się pan odświeżyć.

Zaraz żona zrobi kolację.

- Chętnie wziąłbym tusz, bo czuję się jakiś taki zakurzony i zgrzany.

Hustecki podał gościowi czyste ręczniki, po czym zaofiarował się wprowadzić samochód do garażu; było tam dość miejsca na dwa wozy. Później zasiedli w jadalni, przy stole nakrytym kolorowym lnianym obrusem i obficie zastawionym. Kapsler był zgłodniały, więc jadł i pił bez specjalnego zaproszenia, niewiele mówiąc.

W pewnej chwili wytarł usta, odłożył serwetkę i powiedział:

- Byłem w Wiedniu u Bednarczyka. Niepokoi się, że dotąd nie dostał obrazu. Czy są jakieś trudności z wysyłką za granicę?

Husteccy spojrzeli na siebie, a potem na mówiącego.

- Ma pan na myśli „Garść wiatru”? - spytał ostrożnie gospodarz.

- Oczywiście.

- No, przecież dotychczas go nie otrzymaliśmy. Kapsler zeszywniał, ściągnął gęste brwi.

- Jak to: nie otrzymaliście? Przesłałem obraz jeszcze w kwietniu! A teraz przyjechałem po pieniądze.

Nastąpiła chwila ciszy. Husteccy znów wymienili spojrzenia, Zoia podniosła się i mruknąwszy coś pod nosem wyszła do kuchni.

- Żartuje pan, panie Wiktorze - uśmiechnął się Kapsler. - Naturalnie, pan żartuje.

- Nie żartuję. Nie dostałem obrazu. W jaki sposób pan chciał mi go dostarczyć?

- Nie chciałem, ale dostarczyłem. Przez moją pracownicę, Magdalenę Borek. Mam do niej całkowite zaufanie. Zresztą, wysłała zaraz do mnie list z informacją, że obraz został doręczony.

- Proszę pana... - zaczął Hustecki i umilkł.

- Doprawdy, nie rozumiem gry, którą pan w tej chwili ze mną prowadzi. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale przyjechałem po pieniądze i muszę je dostać.

- Proszę mnie posłuchać...

W miarę, jak opisywał spotkanie z dziewczyną i jej zastanawiające zachowanie, twarz Kapslera chmurniała, a usta przybrały drwiący wyraz. Palcami prawej ręki bębnił nerwowo po stole. Był coraz bardziej zdenerwowany, widać było, że nie wierzy ani jednemu słowu tamtego. Kiedy Hustecki umilkł, odezwał się zimno:

- Panie Wiktorze, czy pan ma mnie za idiotę? Borkówna jest w Gdańsku, rozmawiałem z nią po powrocie z zagranicy. Opowiedziała mi dokładnie, jak wręczyła wam obojgu „Garść wiatru”, wprawdzie nie w kwietniu, bo po przyjeździe do Warszawy uległa wypadkowi, leżała w szpitalu i obraz musiała przechować u swoich krewnych. Była to ogromna nieostrożność, ale cóż dziewczyna mogła innego zrobić! Po wyjściu ze szpitala natychmiast przyszła do was z obrazem. Pan pracował wtedy w ogrodzie. Magdalena nie chciała wchodzić do mieszkania ani przedłużać rozmowy, więc wręczyła panu obraz i odeszła. Opisała mi nawet, jak pan był wtedy ubrany: w beżowy sweter i szare, dość zniszczone, spodnie. Opisała waszego czarnego doga. I wygląd pani Zofii, którą dostrzegła w oknie. Przecież nigdy was wcześniej nie widziała, więc skąd znałaby te szczegóły.

Kapsler mówił to w miarę spokojnie, ale widać było, że cały wrze. Starał się nie wywoływać awantury, przed chwilą w miłym nastroju jadł z gospodarzami kolację. Ale zasadniczym celem jego przyjazdu była jednak nie towarzyska wizyta, przyjechał po pieniądze.

- Owszem, to się zgadza - rzekł Hustecki. - Istotnie, mam takie ubranie, mam psa i ogród. Ale przecież powiedziałem już panu, jaki był przebieg naszej rozmowy! Ta dziewczyna podała panu fałszywe informacje. Ja myślę, że ona po prostu dała obraz komuś innemu, myląc numery domów. A teraz kłamie, ponieważ boi się pańskiej reakcji. Bo w istocie obraz przepadł.

Kapsler zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, proszę pana. Ja panu nie wierzę. Borkównę znam od dawna, niejedną transakcję przeprowadziłem przy jej pomocy. Nie zawiodła mnie nigdy. Zresztą, po cóż miałyby to robić? Ona wie, że gdyby mnie oszukała, znalazłbym ją nawet na końcu świata. Zarabia u mnie dobrze. A może pan ją posądza o kradzież obrazu? - Roześmiał się ironicznie. - Nie, drogi panie! Ona na pewno tego nie zrobiła.

Hustecki zbladł, podniósł się z krzesła. Kapsler również. Stali naprzeciw siebie, taksując się wzrokiem.

- To znaczy, że ja ukradłem obraz? - wycedził gospodarz, nie hamując już wzburzenia. - Pan śmie zarzucać mi kradzież?

W tym momencie z kuchni wyszła Zofia, położyła rękę mężowi na ramieniu.

- Spokojnie, Wiktor - powiedziała. - Pamiętaj, że miałeś już jeden zawał. Nie wolno ci się denerwować. A pan - zwróciła się do Kapslera - będzie łaskaw zachowywać się grzecznie albo opuścić nasz dom.

- Mogę go opuścić pod warunkiem, że dostanę pieniądze.

- Ależ, człowieku, ja nie będę płacił za coś, czego nie miałem i nie mam! - wykrzyknął Hustecki. - W dodatku, setki tysięcy złotych. Skąd ja mam wiedzieć, czy ta cała historia nie została między wami ułożona, między panem i tą dziewczyną! Pierwszy raz w życiu ją widziałem i zrobiła na mnie nie najlepsze wrażenie. Być może jest to sprytna oszustka. Wykiwała pana albo też oboje chcecie teraz obłowić się moim kosztem. Ale nic z tego, panie Kapsler! Takie numery, to nie ze mną.

Kapsler z rękami w kieszeniach taksował to mężczyznę, to zaczerwienioną twarz kobiety.

- Czterysta pięćdziesiąt tysięcy - powiedział. - Tu, na stół!

- Obraz! - zażądał Hustecki. - Będzie obraz, będą pieniądze.

Zofia postanowiła interweniować. Niepokoiło ją wzburzenie męża, obawiała się, że dostanie ataku. On mnie wtedy zabije! - przebiegło jej przez myśl. Ten Kapsler zabije mnie.

- Moi drodzy - zaczęła prosić, głos jej drżał - spróbujcie porozmawiać spokojnie. Przecież znacie się nie od dziś. Panie Henryku, czy naprawdę... No, chyba nie myśli pan na serio, że Wiktor mógłby zabrać obraz i udać, że o niczym nie wie. Daję panu słowo, że rozmowa z Borkówną odbyła się dokładnie tak, jak mąż panu powiedział.

Okno było otwarte, słyszałam wszystko, o czym mówili. Musimy wspólnie zastanowić się, kto mógł ukraść obraz i jak do tego doszło.

- Nie będziemy się wspólnie zastanawiać - odparł Kapsler. - Jeżeli nie otrzymam pieniędzy, przedstawię sprawę „Karolowi”. Niech on decyduje, co należy zrobić.

Hustecki bezsilnie opadł na krzesło. Żona podała mu szklanę z

woda, potem przyniosła jakieś tabletki. Połknął dwie, jakiś czas siedział nieruchomo, oddychał z trudem. Kapsler lekko wzruszył ramionami.

- No, więc jak? - warknął.

Tym że Hustecki musiał zażyć lekarstwo, nie przejął się. W dalszym ciągu był przekonany, że to on skradł obraz, postanowił za wszelką cenę wydusić z niego pieniądze, które sam dawno zapłacił klientowi. Sto dwadzieścia tysięcy! - rozzłościł się znowu.

- Więc jak? - powtórzył. - Albo pan daje forszę, albo zwraca obraz.

- Nie mam go. Nie dam pieniędzy. Precz z mego domu! - wrzasnął Hustecki zrywając się z krzesła. - Precz, ty oszuście!

- Wiktor, zlituj się! - jęknęła Zofia. - Uspokój się.

- Dobrze - odparł Kapsler. - Będziecie się tłumaczyć przed „Karolem”. Ja swego nie daruję.

Postawny, elegancki pan w jasnym ubraniu z lekkiej, delikatnej wełny wysiadł z samolotu linii Air France i, nie spiesząc się, z niewielką walizką w ręku szedł przez lotnisko w kierunku budynku, gdzie urzędowali celnicy i WOP. Twarz miał opaloną, szpakowate, gęste włosy, oczy ukryte pod ciemnymi okularami.

Formalności nie zabrały mu dużo czasu, toteż wkrótce wyłonił się z uchylonych drzwi, wiodących na szeroki korytarz, a wtedy inny mężczyzna równie wysoki, lecz o twarzy zmiętej, bladej, okolonej ciemną bródką, zbliżył się do niego z uśmiechem powitania. Uścisnęli sobie dłonie i przybyły rzekł z nutą zdziwienia:

- Nie sądziłem, że tutaj pana spotkam. Czekał pan na mnie?

- Tak, Jestem samochodem, podwiozę pana.

- Skąd pan wiedział, kiedy wracam?

Kapsler nie od razu odpowiedział. Dopiero, kiedy usiedli w samochodzie i jasny, długi Rover cicho ruszył sprzed budynku, rzekł:

- Dowiedziałem się od pani Eriki.

- Czy zaszło coś nieprzewidzianego?

- Tak, zdarzyły się dwie dość nieprzyjemne historie. Pierwsza to aresztowanie „Lekarza”.

- O, psiakrew! Kiedy?

- W dzień po pana wyjeździe do Francji.

- Zna pan szczegóły?

- Nie, myślę, że pani Erika powie panu nieco więcej.

- A druga sprawa?

- Dotyczy obrazu „Garść wiatru”. - Kapsler miękko położył wóz na zakręcie, wyrównał i dodał gazu, - Hustecki... - Zawahał się, wzruszył ramionami, jakby sam nie wierzył w to, co mówi: - Mam podstawy, aby sądzić, że Husteccy ukradli obraz.

„Karol” roześmiał się cicho. W tym śmiechu była jednak jakaś złowroga nuta i Kapsler poczuł się nieswojo. Wiedział to i owo o swoim szefie, znał jego niektóre reakcje, wybuchy gniewu, a nawet hysterii.

- Niemożliwe. Na czym pan opiera to przypuszczenie?

Kapsler opowiedział całą rozmowę w willi przy alei Króla, podkreślając, że ma pełne zaufanie do swojej pracownicy. „Karol” milczał długo, paląc papierosa. Wreszcie wyrzucił niedopałek przez opuszczoną szybę i powiedział:

- Niech pan posłucha, panie Henryku. W ciągu kilkunastu lat przez ręce Husteckiego przeszło co najmniej dziewięćdziesiąt cennych obrazów, dwadzieścia sztuk starej porcelany, w tym serwis królewski i część serwisu

miśnieńskiego bezcennej niemal wartości. Przeszły srebra, którymi szczyć by się mogło każde muzeum, nie licząc już nawet antycznej biżuterii, między innymi kolii księżnej Anny Luizy von Hohenstauf, I przypominam panu, bo chyba pan o tym wie, że tę kolbę Hustecki sam przewoził do Wiednia, chociaż było to przedsięwzięcie ryzykowne i ja sam mu je odradzałem. Chciałem natomiast to przesłać przy pomocy Pedra Prestesa.

- Nie wierzę tym zagranicznikom - mruknął Kapsler.

- Prestes jest pewny. Zresztą, bez ich pomocy nie dalibyśmy rady. Ja do Wiktora Husteckiego mam absolutne zaufanie.

- Ja do Borkówny również „Karol” zachnął się niecierpliwie.

- Cóż za porównanie! Hustecki to klasa. Wysoka klasa. Nie znam człowieka, który by mu dorównał w przewożeniu czy wysyłaniu towaru za granicę. Nie ma pan pojęcia, jakie on ma pomysły. Do tej pory wszystko mu się udawało, z wszystkiego wychodził obronną ręką. Ja panu gwarantuję, że musiało być tak, jak on powiedział. Ponieważ nie skończyliśmy rozmowy, proszę, niech pan zajdzie do mnie.

Erika, żona „Karola”, ładna brunetka o migdałowych oczach, ukrytych pod ciężkimi powiekami, i mocno wypukłych wargach, przywitała ich swym sennym uśmiechem, przyniosła to, czego życzyli sobie do picia i jedzenia, po czym zniknęła w głębi pięciopokojowego, pięknie urządzonego, mieszkania. Ale po chwili Karol ją przywołał, chciał się dowiedzieć o szczegółach aresztowania „Lekarza”.

- Szukał tego obrazu - odparła zwięźle. - Odwiedzał różnych pośredników i handlarzy, pytał, czy nie wiedzą, czy nie słyszeli... W jednym mieszkaniu...

- Czyim? - przerwał.

Zastanawiała się chwilę, marszcząc cienkie czarne brwi. Mimo woli przyglądał jej się z upodobaniem, chwilami zapominając o czym rozmawiają.

- To chyba było u tego szmaciarza z Targowej, nazywa się Wójcik czy coś w tym rodzaju. Akurat weszła milicja. To był przypadek. Szukali towaru skradzionego w jakimś sklepie i chodzili po paserach. No i zwinęli obu. „Lekarz” miał przy sobie walutę. Po prostu pech! W mieszkaniu znaleźli więcej, zatrzymali go.

„Karol” napił się coca-coli, wyciągnął papierosy. Rozważał w duchu, jakie to wszystko może mieć konsekwencje, i doszedł do wniosku, że nie takie groźne, jak mu się z początku zdawało. „Lekarz” nie znał jego adresu ani nazwiska, tylko pseudonim. Kontaktowali się przez Husteckiego i to był jedyny człowiek z grupy, o którym „Lekarz” mógłby coś niecoś powiedzieć. Ale „Karol” wiedział, że nie powie. Każdy z nich bowiem wiedział, co gang mógłby z nim zrobić w razie „sypnięcia”. Był już taki jeden, zniknął w tydzień po wyjściu z więzienia i do dziś dnia - a to zdarzyło się sześć lat temu - nikt, poza „Karolem”, nie wie co się z nim stało. Milicja nie znalazła zwłok, śledztwo zostało umorzone, ślad zaginął. „Lekarz” i Hustecki z pewnością o tym pamiętali.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Załatwimy mu dobrego adwokata. Kto tam jest jeszcze wmieszany prócz pasera?

- Zdaje się, że nikt. Podobno „Lekarz” - był u tego pasera pierwszy raz.

- A jeżeli paser jest podstawiony?

Kapsler zaprzeczył. Zresztą, jeżeli nawet... Ale skąd mógł wiedzieć,

że „Lekarz” do niego przyjdzie? Nie, to odpada.

- Paser nie dostanie dużo - myślał głośno „Karol”. - Wyjdzie, to się z nim popada. Odpowiednio. Albo w ogóle... „Lekarz” może posiedzieć.0 obrazie z pewnością niczego się nie dowiedział. Musi pan ją sprowadzić do Warszawy - zwrócił się do Kapslera. - I to jak najszybciej!

- Kogo?

- Tę dziewczynę. Tę pańską zaufaną pracownicę, Borkównę. Ja sam z nią porozmawiam. - Znów ten dziwny uśmiech, który wzbudzał dreszcz strachu u członków gangu. - bowiem się, jak to było naprawdę.

Kapsler milczał. Gorączkowo zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji. Lubił Magdaleny, była mu potrzebna. Teraz zląkł się o nią. Po raz pierwszy pomyślał, że być może było jednak tak, jak mu mówił Hustecki. Dziewczyna przez fatalną pomyłkę wręczyła obraz komuś innemu, a potem bała się do tego przyznać. Okłamała mnie - zdziwił się i rozgniewał. Postanowił najpierw sam z nią porozmawiać.

- Pojadę nocą do Gdańska - rzekł, podnosząc się z miejsca.

- Jutro wieczorem, a najdalej za dwa dni chcę pana widzieć w Warszawie razem z Borkówną - odparł „Karol”. „Garść wiatru” ma w Wiedniu amerykańskiego nabywcę, który nie będzie długo czekał.

ROZDZIAŁ 4

„I nie chcę wcale zmienić moich poprzednich zeznań. Oświadczam raz jeszcze, że mój brat Henryk Krzymuski wiedział o wszystkim, bo mu o tym mówiłem. Dawałem mu też pieniądze. Uzupełniam: dawałem mu polskie złote i dolary. Nie pamiętam dokładnie, ale złotych było chyba sto

dwadzieścia albo sto trzydzieści tysięcy. Dolarów niewiele, może trzysta. Prostuję: dolarów dałem memu bratu dwieście sześćdziesiąt...”

Szczesny przestał czytać. Znał ten tekst prawie na pamięć, zwłaszcza fragment, który dotyczył chirurga. Sprawa była niby oczywista, bracia podzielili się gotówką, Czesław zabrał zresztą dla siebie dużo więcej, on bardziej się narażał.

Nagle major uświadomił sobie, że nie wierzy w winę Henryka Krzymuskiego, choć nie dysponuje jeszcze dowodami tej niewinności.

- A dowody winy? - powiedział na głos i zbudził z drzemki kapitana Kręglewskiego. Był po nocnym dyżurze i do komendy przyszedł, jak zwykł mawiać, z przyzwyczajania.

- Czyjej winy? - mruknął, trąc zaczerwienione powieki.

- Lekarza. Tu nic nie ma! - Szczesny odsunął teczkę z materiałami. - Zeznanie Czesława. To wszystko. Jeżeli rzeczywiście od dłuższego czasu nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów, przynajmniej chirurg tak twierdzi, a nie mam podstaw, żeby mu nie wierzyć, może była między nimi jakaś długotrwała niechęć, pożarli się o coś i teraz brat zwała część winy z zemsty albo ze zwykłego strachu. Ani Henryk Krzymuski, ani jego żona nie wydawali w ostatnich latach żadnych większych sum, nie mają również żadnych pieniędzy na książeczkach. Jedyne dowód, to znalezienie za szafą w mieszkaniu lekarza tego woreczka z biżuterią i walutą.

- Uważasz, że to nie jest dostatecznie przekonujący dowód winy?

- Diabła tam! Nie wierzę w winę lekarza, chociaż nie mam na to na razie żadnych dowodów. Może jego żona była w zмовie ze szwagrem i przechowywała mu część walorów. Rozmawiałem trzykrotnie z Henrykiem Krzymuskim. On był zaskoczony, wprost przerażony, kiedy

mu powiedzieliśmy, co było ukryte za szafą... Kazik, ja mam nosa. Ten człowiek nie wiedział o skrytce!

Kręglewski napił się zimnej już kawy, zapalił, pomyślał i rzekł:

- Przypuśćmy, że jego żona rzeczywiście wykombinowała to wszystko z Czesławem. Pytanie: po co? Odpowiedź: bo chciała... Nie, poczekaj, odpowiedzi może być kilka. A więc, na przykład, tych dwoje chciało się pobrać, a lekarz nie zgadzał się na rozwód...

- I co z tego? - rzekł Szczęsny niechętnie. - To nie ma nic wspólnego ze skrytką i przechowywaniem biżuterii.

- Ma. Zaraz ci wytłumaczę. Jeżeli lekarz domyślał się, czym szanowny braciszek się naprawdę zajmuje, miał go w ręku. Powiedział mu na przykład tak: „Nie zawiadomię milicji, bo jakby nie było jesteś moim bratem. Ale uważaj, nie zadzieraj ze mną”. I dlatego Czesław nie mógł zabrać mu żony. Chwytasz?

- Chwytam. Idąc tym śladem, możemy dojść do następującego wniosku. Helena i Czesław postanowili zadziałać tak, aby ich przyszłe małżeństwo stało się jak gdyby rzeczą oczywistą. Może Czesław czuł, że depczemy mu po piętach, i dlatego drobną część swoich pieniędzy i biżuterii dał Helenie na przechowanie, na wszelki wypadek. Myślał, że jeżeli jego zatrzymamy, ta część przypadnie wprawdzie, ale to była drobnica. Za to lekarz pójdzie siedzieć. Wtedy Helena zapala oburzeniem i będzie mogła zażądać rozwodu nie chcąc żyć z przestępcą. W tej sytuacji Henryk będzie musiał zgodzić się na rozwód. Czesław kiedyś wyjdzie, a ona poczeka.

- Przecież Czesław też jest przestępcą?

- Jej to przecież nie przeszkadza. Znajomym rozpowie, że szwagier

siedział, niewinnie, a za wszystko odpowiada Henryk. Sądysz, że nie uwierzą? Ja myślę, że już teraz znajomi lekarza odwrócili się od niego jak od zarazy. Nie znasz ludzi.

- Masz rację. Znam i to dość dobrze pewien rodzaj kobiet. Tak dobrze - że sędzę, iż gdybyśmy tej skrytki nie znaleźli, to Helena z kimś trzecim i z biżuterią wyjechałaby w tak zwaną siną dal, gwiżdżąc na obu Krzymuskich.

- Wszystko możliwe. Trzeba z nią pogadać nieco dłużej. I ty się tym zajmiesz. Rzeczywiście, lepiej umiesz postępować z kobietami niż ja. Pamiętasz „Siwą”?

Kapitan wzdrygnął się na to wspomnienie. „Siwa”, znana w przestępczych kręgach, usiłowała wodzić go za nos przez trzy tygodnie, zanim nie przejrzał na wylot wszystkich jej zagrań, symulanckich ataków, strasznych opowieści o różnych ludziach, bardzo trudnych zresztą do sprawdzenia, a niekiedy zupełnie nieprawdziwych. Kiedy wreszcie zorientowała się, że ją rozszyfrował, połknęła w areszcie śledczym „choinkę”. Drucik rozwarł się gdzieś na drodze z gardła do żołądka i musiano ją przewieźć do szpitala. Operacja uratowała jej życie, ale struny głosowe zostały poważnie zniszczone i okaleczone.

Kapitan wygrał jednak swoją batalię. „Siwa”, zmordowana przeżyciami szpitalnymi, zaczęła wreszcie mówić, od niej dowiedział się o szczegółach zabójstwa jednej z jej koleżanek. Wtedy aresztowania sypnęły się jak groch z dojrzałego strąka, kapitanowi przybyło jednak kilka zmarszczek na i tak pofałdowanym czole.

- Gdyby nie twoje cholerne zainteresowanie sprawami gangów, nigdy byśmy nie zajmowali się tymi Krzymuskimi, ilu ich tam jest -

westchnął ciężko.

- Przecież nie zajmujemy się tym formalnie - powiedział Szczęsny. - Pomagamy kolegom odpowiedzialnym za te sprawy; pracują w zmniejszonym składzie, ponieważ mają urlopy. Ale masz rację, to prawda, te gangi rzeczywiście mnie cholernie ciekawią. Ostatnio obiektem przemytu i handlu są krugi. Wiesz, co to za moneta?

- Zdaje się afrykańska?

- Z Republiki Południowej Afryki Pełna nazwa: krugerrandy. Moneta ma wartość trzy koma trzydzieści trzy grama złota, próby zero koma dziewięćset Płacili za nią, bo teraz nie wiem ile, ale jeszcze niedawno, sto pięćdziesiąt dolarów za granicą.

Milczeli czas jakiś, potem kapitan odezwał się.

- A swoją drogą, to podłe ze strony Heleny i braciszka. Tak zrobić tego lekarza!

- Poczekaj, jeszcze nie wiemy, że było tak, jak myślisz.

- E, na pewno mam rację. Prokurator dał sankcje?

- Na Henryka? Nie. Po co, przecież on nie ucieknie. Pracuje w szpitalu, jest tam potrzebny, to świetny chirurg.

Do pokoju zajrzał pułkownik Brezga, naczelnik wydziału przestępstw gospodarczych. Lewa połowa twarzy drgała mu lekko, był to znak, że pułkownik jest czymś mocno poirytowany. Wiele lat minęło, odkąd razem ze swoim pułkiem zdobywał Wał Pomorski i został zasypany ziemią, zmieszaną z kawałkami rozerwanych ciał; strzępami mundurów, gałęzi bezlistnych krzewów w pobliżu jeziora Dobry. Przeleżał nieprzytomny, sam nie wie jak długo aż go znaleźli sanitariusze. Od tamtej pory, ilekroć się zdenerwował albo wzruszył, wracało drżenie mięśni

lewego policzka trudne do opanowania.

Przeszli do gabinetu pułkownika, po chwili dołączyło jeszcze dwóch oficerów. Jednego Szczęsny znał, był to kapitan Sobierajski, specjalista od waluciarzy, drobny, z czarną, krótko przystrzyżoną czupryną, oczami błękitnymi jak niebo i drwiącym grymasem, który niemal nie schodził mu z ust. Grymas ten irytował trochę przełożonych i tych, którzy go nie znali. Brezga bardzo cenił Sobierajskiego za jego doświadczenie i intuicję w bezbłędnym rozszyfrowywaniu przestępców.

Drugiego oficera Szczęsny nie znał, ale po chwili zorientował się, że jest to pracownik Służby Bezpieczeństwa, co go trochę zdziwiło. Czyżby nie chodziło tu tylko o przestępczość gospodarczą, a także o dywersję polityczną.

Brezga rozejrzał się po twarzach obecnych, otworzył leżącą przed nim teczkę, zaraz jednak zamknął ją i odsunął na bok. Zmęczonym ruchem przetarł czoło, widać było, że zastanawia się, od czego zacząć. Wtedy niespodziewanie odezwał się Szczęsny.

- Mam pewien pomysł.

- Jaki pomysł? - spytał Brezga, znał Szczęsnego od dawna i cenił go.

- Więc tak - major mówił wolno, namyślając się nad każdym wypowiedzianym słowem. - Jest w Warszawie kilkanaście większych i mniejszych gangów waluciarzy, skupiających również dzieła sztuki. Wywożą je za granicę, a stamtąd przywożą złoto, z grubsza biorąc. W obrocie jest obca waluta, biżuteria, sztabki złota. Ostatnio najbardziej idą krugerrandy. Ja wiem, że dla zebranych tu kolegów są to sprawy znane dobrze. Te gangi... każdy ma swego bossa czy szefa, swoich pośredników, mnóstwo drobnych handlarzy, koników i tak dalej. Boss potrafi wyciągnąć

miesięcznie milion złotych. Wiemy, że jego ludzie przeprowadzają transakcje nie tylko u nas, ale i na placu Aleksandra w Berlinie albo w hotelu „Berolina”, w Wiedniu, w Monachium, w krajach skandynawskich, w Jugosławii. Czy możemy zatrzymać takiego bossa? Najczęściej nie, bo nie mamy konkretnych dowodów winy. Jest on zwykle właścicielem warsztatu, w którym oczywiście nigdy sam nie pracuje, albo sklepu, gdzie sprzedaje ktoś inny. Boss ma sad, szklarnie, farmę i spore możliwości. W mieszkaniu ma zakamuflowane sejfy, gazowe pistolety, minikalkulatory do obliczania zysków, tajne rulety, elektroniczną aparaturę strzegącą domu, bo psy już nie wystarczają. No i ma te miliony. Oczywiście, co pewien czas nasza robota, cholernie trudna i żmudna, właśnie z tych wszystkich powodów, o których mówiłem, daje rezultaty. Wtedy kogoś zatrzymujemy, coś tam odzyskujemy, sąd też ma wiele roboty, parę osób idzie do więzienia. Na ile się mogłem zorientować, w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat były to same małe gangi.

- A Mętlewicz i tamci? - przerwał Brezga.

- Naturalnie, to była jedna z największych afer, na szczęście została wykryta. Ale pomińmy Mętlewicza, Młynarczyka, Oksztela i ich kompanów. Co nam pozostaje? Kogo rozszyfrowaliśmy? Płatki, grube ryby zostały w wodzie.

- Więc gdzież ten pomysł? - spytał Sobierajski.

- Właśnie. Są w tej chwili w Warszawie, chyba się nie mylę, dwa duże gangi. W jednym był Czesław Krzymuski, o którym wiecie, więc nie muszę mówić. Nie wierzę w winę jego brata, lekarza, ale to w tej chwili nieistotne. Jest i drugi gang. To i owo o nim wiemy. Za mało żeby cokolwiek tu zrobić. Nie znamy przede wszystkim obu przywódców

gangów, a to jest najważniejsze, bo jeżeli zatrzymamy tylko pośredników, natychmiast ich szefowie znajdą innych. Znajdą, bo dużo płacą. Nie mamy się co czarować, jest jeszcze na świecie sporo ludzi, dla których forsa jest wszystkim, cała reszta niczym. Dlatego trzeba dotrzeć do tych dwóch bossów. Mam podstawy, aby sądzić, że istnieje pomiędzy nimi dość silna konkurencja, że przechwytyują sobie wzajemnie towar. Podkupują ludzi.

- Prawda - przytaknął Sobierajski.

- Więc my musimy założyć trzeci gang - zakończył Szczęsny.

Przez chwilę panowało milczenie. Brezga uniósł brwi w górę i przyglądał się koledze z zadumą. Potem rzekł:

- Ponieważ ja z kolei nie mam podstaw, aby sądzić, że major Szczęsny pragnie wystąpić z milicji, pozostaje tylko jedna możliwość: wejście w środowisko. Tak?

- Otóż to. Ja założę grupę „waluciarzy”. Wystarczy mi trzech, czterech kolegów do pomocy. Warunek: muszą to być ludzie zupełnie nieznani w środowisku przestępczym. A więc odpada, niestety, kapitan Sobierajski. Odpadają wszyscy ci koledzy, którzy przesłuchiwali znanych waluciarzy, odpadają towarzysze z dzielnic...

- Twarze nieznane - powiedział z powagą milczący dotąd oficer Służby Bezpieczeństwa. - Myślę, że ja mógłbym się przydać.

- Dobrze - zgodził się Szczęsny. - Będzie trudno, ale postaram się dobrać kogoś, z Biura Kryminalnego. Może spoza Warszawy. Po prostu chodzi o robotę wymagającą delikatnych, ostrożnych i bardzo trudnych kontaktów, znajomości, powiązań i tak dalej.

- Macie już jakiś plan? - spytał pułkownik.

- W ogólnych zarysach. Pomogą nam koledzy... stąd i z dzielnic, ale tylko pośrednio, nie wiedząc, o co chodzi. Tak musi być, bo inaczej przez małą nieostrożność, czy nawet przypadek, wszystko weźmie w łeb. Ja na przykład wczoraj dowiedziałem się zupełnie prywatnie, że w tej chwili oba gangi są poruszone zniknięciem pewnego obrazu jakiegoś francuskiego artysty. Obraz wart jest może milion, może pół, za granicą kilkakrotnie więcej.

- Co przedstawia?

- Podobno konia, pędzącego przez łąkę lub pole, nie wiem dokładnie. Gdybym znał nazwisko malarza, sprawdziłbym u ekspertów. Ale przyszło mi na myśl, że my możemy, my, jako trzeci gang, ten obraz mieć. Nasi fachowcy zrobią kopię. Albo po prostu namalują coś podobnego.

- Nie - powiedział Brezga. - Tu nie może być żadnej prowizorki. Proszę sprawdzić, jaki to mógłby być obraz. Nasi eksperci będą wiedzieć. A poza tym - zamyślił się na chwilę - poza tym sędzę, że wasz pomysł, majorze, jest trafny. Oczywiście, muszę to uzgodnić wyżej, sami rozumiecie.

- Rozumiem - odparł Szczęsny bez entuzjazmu. - Poczekam. Profesor Migoń był już starszym człowiekiem, miał gęstą, białą jak mleko grzywę włosów, opadającą na kołnierz marynarki, i wyblakłe, ale bystro patrzące spod okularów oczy. Szczęsny wiedział, że jest to jeden z najlepszych w Polsce znawców malarstwa. Profesor doskonale orientował się we wszystkim, co dotyczyło dzieł sztuki, zarówno rodzimych, jak i obcych. Najbliższe było mu jednak malarstwo.

- Konie - rzekł. - Odgarnął z czoła garść, włosów i powtórzył: - Konie... Widział pan kiedy obraz Theodora Gericaulta pod tytułem „Derby

w Epsom”)? Piękny obraz - kontynuował, nie czekając na odpowiedź. - Gericault, choć Francuz, kochał wszystko, co angielskie. Zwłaszcza konie. Ale nigdy nie namalował samotnego siwego konia, pędzącego przez łąkę czy pole. Zresztą, twórczość tego artysty na pewno nie może być przedmiotem handlu u naszych przemytników. Wykluczone, Powiedział pan, że to jest oryginał?

- Nie wiem. Być może dobra kopia. Profesor zadumał się. Trwało to dość długo i Szczęśny pomyślał, iż stary pan zasnął, o czym świadczyłyby przymknięte powieki. Ale w pewnej chwili powieki uniosły się, Migoń spojrział na majora, i rzekł autorytatywnym tonem:

- Był taki obraz pod tytułem „Garść wiatru”, Claudę Perraulta. Namalowany, jeżeli dobrze pamiętam, w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym czy siódmym. Perrault był Francuzem, ale przez kilka lat mieszkał w Egipcie. Namalował tam sporo płócien przedstawiających ulubionych rumaków tamtejszych dostojników. Arabowie nazywają konie swojej rasy „garść wiatru”. Obraz, o którym myślę, przedstawiał ogiera Dżahiza. - Wstał, ruchy miał żywe i szybkie. Wyjął z regału album, przerzucił kilka stron, a potem wrócił do stołu i położył album przed Szczęśnym.

- Proszę popatrzeć.

Reprodukcja przedstawiała pięknego, siwego ogiera w swobodnym galopie, zmierzającego w kierunku widocznego na horyzoncie lasu. Artysta wiernie oddał szlachetną sylwetkę zwierzęcia, suchą małą głowę, długą szyję, delikatną maść. Głowa konia była lekko zwrócona w stronę malarza, grzywa rozwiana, prawe oko, widoczne spod rozrzuconego wiatrem włosia, spoglądało dumnie i żywo.

- Wspaniały! - powiedział Szczęsny. - To jest ten obraz?

- Tak. „Garść wiatru” pędzla Claude Perraulta.

Twarz majora nachmurzyła się, brwi ściągnęły gniewnie.

- Psiakrew! - zaklął. - Nie dopuszczę, żeby takie wspaniałe dzieło sztuki zostało przemycone za granicę. Musi zostać w którymś z naszych muzeów, żeby każdy mógł je oglądać.

Profesor roześmiał się cicho.

- Tego obrazu już nie ma - odparł. - Wszystko, co krąży po świecie, to falsyfikaty, najwyżej kopie, ale z pewnością nieudolne.

Szczęsny spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nie ma? - powtórzył. - Co się z nim stało?

- Spłonął wraz z innymi dziełami sztuki podczas wojny w małym francuskim miasteczku, przez które przechodził front.

- W muzeum?

- Nie. W mieszkaniu jednego z prywatnych kolekcjonerów, który nieraz potem myślał, że wolałby stracić życie razem ze swoimi zbiorami. Bo kochał je więcej... może nawet więcej niż siebie samego.

Major patrzył uważnie na profesora, próbując wyciągnąć właściwy wniosek z tego, co usłyszał.

- To było w pańskim mieszkaniu?

Profesor skinął głową. Wpatrywał się jeszcze przez chwilę w siwego Dżahiza, westchnął głęboko.

- Mieszkałem wtedy w tym miasteczku, bo stamtąd pochodziła moja żona. Jej ojciec był Francuzem, matka Polką, z emigrantów śląskich. Miasteczko nazywało się Saint-Laire, mieszkaliśmy tam przez szesnaście lat. Byłem zamożny, może nawet więcej niż zamożny. Zgromadziłem

kilkanaście pięknych obrazów dość znanych malarzy. Ten lubiłem najbardziej ze wszystkich. I dlatego mogę panu powiedzieć z całą pewnością, że go nie ma. Przemysłowcy, waluciarze, czy jak ich tam pan nazywa, handlują falsyfikatem. Być może, zrobiony jest dobrze, bo wśród nich na pewno są znawcy dzieł sztuki. Rzecz w tym, że o „Garści wiatru” nie ma dziś żadnych danych. Nikt nie wie, co się z nim stało. O tym, że spalił się razem z moim mieszkaniem, wiem tylko ja. Moja żona od dawna nie żyje. W zagranicznych katalogach znalazłem kilkakrotnie wzmiankę o tym obrazie z adnotacją: właściciel nieznany.

- Panie profesorze, czy pozwoli pan, że pożyczę album?

- Chcecie zrobić zdjęcie?

- Chcemy wykryć przestępców - odparł Szczęsny wymijająco. - Zwrócę go panu osobiście w nienaruszonym stanie. Dobrze?

- Proszę, niech pan bierze.

Malarz, pracownik resortu spraw wewnętrznych, miał talent, chociaż żadna z jego prac nie brała udziału w wystawach, wernisażach, galeriach sztuki. Ale mimo to znał on swoją wartość i zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności zadań, które wykonywał.

Tym razem było ono także niełatwe, ponieważ nigdy nie widział oryginału obrazu „Garść wiatru”. W albumie była tylko krótka adnotacja w języku francuskim, z której wynikało, że Claude Perrault malował wyłącznie na płótnie mocno nabitym na blejtram, czasami olejem, czasem gwaszami, nigdy nie szkicował wpierw rysunku, lecz kładł farby śmiało, szeroko, dopiero później z dużą precyzją wykańczał szczegóły. Było to i dużo, i bardzo mało dla kogoś, kto teraz musiał namalować tak samo i to samo, wyłącznie z kolorowej reprodukcji w albumie.

Po tygodniu jednak Szczęsny zjawił się w mieszkaniu profesora Migonia i wyjął z teczki gotowe płótno.

- O, Boże! - mruknął Migom nieruchomiejąc z wrażenia. Chłonał wzrokiem portret Dżahiza, dotknął ostrożnie farby, znowu patrzył, wreszcie usiadł. Był wyraźnie wzruszony.

- Jest bardzo dobry. Kto to malował?

- Nasz pracownik.

- To fachowiec wysokiej klasy. Malował przecież z reprodukcji..Niech mi pan sprzeda ten obraz! - zwrócił się do majora. - Zapłacę, ile pan zechce.

Szczęsny roześmiał się.

- Na razie to jest niemożliwe - odparł oględnie. - Może potem. Malarz miał kłopoty, zwłaszcza z podpisem, bo Perrault sygnował „Garść wiatru” w jakiś dziwny sposób, nie literami. - Teraz roześmiał się Migoń.

- Prawda, nie uprzedziłem pana, ale nie wiedziałem, w jakim celu pożyczasz pan album. Perrault na portretach koni podpisywał się po arabska pismem spółgłoskowym alfabetycznym, pochodzącym z aramejskiego.

Pochylił się nad obrazem, wziął do ręki lupę i dokładnie obejrzał podpis.

- Bardzo trafnie - pochwalił. - Chyba malował, używając lupy, bo na reprodukcji niewiele widać. Świetny kopista. Naprawdę nie może pan mi sprzedać obrazu? - znów spytał niemal proszącym tonem.

- Panie profesorze, obiecuję panu, że kiedy już nie będzie nam potrzebny, oddamy go panu darmo. W zamian za przysługę, jaką pan nam wyświadczył.

Władze zwierzchnie potraktowały z początku projekt majora z

pewnymi oporami, ale gdy Szczęsny przedstawił szczegóły, przyjęły go z aprobatą.

Tak więc pewnego dnia w gabinecie pułkownika Brezgi zebrało się siedem osób i Szczęsny ponownie, tym razem z zapałem i zadowoleniem, wtajemniczał je w swój plan. Prócz niego w skład „gangu” wejść mieli: dwaj oficerowie Służby Bezpieczeństwa - porucznik Czarnecki i kapitan Wiśniakowski, dwaj pracownicy Biura Kryminalnego - kapitan Zawrat i podporucznik Morski, młody podoficer z Komendy Stołecznej - Poręcki oraz inicjator projektu, jako „boss i przywódca gangu”. Przed tymi ludźmi stało bardzo trudne zadanie - wykrycie i rozszyfrowanie dwóch przestępczych gangów, grasujących w Warszawie, mających sieć rozciągniętą na wiele innych miast.

Najtrudniejszą rzeczą było nawiązanie kontaktu z członkami gangów. Mieli wprowadzić w rękę Czesława Krzymuskiego, ale ten uparcie podtrzymywał swą wersję, że jego jedynym współnikiem był brat, Henryk, i że nie zna żadnych waluciarzy, żadnych gangów. Owszem, podał kilka nazwisk, ale byli to ludzie znani milicji od dawna, drobni pośrednicy, właściciele lub współwłaściciele sklepików warzywniczych, straganów na bazarze, tacy, co to od czasu do czasu idą posiedzieć, płacą grzywny, a potem wracają do swego procederu. Do takich należał handlarz, u którego służba wywiadowcza zatrzymała Czesława, ale i on stanowczo twierdził, że „tego pana” zobaczył wówczas po raz pierwszy, kiedy przyszedł i zaproponował mu kupno pierścionka.

- Boją się - powiedział Brezga. - Bardziej boją się tych swoich bossów niż milicji i sądu. Czesław Krzymuski będzie miał sprawę, handlarz chyba również, ale trudno będzie z nich wycisnąć chociażby

słowo na temat gangów.

- Tego handlarza trzeba było wypuścić zauważył Poręcki. - Był „czysty”. Ale to płotka, on nas nigdzie nie doprowadzi, nawet jeśli będziemy go mieli stale na oku. Zresztą, teraz tym bardziej tamci będą trzymać się od niego z daleka.

- Zaczniemy od obrazu - zaproponował Szczęsny. Działać trzeba w dwóch kierunkach. Po pierwsze, należy szukać informacji, gdzie jest tamta kopia, którą jeden z gangów chce sprzedać jako oryginał, po drugie, należy rozpuścić ostrożnie informację, że obraz jest, ale w obcych rękach. To wywoła wśród nich konsternację i zamieszanie. Należy liczyć, że w tej sytuacji popełnią błędy, które nas poprowadzą we właściwym kierunku.

- Co wam będzie potrzebne? - zwrócił się pułkownik do Szczęsnego.

Major był przygotowany na to pytanie. Wyjął notatnik, choć znał te potrzeby na pamięć.

- Jeden pokój do naszej dyspozycji - wymieniał po kolei. - Jeden kabel telefoniczny, łączący ze wszystkimi komendami wojewódzkimi. Bezpośrednio. Telefonistki, na trzy zmiany, do obsługi co najmniej dwóch telefonów zamiejscowych. Po jednym pracowniku w każdej z siedmiu komend dzielnicowych w Warszawie, który byłby na tyle wprowadzony w sprawę, że nie wiedząc, o co chodzi, umiałby postarać się natychmiast o potrzebne dane. Może o nie pytać, gdzie chce, ale niech nas informuje tylko on jeden, nikt więcej. Do tego potrzebna jest zgoda komendantów dzielnic, a ja im takiego polecenia wydać nie mogę.

- Zaraz - przerwał Brezga - nie rozumiem, po co te trzy telefonistki? Przecież prawie każde miasto ma z Warszawą połączenie automatyczne, przez numer kierunkowy.

- Miasto wojewódzkie. Może jeszcze kilka innych, a nam może być nagle potrzebna rozmowa, dajmy na to, z jakimiś Kurozwękami...

- Co jeszcze?

- Dwa samochody wysokiej marki. Powiedzmy, Ford-mustang i Volvo. Przydział benzyny w zależności od potrzeb. Jedno atrakcyjne mieszkanie, na przykład na Mokotowie albo Żoliborzu. Kilka małych, przenośnych radiotelefonów z połączeniem do centrali specjalnej. Jeden radiotelefon o dalekim zasięgu, zakodowany, szyfr tylko dla nas, no i przydałby się jeden pracownik z wydziału szyfrów. To byłby chyba koniec, im mniej osób zostanie wprowadzonych w sprawę, tym lepiej.

- Koniaku sobie nie życzyście? - pół żartem, pół serio zapytał pułkownik.

- Owszem - odrzekł Szczęsny całkiem serio. - Koniaki dobrej francuskiej marki będą nam potrzebne w tym mieszkaniu. Za każdy wypity kieliszek odpowiadam osobiście. Wypity przez nas - dodał - nie przez zaproszonych gości, bo będą tacy. To chyba wszystko. Pewne sprawy wyłonią się później

- Nie mówiliście o biżuterii, paru obrazach, obcej walucie i kilku choćby sztabkach złota, którymi musicie dysponować i pokazać w razie potrzeby Jakieś antyki - zamyślił się.

- Kryptonim sprawy? - major spojrzał pytająco na pułkownika.

- Uzgodniłem. Użyjemy tytułu tego obrazu „Garść wiatru”. Wy sobie dobierzecie pseudonimy. Pamiętajcie tylko, żeby się nie powtarzały te ze znanych już - nam spraw! - przestrzegł. - To byłby błąd. Kiedy chcecie zacząć?

Szczęsny pomyślał chwilę, rzucił okiem na kalendarz leżący na

biurku i rzekł:

- Za tydzień. W poniedziałek, trzynastego czerwca.

- Dobrze się składa, trzynastka to moja szczęśliwa liczba.

Towarzyszu pułkowniku, zdąży się to wszystko zgromadzić i załatwić w ciągu siedmiu dni?

- Myślę, że tak. Mieszkanie odpowiednie już jest. Nasz pracownik wyjechał na dwa lala za granicę. Umeblujemy je oczywiście inaczej, bo tam są zwyczajne standardy z Wyszkowa czy Jarocina, Aha, gdzie jest „Garść wiatru”, majorze?

- Tutaj - Szczęsny wskazał na czarną teczkę. - Chcecie zobaczyć?

- Tak. Zresztą, wszyscy tu siedzący powinni go obejrzeć.

Major wyjął i rozłożył na biurku kopię. Z niemałą satysfakcją słuchał słów podziwu, bo i on zachwycił się Dżahizem od pierwszej chwili, kiedy ujrzał reprodukcję obrazu w albumie profesora Migonia. Kopia była bardzo dobra, malarz przyćmił trochę farby, stonował koloryt, aby nie robił wrażenia zbyt świeżego, należało pamiętać, że dzieło Perraulta miałoby teraz blisko sto lat

- Piękna rzecz! - Brezga szczerze podziwiał zarówno obraz, jak i umiejętność kopiowania. Pochylił się nad biurkiem, usiłował odczytać podpis. - To przecież nie po francusku. A mówiliście, że malował Francuz.

- Tak; Claude Perrault, ale portrety koni arabskich podpisywał alfabetem miejscowym, taki miał zwyczaj.

- Co powiedział nasz ekspert?

- Migoń? Był zachwycony i prosił” abym mu sprzedał obraz! Obiecałem mu, że kiedy nie będzie już potrzebny, oddamy mu go bezpłatnie.. - Szczęsny opowiedział zebranym również, jakie były losy

oryginału spalonego w miasteczku Saint-Laire. - Myślę, że będziemy trzymać „Garść wiatru” w komendzie, w gabinecie Daniłowicza i zabierać ją stamtąd wtedy, kiedy będzie potrzebna. Nie ryzykowałbym umieszczenia jej w tym przydzielonym mieszkaniu z różnych względów. Jeżeli zebrane przeze mnie informacje są prawdziwe, to zaginiona kopia została podebrana konkurencyjnemu gangowi przez kogoś z innego gangu wskutek omyłki w adresie czy czegoś takiego. To jest jednak na razie wersja wymagająca sprawdzenia.

Na biurku zadzwonił telefon, pułkownik ujął słuchawkę.

- Brezga... Jestem zajęty. Czy to takie pilne? No dobrze, słucham... Z Gdańska? Więc cóż to nas... - urwał, zaczął notować. Nagłe ożywił się, zakrył dłonią tubę i rzucił Szczęsnemu: - Jest ślad! To nie do was, poruczniku. Słucham dalej... Powtórzcie jeszcze nazwisko: Magdalena Borek, be, jak Barbara, tak? Dziękuję.

Odłożył słuchawkę telefonu, przeczytał powtórnie notatkę i popatrzył po twarzach obecnych. Z każdej spoglądały na niego uważne, zaciekawione oczy.

- Może to pierwszy ślad - mruknął, pocierając drgający policzek. - Więc tak. Znalaziono zwłoki niejkiej Magdaleny Borek, młodej dwudziestokilkuletniej kobiety mieszkającej w Gdańsku. Porucznik Skrzypek, dyżurny sekcji zabójstw, powiadomił o tym Kręglewskiego, który pojechał na miejsce. To było kilka godzin temu. Kręglewski dzwonił przed chwilą” aby wara powiedzieć - zwrócił się do Szczęsnego - że parę tygodni temu ta sama kobieta już raz uległa tajemniczemu wypadkowi w Warszawie. Znalaziono ją nieprzytomną na ulicy i on wtedy też był przy oględzinach. Przewieziono ją do szpitala, wyzdrowiała, mniejsza teraz o

szczegóły, ale ona ma gdzieś na Czerniakowskiej krewną Czarnecką, babkę czy ciotkę. Więc kapitan już tam teraz był, rozmawiał z tą krewną i usłyszał, że w czasie poprzedniego pobytu, po wyjściu ze szpitala, dziewczyna zwierzyła się, iż bardzo boi się swego szefa, bo zgubiła cenny obraz. Podobno pomyliła adresy czy coś takiego.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Szczęsny rzekł z wahaniem:

- Sądźcie, pułkowniku, że chodzi właśnie o „Garść wiatru”?

- Nie wiem. Trzeba sprawdzić. Kręglewski ma tam jeszcze robotę, ale niedługo wróci do komendy, to porozmawiajcie z nim. Cenny obraz... W każdym razie chodzi o handel dziełami sztuki. Dziewczyna przyjechała do Warszawy raczej nie na wczasy w mieście.

- Zemsta gangu? - pomyślał głośno kapitan Zawrat. - Całkiem możliwe. Mieliliśmy już takie przypadki, właśnie związane z przemytem obrazów. Przypomnę zabójstwo kolekcjonera porcelany i srebra tu w Warszawie, nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska. Dostał kryształową popielniczką w skroń, zwłoki znaleziono w mieszkaniu. Miał kontakty z Wiedniem i z Londynem. Podobna historia zdarzyła się w Szczecinie.

Szczęsny zerwał się z krzesła, obraz wsunął do teczki. Postanowił natychmiast skontaktować się z Kręglewskim, chciał porozmawiać z babką czy też ciotką zamordowanej. Zależało mu też na tym, aby obejrzeć zwłoki i miejsce ich znalezienia.

*

Kapsler nie mógł zasnąć. Palił papierosa za papierosem, wstawał z tapczana i podchodził do okna patrząc niewidzącymi oczyma na rozświetloną latarniami i neonami panoramę Gdańska. Wciąż przód

oczami stała mu skrzywiona złością twarz Karola” i coraz bledsza, coraz bardziej i przestraszona twarz Magdy, jej skulona na krześle sylwetka i ręce zaciśnięte kurczowo na poręczach.

Nie mógł już tego słuchać, więc wymknął się pod pretekstem pilnych spraw na mieście, chciał zresztą tego samego dnia wrócić do domu. Magda spojrzała wtedy na niego błagalnie, jakby prosząc o pomoc, ale on odwrócił wzrok i wyszedł. Hustecki, rozparty na fotelu w głębi pokoju, spojrzał na niego drwiąco.

Zostawił dziewczynę w rękach tych dwóch i pojechał. Miała przyjechać na drugi dzień, ale minęły już trzy, a ona nie wracała. Była mu potrzebna jako pracownica i jako kobieta, miał do niej zaufanie i lubił ją na swój sposób.

Dlaczego jej nie ma? Co oni z nią zrobili?

- Przecież, do licha, jej nie zabili - mruknął.

- Widocznie jeszcze coś sprawdzają.

Przez całą drogę, kiedy wiózł ją do Warszawy, powtarzała stanowczo, że oddała obraz Husteckiemu. Wierzył jej, teraz jednak ogarnęły go wątpliwości. Jedno było pewne: rozmawiała z nim, była w jego ogrodzie, widziała Zofię Hustecką. Nigdy wcześniej tam nie była, nie znała tych ludzi ani ich domu.

Jeżeli jednak, myląc adresy, najpierw poszła do innej willi, a u Husteckich była później? Ale przecież każdy obcy człowiek, do którego zadzwoniłaby późnym wieczorem i powiedziała „przyjechałam od Henryka z Gdańska”, odparłby jej, że nie wie o co chodzi, i zatrzasnął drzwi. Każdy człowiek...

Nagła myśl, jak ostra błyskawica, olśniła go, aż zatrzymał się w

miejscu i siadł na tapczanie.

Każdy, ale nie handlarz obrazów z innego gangu - odpowiedział sam sobie. Tak. Tylko ktoś diabelnie sprytny i szczwany mógł w jednej sekundzie zorientować się w pomyłce dziewczyny i tę omyłkę wykorzystać. Musiał działać bez wahania i tak pokierować rozmową, żeby Magda nie zorientowała się w niczym. Kapsler wiedział, że ta dziewczyna jest bystra i niełatwo ją podejść, a poza tym boi się go i wypełnia bez szemrania wszystkie polecenia.

Nie wierzył, że Borkówna ukradła obraz. Nie dopuszczał też takiej ewentualności, iż ma jakieś powiązania z konkurentami. Nikt inny nie płaciłby jej więcej niż on i Magda doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zresztą liczyła, że kiedyś się pobiorą.

Zmęczony niespokojnymi myślami obudził się z ciężką głową i gardłem suchym jak wiór, przepalonym nikotyną. Zwlókł się z tapczana, wsadził głowę pod kran, trochę przeszło. Kiedy parzył kawę, do drzwi ktoś ostro zadzwonił. Magda! - ucieszył się. Postanowił, że jej dobrze zmyje głowę za trzy dni niepokoju bez telefonu.

Otworzył drzwi i znieruchomiał. Nie znał tych dwóch ludzi, ale miał wdech starego przemytnika i handlarza, więc zorientował się natychmiast, kto przed nim stoi.

- Pan Henryk Kapsler? - spytał wyższy, w sportowym ubraniu i koszuli w kratkę.

- Tak. O co chodzi?

- Jesteśmy funkcjonariuszami milicji - podsunął mu legitymację. Drugi przesunął się tak jakoś bokiem i wszedł do pokoju.

- Proszę. - Wpuścił wyższego, zamknął drzwi. - O co chodzi? -

zapytał.

W warsztacie nie mam nic, w mieszkaniu chyba też nie - ta myśl powstała automatycznie.

- Pan jest właścicielem warsztatu złotniczego? - spytał ten w sportowym ubraniu.

- Tak. Czy coś tam nie w porządku?

- Kogo pan zatrudnia?

- Magdalenę Borek. Jest ubezpieczona, żadnych skarg na nią nie miałem.

- Gdzie ona jest?

- Kilka dni temu wyjechała do Warszawy, ma tam kogoś z rodziny.

Właśnie już powinna wrócić. Czy coś się stało?

Zapadło milczenie.

- Magdalena Borek nie żyje - powiedział wreszcie funkcjonariusz.

- Nie żyje? - Kapsler poczuł zimny pot, spływający mu gdzieś po plecach. - Miała wypadek?

- Nie. Została zamordowana. Proszę się ubrać, pan pójdzie z nami.

ROZDZIAŁ 5

Pierwszy cios przyszedł zupełnie przypadkowo. Usłyszał rozmowę kolegów, nie przeznaczoną dla niego, ale tym bardziej szczerą. Nie podsłuchiwał, po prostu znalazł się któregoś ranka w laboratorium analitycznym i zasłonięty stołem z aparaturą przeglądał wyniki badań pacjenta, którego miał operować. Oni weszli rozmawiając. Był tak zajęty, że dopiero, gdy padło jego nazwisko, ocknął się. Uniósł głowę, chciał

spytać, o co chodzi, sądził, że go ktoś szuka. Mówili o nim, ale nie do niego.

- Mój kochany, dla mnie to jest oczywiste - powiedział internista, tęgi siwy docent Zahorski.

- Znam trochę jego żonę. To jest typ kobiety, która potrzebuje oprawy. Jak drogi kamień. No, może raczej taki półszlachetny albo nawet ćwierć - roześmiał się, tamten mu zawtórował. - Zresztą, brat podzieli się z bratem. Zawsze to rodzina.

- No, ale jego wypuścili, a tamten siedzi - zauważył ginekolog.

- Wykpił się! To jasne. Tę biżuterię znaleźli podobno w jej łóżku czy szafie, nie wiem dokładnie, ale to przecież, bzdura. Prokurator dał się nabrać. Jak Henryk zorientował się, że nie mają przeciwko niemu dowodów, wpakował biżuterię do tapczana swojej żony. Bardzo możliwe, że sam wtedy poprosił o przeprowadzenie rewizji. Niby, że taki lojalny i nie ma nic do ukrycia. Żona przyznała się do romansu ze szwagrem, więc nie ma powodu, aby takiej żony bronić.

- Słuchaj, właściwie to by należało coś z tym zrobić - powiedział Supiński niepewnie.

- Z czym?

- No, z nim. Opinia, rozumiesz?

- I co zrobisz? Masz dowody?

- Skądże! Ale, rozumiesz, był aresztowany. Gdyby chodziło, powiedzmy, o błąd w pracy, gdyby w ogóle coś zawodowego, to ja bym nie... Ale jest zamieszany w sprawę kryminalną. A lekarska etyka?

- Trudno, teraz nic nie zrobimy. Zresztą, stary go broni. Ceni go jako chirurga. Śledztwo trwa, ale Henryk będzie odpowiadał z wolnej stopy.

Muszę już iść, cześć!

- Czekaj, ja też idę.

Trzasnęły drzwi, w laboratorium zapadła cisza. Słysząc było tylko szum wody w kranach, a za oknem ktoś wołał na salową, żeby się pospieszyła z fartuchami.

Stał nieruchomo, zaciskając ręce na brzegu stołu. Nie mógł zebrać myśli. Analizował usłyszaną rozmowę, słyszał ją ciągle na nowo, każde zdanie, każde wypowiedziane słowo, śmiech, ton głosów, akcentowanie wyrazów, tak jakby wcale nie wyszli, tylko powtarzali wszystko od początku, ciągle, bez przerwy.

A więc to tak - stwierdził wreszcie w myślach trąc zimne, spocone czoło. Więc tak o nim... Odsunął wyniki analiz", otworzył szerzej okno i odetchnął głęboko. Serce znowu dawało znać o sobie. Drętwiała lewa ręka, dusiło w gardle.

W trakcie operacji na jakiś czas o wszystkim zapomniał, pochłonięty pracą. Dopiero jak wrócił wieczorem do pustego już domu, nie potrafił myśleć o niczym innym. Włączył telewizor, ale zaraz go zgasił. Był głodny, ale nie mógł jeść. W szafie odnalazł jarzębiak.

Zbudził się nad ranem. Głowę rozsadał ból, gardło miał wyschnięte. Przy tapczanie stała pusta butelka. Schlałem się - pomyślał obojętnie. Czuł się fatalnie. Dobrze, że dzisiaj mam wolne popołudnie - stwierdził z ulgą, a dyżur dopiero wieczorem.

Siedząc potem w kuchni nad filiżanką kawy, myślał o Helenie. Wyprowadziła się do swojej ciotki, na drugi koniec miasta. Prokurator wahał się, na razie włączył ją jedynie jako świadka w sprawie Czesława Krzymuskiego była więc wolna. Henryk zastanawiał się teraz, jak

właściwie doszło do tego, że drogi ich się rozeszły. Co czuła i myślała teraz?

Zawsze mieli dla siebie bardzo mało czasu. Często przez cały tydzień mijali się tylko. Kiedy on przychodził nieuduzko zmęczony po wielogodzinnym dyżurze czy operacjach i rzucał się na tapczan, ona wychodziła, właśnie do biura. Wierzył jej, dopiero teraz zrozumiał, co się kryło za rzekomymi godzinami nadliczbowymi i późnymi nocnymi powrotami.

W takich dniach cieszył się, że nie mieli dzieci, choć na co dzień cierpiał nad tym, ale Helena uważała, że wciąż jeszcze za mało zarabia, aby ona mogła rzucić na kilka lat pracę.. Wiele więc z tego, co robiła, co przeżywała i czuła, uchodziło jego oczom. Zajęty pracą nie zwracał na to uwagi. I tylko w rzadkie wolne wieczory, które spędzał sam w domu, zdarzało się to nie częściej niż kilka razy w miesiącu, włóczył się po pustym mieszkaniu ze ściśniętym sercem, od okna do okna i od drzwi do drzwi, jak wierny pies, którego pan zostawił samego. Czy ona wtedy również tak to odczuwała, kiedy był w szpitalu na dyżurach, nie wiedział. Nie przyszło mu nawet na myśl, aby ją o to zapytać.

Przywoływał teraz w pamięci jej drobną, kształtną postać, włosy rudawe, długie i gęste, splecione zazwyczaj - w domu - w luźny węzeł, mały prosty nos i usta trochę zbyt wydatne, w ostatnim czasie skrzywione jakimś obcym mu grymasem. Jeszcze zanim to wszystko się stało, powiedział jej kiedyś z goryczą:

- Może to i racja, że ty w ogóle nie chcesz mieć dziecka. Ty byś go nie kochała. Odebrałoby ci część pieniędzy, a ty pieniądze kochasz najbardziej.

- Nie więcej niż ty swój szpital! - krzyknęła z gniewem. - Te twoje połamane ręce i rozbite głowy, te operacje, te jakieś pisma medyczne, pełno tego w mieszkaniu, już nie ma gdzie trzymać! To kochasz, tym żyjesz. Na co tobie dziecko? Nie miałbyś czasu popatrzeć jak wygląda. Ot, takie z nas małżeństwo.

- Ależ Heleno! - słuchał zaskoczony, nigdy dotąd nie rozmawiali w ten sposób. - Przecież tysiące innych małżeństw ma nie jedno, ale nawet i troje dzieci i są szczęśliwi, cieszą się z tego, znajdują dla nich czas. Zresztą, kiedy wychodziłaś za mnie, byłem już chirurgiem. Musiałaś zdawać sobie sprawę, jak pracują lekarze, nie ukrywałem tego nigdy.

Przypomniała mu się teraz ta rozmowa, a zaraz potem, ta druga, w laboratorium. Jadąc do szpitala, postanowił, że żadnym słowem, żadnym gestem nie zdradzi się, że ją słyszał. Ale postanowić było łatwo, wykonać znacznie trudniej. Pierwsze spojrzenie na twarz Zahorskiego wywołało w nim gwałtowny poryw gniewu i rozgoryczenia. Tamten jednak przywitał go bardzo uprzejmie, mówiąc coś o pogodzie i o braku torvipanu w magazynie.

Zebrał więc siły i nie patrząc na docenta bąknął parę słów, po czym odszedł w pośpiechu. Na zakręcie korytarza zderzył się z Supińskim. Zastanowił się, czy mu się zdawało, czy w jego oczach dostrzegł wyraz pogardy.

*

Zrozpaczoną staruszkę trzeba było długo pocieszać i uspokajać, zanim otarła łzy i zaczęła rozsądnie odpowiadać na pytania. Okazało się, że niewiele się będzie można od niej dowiedzieć, ponieważ widywała Borkównę rzadko, nie odwiedzała jej w Gdańsku i nie знаła tego szefa, o

którym dziewczyna czasami wyrażała się dobrze, a czasem bardzo źle. Mimo to major Szczęsny słuchał uważnie, każdy szczegół mógł być ważny, chodziło przecież nie o zwykłe pobicie, a o morderstwo. Czarneckiej pamięć nie bardzo dopisywała, ale starała się powtórzyć dokładnie, to co od Magdaleny usłyszała. A więc, Madzia powiedziała jej, że boi się wracać do Gdańska, bo zginął obraz, który przywiozła do Warszawy, a który wart był ponoć setki tysięcy złotych.

- Komu miała oddać obraz w Warszawie? - spytał Szczęsny po raz czwarty chyba z niezwykłą u niego cierpliwością. Żał mu było starej, samotnej kobiety.

Czarnecka milczała chwilę, trzęsąc głową i wzdychając.

- Jakiemuś panu - szepnęła bezradnie. - Nie wymieniała nazwiska. Ani adresu.

- Czy ten pan miał jej wypłacić pieniądze?

- Nie. To wiem, bo Madzia nigdy nie wozila pieniędzy. Dużych pieniędzy. Bała się, że ją po drodze okradną.

- Czy to znaczy, że już przewoziła coś z Gdańska do Warszawy?

- Zdaje się, że już wiozła inny obraz. Ale tego całkiem nie pamiętam. Więc jak była u mnie ten ostatni raz... mój Boże, dziś już wiem, że naprawdę ostatni! - Wytarła nos, stłumiła płacz i ciągnęła dalej: - Jak tu u mnie była po wyjściu ze szpitala, to powiedziała: „zgubiłam taki drogi obraz, co ja mu powiem? Strasznie się go boję!” Ja jej poradziłam, żeby zmieniła pracę, została w Warszawie, mogłaby mieszkać u mnie. Ale ona na to, że nie może, bo to jeszcze gorzej, tak mówiła. No i pojechała.

- Pisała potem do pani z Gdańska?

- Nie. Już nie miałam od niej żadnej wiadomości.

Kiedy Szczęsny wyszedł do przedpokoju, staruszka nagle coś sobie przypomniała. Oto Madzia, jeszcze będąc w szpitalu, pisała do tego swego szefa w Gdańsku, ale na jakiś adres wiedeński. Czarnecka zabrała od niej list i wrzuciła do skrzynki, więc pamięta. Ale co było w liście, tego oczywiście nie wie, bo nie czytała.

- Szkoda - mruknął Szczęsny, a staruszka spojrzała na niego z oburzeniem.

- Proszę pana, ja cudzych listów nie czytuję. Jestem dyskretna.

- Rozumiem. Tym niemniej szkoda! W tym liście mogło być wyjaśnienie, komu Borkówna miała oddać obraz, w jakich okolicznościach zaginął.

Tego dnia spotkał się jeszcze z Kręglewskim. Kapitan był wyczerpany, bo pracował już prawie czterdzieści osiem godzin, i zasypiał siedząc za biurkiem, chciał jednak przed pójściem do domu przekazać Szczęsnemu swoje spostrzeżenie, a także radiogram z Gdańska. Kapslera mieli przywieźć następnego dnia po południu. Trzeba więc było naradzić się, kto zacznie przesłuchanie i jak je poprowadzi.

Szczęsny postanowił, że zrobi to sam i to zaraz po przyjeździe Kapslera do Warszawy. Kazał Kręglewskiemu iść spać i nie pokazywać się przed poniedziałkiem. Wiedział zresztą, że kapitan zjawi się w komendzie, jak tylko odeśpi zaległości i że nastąpi to znacznie szybciej niż w poniedziałkowy ranek.

Zaczął przeglądać zdjęcia z oględzin zwłok, Ciało Magdaleny Borek znaleziono w gęstym, młodym lasu, ciągnącym się wzdłuż szosy na Otwock. Leżała pod krzakiem i gdyby nie przypadek, nieprędko by ją tam ktokolwiek zauważył. Przypadek, objawił się w postaci dwojga

bezdolnych kochanków, ściśle i mówiąc pary studentów. On pożyczył motocykl, ona przygotowała jakieś kanapki, parę butelek napojów chłodzących i wyjechali w świat, który miał być daleko za Otwockiem. Ale zabrakło im benzyny. Zaszli się więc w przydrożnym lasku, a kiedy spodobał im się kawałek puszystej zielonej trawy obok młodych krzewów okazało się, że leży tam trup. Odkrycie to sprawiło, że odechciało im się romansów, przynajmniej na pewien czas. Ona zapragnęła natychmiast wracać, on był trochę mniej zdenerwowany, ponieważ studiował medycynę i był już trochę oswojony z takimi widokami. Oboje wykazali jednak tyle zdrowego rozsądku, że wracając do Warszawy zawiadomili po drodze milicję.

To było w czwartek pod wieczór. Zwłoki przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej i milicja rozpoczęła śledztwo. Szczęsny przyglądał się teraz zdjęciom, próbując wywnioskować, jaki przebieg miała zbrodnia. Borkówna zginęła od jednego tylko, ale perfidnie wymierzonego uderzenia w skroń. Tak można było sądzić z zewnętrznych oględzin, bo sekcji lekarze jeszcze nie wykonali, był akurat okres urlopowy. W pobliżu ciała nie znaleziono nic, co mogłoby pomóc w czynnościach śledczych. Stwierdzono tylko z całą pewnością, że ofiara została zamordowana w innym miejscu i przywieziona do lasku. Najprawdopodobniej od szosy, na której stał samochód, niesiono ją na rękach.

Szczęsny pomyślał, że wtedy, w kwietniu, kiedy dziewczynę ktoś pobił, ograbił i zostawił na ulicy Lampowej, też można było przypuszczać, że sprawca czy sprawcy dokonali napadu gdzie indziej, a następnie przywieźli Borkównę na małą, pustą uliczkę. Jednakże w tamtym przypadku taka wersja była jedną z paru możliwych, natomiast tutaj

wydawała się oczywista. Nie wierzył, podobnie jak Kręglewski, w historię o tajemniczym kierowcy, który poczęstował dziewczynę herbatą ze środkiem nasennym. Bardziej prawdopodobne było, że ktoś, kto wiedział o cennym obrazie, śledził ją być może od Gdańska i w Warszawie zrabował dzieło sztuki, bo tutaj z jakiejś przyczyny było mu wygodniej to zrobić niż po drodze. Dlaczego jednak Magdalena ukryła ten fakt przed milicją, a zwłaszcza przed panią Czarnecką? Dlaczego powiedziała jej o zgubie, nie o kradzieży? Czyżby rabunek był skutkiem lekkomyślności dziewczyny, zawarcia przygodnej i fatalnej znajomości lub czegoś, co chciała ukryć.

Szczęśny orientował się nieźle w mechanizmach przestępczego działania, wiedział to i owo o handlarzach obrazami, walutą czy biżuterią, zwłaszcza na większą skalę. Dlatego trudno mu było uwierzyć, iż przewóz cennego obrazu powierzono osobie, która postępuje lekkomyślnie, nawiązuje podejrzaną znajomości i tak dalej.

Coś się musiało wtedy, w kwietniu, stać. Coś, czego konsekwencją było to morderstwo. I kiedy tak rozmyślał, doszedł do wniosku, iż pułkownik Brezga chyba ma rację. To mógł być ślad w sprawie obrazu „Garść wiatru”!

Załóżmy, zastanawiał się, krążąc po pokoju, że dziewczyna wiozła ten obraz od Kapslera dla odbiorcy w Warszawie. Załóżmy, że wskutek jakiejś pomyłki dostarczyła go nie temu, dla kogo był przeznaczony. To by się zgadzało z informacją, którą uzyskał niedawno, iż cenny obraz przedstawiający siwego konia został przechwycony przez konkurencyjny gang. Wybuchła awantura, być może posadzili Borkównę o zdradę, pracę dla konkurentów, kradzież... I usunęli ją. Czy to znaczy, że jednocześnie odzyskali obraz? Chyba nie. Ludzie z gangów przemytniczych,

waluciarze, pośrednicy - rzadko mordują. Gdyby Kapslerowi udało się odnaleźć obraz, nie doszłoby do zabójstwa. A gdyby nie odnalazł? Tak samo. Martwy człowiek nie udzieli żadnej informacji.

Spojrzał raz jeszcze na zdjęcia. Zginęła, uderzona jednym mocnym ciosem. A jeżeli to było zabójstwo niezamierzone? Kapsler wpadł w gniew, chwycił, co było pod ręką, uderzył i zabił. Wtedy przestraszony tym, co zrobił, wywiózł ciało do lasu, porzucił. Pytania, pytania, pytania...

*

- Pan orientuje się, dlaczego przywieźliśmy pana do Warszawy?

- Nie.

- Niemożliwe?

Major odsunął protokół wstępnego przesłuchania, sporządzony w Komendzie MO w Gdańsku, i spojrzał Kapslerowi prosto w oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po - czym Szczęsny rzekł spokojnie:

- Pan wie.

Bezszelestnie obracały się krążki magnetofonu. Kapitan Kręglewski, który zjawiał się, jak tylko powiadomiono go, że przyjechali z Gdańska, przyglądał się złotnikowi uważnie, dziwiąc się trochę, że jest tak opanowany. A może on jest niewinny - przemknęła myśl.

- Magdalena Borek, pańska pracownica, została zamordowana w Warszawie - powtórzył Szczęsny to, co już Kapsler wiedział, z pierwszego przesłuchania. - Czy...

- Nie mam nic wspólnego z tą śmiercią - przerwał mu złotnik. - Już to mówiłem w Gdańsku. Nie wiem, kto zabił Borkównę, i jest mi bardzo przykro, że tak się stało.

- Kiedy i gdzie widział ją pan po raz ostatni.

- W Warszawie. We wtorek, szesnastego lipca.

- Gdzie?

- Mówilem przecież: w Warszawie.

- Warszawa, to duże miasto. Gdzie pan ją widział? Na ulicy, w kawiarni, w mieszkaniu, w kinie? Możliwości jest wiele.

Kapsler milczał. Gorączkowo szukał odpowiedzi, która byłaby przekonująca, a nie mówiła prawdy.

- Przyjechaliśmy razem, moim wozem, z Gdańska we wtorek rano - zaczął z namysłem. - Potem...

- Po co? - przerwał major. - Po co przyjechaliście?

- Miałem tu parę spraw do załatwienia. A Borkówna chciała przy okazji odwiedzić swoją krewną, Czarnecką.

- Pan zna tę krewną?

- Nie. Ale słyszałem, że mieszka gdzieś na Powiślu, Przyjechaliśmy około godziny dziewiątej rano. Ponieważ spieszyło mi się, nie odwoziłem Magdaleny do pani Czarneckiej, ale wysadziłem ją... zaraz, to było chyba na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej w pobliżu „Hortexu”. Umówiliśmy się, że ja wrócę jeszcze tego samego dnia, a ona zostanie w Warszawie dzień dłużej i przyjedzie do Gdańska w środę wieczorem albo w czwartek rano. Załatwiłem swoje sprawy. Wracalem nocą, lepiej się jedzie. Borkówna nie zjawiała się w Gdańsku. Prawdopodobnie już wtedy nie żyła.

Milczał chwilę.

- Więc wracał pan do Gdańska z wtorku na, środę, czyli z szesnastego na siedemnastego - powiedział Szczęsny. - O której pan wyjechał z Warszawy?

- Około dziesiątej wieczorem.

- I nie widział pan Magdaleny Borek od momentu, kiedy wysiadła z pańskiego samochodu na rogu” Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, tak?

- Przecież mówiłem.

- Ale ja pana pytam jeszcze raz: tak było?

- Tak.

Major podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

- Poproście go - rzekł do kogoś z tamtej strony aparatu.

Czekali kilka minut w zupełnym milczeniu. Kapsler, ze ściągniętymi brwiami, zastanawiał się, kogo mogli teraz przyprowadzić jako świadka.

Pamiętał, że zanim pojechali z Magdaleną do mieszkania „Karola”, zatrzymał samochód w pobliżu poczty na Ordynackiej, nadawał tam depeszę i list polecony. Dziewczyna czekała w wozie. Byli jeszcze na kawie w barku hotelu „Forum”, u „Karola” zjawili się na krótko przed jedenastą. A potem? Potem wyszedł stamtąd sam gdzieś koło czwartej po południu. Pojechał do „Szanghaju” na obiad. Później wstąpił po Husteckiego i zawiózł go do „Karola”, bo tak sobie tamten życzył. Jeżeli teraz każą mu się rozliczyć z każdej godziny, co powie? - szukał gorączkowo odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się, wszedł sierżant z wydziału ruchu drogowego, zameldował się i rzucił okiem na Kapslera.

- Sierzancie, czy poznajecie tego pana? - spytał Szczęsny, wskazując na siedzącego.

- Tak jest, obywatelu majorze. Zatrzymałem go na szosie do Otwocka, przekroczył dozwoloną prędkość.

Kapsler odetchnął z ulgą, mogło być gorzej.

- Rzeczywiście, jechałem wtedy za szybko - przyznał. - Ale było już późno, na drodze mało pojazdów, więc myślałem... Zresztą, po małej dyskusji przyznałem rację panu sierżantowi i zapłaciłem mandat.

- Macie kopię mandatu? - zwrócił się major do podoficera.

Ten wyjął bloczek, przerzucił kilka stron i podał Szczęsnemu.

- W porządku. Dziękuję, sierżancie. To wszystko.

Kiedy znów zostali we trójkę, major rzucił? jakby od niechcenia.

- Do Gdańska z Warszawy jeździ pan przez Otwock. Jest to akurat odwrotny kierunek: nie na północ, lecz na południe. Dlaczego jechał pan w ten sposób?

- Chciałem odwiedzić starego znajomego w Otwocku. Ale po tym incydencie zrezygnowałem i zawróciłem. Panie majorze, doprawdy nie rozumiem tych wszystkich pytań i całego przesłuchania! - zirytował się Kapsler, - Co wspólnego ma moja jazda do Otwocka ze sprawą zabójstwa Borkówny?

- Nie wiem jeszcze - odparł Szczęsny. - Wiem natomiast, że zwłoki Magdaleny Borek znalezione zostały w lesku, przy szosie prowadzącej na Otwock. Jak się nazywa pański znajomy, którego chciał pan odwiedzić? Proszę podać adres i nazwisko.

Kapsler zagryzł wargi. Nie chciał podać nazwiska ani adresu człowieka, który był dostawcą dzieł sztuki i obcej waluty. Dokładna rewizja w jego domu mogłaby mieć nieobliczalne skutki, zarówno dla właściciela jak i dla niego samego. Człowiek ten czekał na niego od paru dni i z pewnością miał u siebie towar. Kapsler nie pojechał do niego po zajściu z sierżantem, był na to zbyt ostrożny.

Jak to się stało, że zwłoki Magdaleny znalazły się w lesie, daleko od

domu, w którym mieszkał..Karol”? Zabili ją i wywieźli ciało właśnie tam, którądy on przejeżdżał w ten cholerny wieczór wtorkowy? - na to pytanie Kapsler nie umiał sobie odpowiedzieć.

- Czekam - rzekł major, nie spuszczać swych czarnych, wąskich oczu z twarzy złotnika. - Nazwisko i adres tego znajomego w Otwocku.

- To jest kobieta - mruknął wreszcie zapytywany. - Niestety, nie mogę wymienić jej nazwiska. Jest zamężna...

- Mam wątpliwości, czy ta kobieta w ogóle istnieje. Zapewnimy tej pani absolutną dyskrecję, ale nazwisko i adres musimy znać. Bo, widzi pan, panie Kapsler, mamy podstawy, aby sądzić, że chciał się pan pozbyć raz na zawsze swojej pracownicy. Ona panu zgubiła bardzo cenny obraz. I od tego momentu, to było jaszcz w kwietniu, bardzo się obawiała pańskiej zemsty.

Kapsler zbladł, ogarnęło go przerażenie. Skąd wiedzą o „Garści wiatru”? Jakim cudem ta sprawa przedostała się do milicji?!

- To nieprawda - odpowiedział, starając się opanować. - Jestem złotnikiem, zajmuję się wyrobem biżuterii, a nie obrazami. Nie kolekcjonuję dzieł sztuki, ani nie handluję nimi. Zresztą, założmy, że miałem jakiś powód, aby zabić Borkównę. Czy przywoziłbym ją w tym celu specjalnie aż do Warszawy? Nonsens. Zrobiłbym to w Gdańsku.

- Niekoniecznie - zauważył major. - Może chodziło panu o to, żeby zatrzeć ślad i zrobić to w innym mieście, zwłaszcza tak dużym jak Warszawa.

- Ja mam tego dość! - wykrzyknął Kapsler.

- Posądzacie mnie o zbrodnię? Po cholere miałbym ją zabijać? Proszę mi przedstawić jakiegokolwiek dowody. A teraz nie mam już ochoty

na ten temat rozmawiać.

Odwrócił się w stronę okna, założył nogę na nogę i zagryzł wargi. Mimo że niepokoiła go informacja o zgubionym obrazie, nie chciał się teraz nad tym zastanawiać.

- Myślę, że lepiej byłoby, gdyby pan zechciał z nami porozmawiać - wtrącił kapitan. - Gdyby pan na przykład opowiedział, jak spędził pan cały wtorkowy dzień szesnastego lipca. Zastanawiamy się też, dlaczego. Magda Borek bała się wracać do Gdańska? Pracowaliście przecież razem od kilku lat, nie było między wami większych konfliktów. A czy wyjaśniła panu, co zaszło tamtej kwietniowej nocy, po której znalazła się w szpitalu?

- Miała wypadek, potrącił ją samochód - odparł Kapsler.

- Tak panu powiedziała?

- Tak.

- Było zupełnie inaczej - rzekł Szczęsny. - Borkówna została ciężko pobita i porzucono ją, nieprzytomną, w nocy na ulicy. Odnaleziono ją dość szybko, została uratowana. Dziś można sądzić, że tamto pobicie było wstępnym krokiem do tego, co zdarzyło się teraz. Gdzie pan był w kwietniu?

- Za granicą - odparł przesłuchiwany z ulgą w głosie. - W Austrii. Wróciłem dopiero pod koniec maja.

- Panie Kapsler, do kogo Borkówna miała zawieźć obraz?

- Nie dawałem jej żadnego obrazu. Powtarzam raz jeszcze, że nie handluję obrazami, a na cenne prezenty mnie nie stać. Ta dziewczyna nic ode mnie nikomu nie zawoziła. Jeżeli ktoś ją pobił, to być może nawiązała przygodną znajomość w drodze. Albo też po prostu ktoś ją napadł i obrabował. Nic mi nie mówiła po powrocie do Gdańska. Ostatecznie,

jestem... byłem tylko jej szefem, a nie mężem czy ojcem. Skąd pan wie, że Magdalena bała się wracać do Gdańska? Rozmawiał pan z nią?

Szczesny nie odpowiadał, ale Kapsler skojarzył sobie to, czego się dowiedział, z tym, co mu było o Magdalenie wiadome. Jak gdyby odgadując jego myśl, Kręglewski pospieszył z wyjaśnieniem:

- Borkówna mówiła o tym swojej ciotce, Czarneckiej, która znajduje się obecnie w jednym z i naszych sanatoriów. Potrzebuje opieki. Milicyjnej również, jak sędzę.

Kapsler uniósł głowę, twarz mu pociemniała z gniewu.

- Jak ja mam to rozumieć?

- Po prostu prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, panie Kapsler. Chcielibyśmy, żeby Ram pan tego nie utrudniał.

- Przecież mówię... - Pan kłamie!

- Kiedy ja według pana powiedziałem nieprawdę?

- Już dwukrotnie.

- Ale kiedy. Proszę mi udowodnić.

- Pierwszy raz skłamał pan, mówiąc, że po raz ostatni widział pan Magdalenę Borek między dziewiątą a dziesiątą rano. A my wiemy, że widział pan ją również o wiele później. Drugi raz, twierdząc, że nie otrzymała od pana do przewiezienia żadnego obrazu, a my wiemy, że wiozła „Garść wiatru” pędzla Claude Perraulta...

Zapanowała cisza. Kapsler zastygł z na wpół otwartymi ustami, wpatrując się w majora z nieukrywanym przerażeniem. Szczesny patrzył na niego pozornie bardzo spokojnie, ale czuł, że po czole i policzkach spływają mu drobne kropelki potu. Nerwy były napięte do ostateczności, oczy pałały.

Teraz - myślał, to jest ten moment, na który czekałem. Powie. Teraz albo wcale... Musi zacząć mówić, musi.

Zaryzykował. Za jednym zamachem strzelił dwukrotnie prawie w ciemno. Mógł przez to położyć śledztwo, ale mógł też wygrać. Cholerny bluff! Da się złapać czy nie?

Milczenie przedłużało się. Kręglewski poruszył się niespokojnie, wyjął paczkę papierosów, podsunął Szczęsnemu, ale ten nawet nie drgnął, może zresztą nie zauważył. Nie spuszczał wzroku z Kapslera. Kiedy zadzwonił telefon, wszyscy trzej podskoczyli na krzesłach. Major podniósł słuchawkę, mruknął coś i odłożył.

Wreszcie prywaciarz jakby skurczył się, przygarbił i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak jakiś czas, potem opuścił ręce. Nie patrzył na majora. Jeszcze dwie, trzy sekundy ciszy i złotnik nie wytrzymał tego milczenia.

- Skąd pan wie? - szepnął.

Szczęśny nie odpowiedział. Czekał na następne słowa. Ale już wiedział, że wygrał. Poczł ogromne zmęczenie i z trudem stłumił radość. Zapalił, podał Kapslerowi papierosy, potem ogień.

- Skąd pan wie o „Garści wiatru”? - spytał Kapsler. Uniósł wzrok, miał wygląd obitego psa.

Wtedy Szczęśny zdecydowanym ruchem wyjął z teczki zdjęcie i położył na biurku tak, aby tamten mógł je obejrzeć. Była to fotografia obrazu-kopii.

- Widzi pan, że obaj mamy na myśli ten sam obraz - odparł z uśmiechem. - A to jest właśnie jego zdjęcie.

- Gdzie on jest? Obraz, gdzie jest? - wykrzyknął Kapsler

niecierpliwie. - Macie go tu, w komendzie?

- Więc komu Borkówna miała zawieźć „Garść wiatru”. Proszę nie zapominać, panie Kapsler, kto ma zadawać pytania.

Zapanowała dłuższa chwila milczenia, po czym pytany wzruszył ramionami i odparł:

- Nikomu. Kupiłem obraz okazji, w Gdańsku, od pewnego kolekcjonera, a ponieważ sam nie zbieram dzieł sztuki, postanowiłem sprzedać go do warszawskiego muzeum. Bałem się, że w czasie mojej nieobecności, kiedy wyjadę do Austrii, taka cenna rzecz może zostać skradzioną z mego mieszkania. Włamania nie są rzadkością. Poleciałem więc Borkównie, aby zawiozła obraz do Muzeum Narodowego i pozostawiła go tam, oczywiście za pokwitowaniem, a ja po powrocie do kraju miałem przyjechać do Warszawy i przeprowadzić transakcję sprzedaży. Jak pan już wie, Borkówna obraz zgubiła względnie, jeżeli rzeczywiście została wówczas napadnięta, ktoś ją okradł. Od tej pory, chociaż szukałem obrazu, nie natrafiłem na jego ślad. Być może, złodziej już go komuś sprzedał.

- Od kogo kupił pan „Garść wiatru” w Gdańsku?

- To był Anglik, kolekcjoner obrazów. Poznałem go przypadkowo w restauracji, zaczęliśmy rozmawiać o tym i owym, potem on wspomniał, że ma do sprzedania obraz.

- Ile pan zapłacił Anglikowi?

- Sto dwadzieścia tysięcy, tanio, bo rzecz jest warta więcej.

- Więc Borkówna zgubiła dzieło sztuki, za które pan zapłacił sto dwadzieścia tysięcy. Jak i kiedy ona o tym panu powiedziała?

- Po moim powrocie z Wiednia.

- Kiedy to było?

Kapsler zawahał się chwilę, zastanowił.

- Data powrotu jest w moich dokumentach podróży - odparł. - Nie pamiętam dokładnie, ale to było gdzieś pod koniec maja. Borkówna była już wtedy w Gdańsku.

- I wówczas pan się od niej dowiedział o wszystkim?

- Tak.

- Znowu kłamstwo - rzekł z wyrzutem w głosie. Przecież pisała do pana do Wiednia o tym wydarzeniu.

Kapsler poczerwieniał, zaciął wargi, milczał.

- Nie dostałem żadnego listu - powiedział wreszcie.

- Jak pan zareagował na wiadomość o zgubieniu obrazu?

- Cóż, była to dla mnie ogromna strata. Zdenerwowałem się. Skrzyczałem Borkównę, ale powiedziała mi, że potrafił ją samochód, straciła przytomność i ocknęła się w szpitalu, bez walizki i torebki. Cóż miałem robić?

- Jak się nazywa Anglik, który sprzedał panu to cenne płótno.

Znowu chwila wahania, a potem niechętna odpowiedź:

- Wolałbym... To jest pracownik angielskiej firmy, która ma swoich przedstawicieli w Gdańsku. Wolałbym nie mieszać go w tę historię, pan rozumie.

- Proszę pamiętać, że jest pan podejrzany o morderstwo.

Kapsler zaklął po cichu, westchnął ciężko, wreszcie wydusił z siebie:

- Eksport i import frezarek i części zamiennych. Mają lokal na Szewskiej. Ten facet nazywa się Jack Brown, Przyjechał do Polski na kilka miesięcy.

Obaj oficerowie byli prawie przekonani, że Anglik-kolekcjoner to nowe kłamstwo Kapslera. Jakież było jednak ich zdumienie, kiedy następnego dnia nadszedł radiogram z Komendy MO w Gdańsku, potwierdzający istnienie lokalu na Szewskiej i Jacka Browna. Co dziwniejsze Brown z miejsca potwierdził transakcję, trochę tylko zaniepokojony interwencją organów ścigania. Powiedział, że owszem przywiózł do Polski obraz, a że temat ani malarz nie interesował go, potrzebne mu były pieniądze, wobec tego sprzedał „Garść wiatru” Kapslerowi. Co do ceny, dogadali się przy kieliszku.

- Popatrz rzekł Szczęsny do Kręglewskiego. - Kapsler kupił za grubą forszę falsyfikat i miał zamiar sprzedać go do muzeum. Coś mi nie gra w tej całej transakcji.

- Anglik mógł wiedzieć, że to kopia, mógł też sądzić, że przywiózł prawdziwe dzieło sztuki. Nonsens!

- Dlaczego?

- Bo cenne dzieła sztuki sprzedaje się Amerykanom za kupę dolarów, W Anglii teraz kryzys finansowy, wątpię więc, żeby znalazł się tam amator na drogi obraz. Ale Amerykanie chętnie kupują i najlepiej płacą. Po cóż więc przywoziłby to do Polski?

- Bo wiedział, że to falsyfikat. Ale dlaczego Kapsler dał się tak okpić? Za tyle pieniędzy?! Poczekaj... Może jednak Kapsler wiedział, co bierze. I wcale nie chciał tego sprzedać do żadnego muzeum, na naiwnego to on nie wygląda. Miał tu prywatnego odbiorcę. I do niego Borkówna wiozła „Garść wiatru”. Od niej niestety, nic już się nie dowiemy, a Kapsler łąze na potęgę. Co ci powiedział prokurator?

- Kręcił nosem, a potem dał sankcję na następne czterdzieści osiem

godzin. Szczęsny, w tak krótkim czasie niewiele zdziałamy i Kapslera trzeba będzie wypuścić.

- Dobrze. Poślemy za nim „ogon”. Solidny „ogon”. Prędzej czy później Kapsler zacznie się kontaktować... Myślę, że jest pośrednikiem w jednym z dwóch warszawskich gangów. Wiem, nie kręć głową! Nie mam na to żadnych dowodów.” Ale mam intuicję. Dlatego powiedziałem tylko: myślę.

- Ja też myślę, że musi jak najszybciej rozpocząć działalność twój „gang”, zanim nie nastąpi drugie morderstwo. Wydaje mi się, że tutaj nie tylko chodzi o handel dziełami sztuki i walutą. Tu się zaczyna potężna walka między gangami!

- Dlaczego tak sadzisz?

- Zaczęli zabijać Na ogół tego nie robią. Pracują w białych rękawiczkach, czysto, cicho, kulturalnie! Ich ceł, to jak najwięcej zarobić. Może zresztą to nie jest rywalizacja, ale jakieś dawne porachunki? Trzeba bacznie obserwować podziemne środowisko przestępcze, facetów od mokrej roboty. Mogą być wynajmowani przez tamtych. Cholerny świat!

ROZDZIAŁ 6

Na parę dni wszystko ucichło. Lekarze schodzili Krzymuskiemu z drogi, on również ich unikał, na ile to było możliwe w czasie wspólnej pracy w szpitalu. I dopiero pod koniec tygodnia spotkał Henryka nowego, jeszcze boleśniejszy od poprzedniego, cios..Wychodził właśnie z sali operacyjnej, kiedy wezwano go do gabinetu profesora Koreywy. Od razu pomyślał, że chodzi o nominację na naczelnego lekarza kliniki numer trzy,

której się spodziewał.

Wszedł więc do gabinetu i zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Nie dostrzegł, a przynajmniej nie od razu, że Koreywo ma zakłopotany wyraz twarzy.

- Poprosiłem pana do siebie, panie kolego - zaczął, przeglądając jakieś papiery - bo... Zapali pan? - podsunął mu papierośnicę, staroświecką, ciężką i pozłacaną, z herbem na wierzchu.

Krzymuski przyjął papierosa, podał ogień. Zapalili, profesor chrząknął, zakaszłał d3rskrotnie i rzekł:

- Co to ja chciałem... A, no tak. Więc, panie kolego Krzymuski, chyba zdaje pan sobie sprawę, jak cenię pańską pracę i doświadczenie chirurga. Prawda?

Henryk poczuł się zażenowany, bąknął, że i on bardzo sobie ceni takie uznanie, umilkł i spojrzał na Koreywę wyczekująco. Tamten jednak nie śpieszył się z dalszym ciągiem. Siedzieli tak chwilę, paląc i spoglądając na siebie ukradkiem. Wreszcie profesor odłożył nie dokończonego papierosa i powiedział:

- Proszę mi wierzyć, że wolałbym teraz, aby ktoś inny siedział za moim biurkiem i wyręczył mnie w tym, co mam panu zakomunikować. Właśnie dlatego, że pana cenię i... po prostu, moim obowiązkiem jest... zwłaszcza że parę miesięcy temu ja sam złożyłem panu tu, w tym pokoju, pewną obietnicę. - Umilkł, a potem dodał: - I dlatego ja sam muszę... Bo, niestety, muszę tę obietnicę wycofać.

Spojrzał Henrykowi prosto w oczy, dostrzegł, jak źrenice chirurga rozszerzają się ze zdumienia. Dostrzegł w nich coś jeszcze, czego nie spodziewał się - strach. Ażeby mieć to za sobą, dorzucił jeszcze w

pośpiechu:

- Chodzi o stanowisko naczelnego lekarza w trzeciej klinice. Niestety, nie może pan tej nominacji otrzymać.

Nastała chwila ciszy. Krzymuski miał twarz białą jak kreda, kiedy wolno, rozdzielając słowa, zapytał:

- Czy byłby pan łaskaw, panie profesorze, powiedzieć mi, dlaczego?

Koreywo westchnął ciężko, poprawił się w fotelu. Wolałby na to pytanie nie odpowiadać, wiedział jednak, że byłaby to niełojalność. Człowiekowi, siedzącemu naprzeciw niego, należała się prawda. Do diabła, sam powinien się domyśleć! - pomyślał z irytacją.

- Panie kolego - zaczął ostrożnie, ważąc każde słowo. - Zdaje pan sobie przecież sprawę z sytuacji, w której pan się znalazł w ostatnim czasie. Ja wiem, ja wiem! - zastrzegł się, zrobił ruch ręką, jakby czemuś przeczył. - Został pan aresztowany, choć wiem, że nie jest pan winien. Dokładnie mówiąc, nie aresztowany, ale zatrzymany do wyjaśnienia. Uwikłano pana w paskudną historię, ja panu wierzę. Zresztą, prokurator też mi to tak przedstawił. Gdyby było inaczej” to... no, po prostu nie zostałby pan wypuszczony, a pan pracuje w szpitalu, jak dawniej. Każdemu z nas może się przytrafić coś podobnego, ale nominacja na tak bądź co bądź wysokie i odpowiedzialne stanowisko, właśnie teraz, kiedy dopiero co zakończono... przeciwko panu śledztwo, byłaby posunięciem bardzo ryzykownym. Mówiąc prościej, nie otrzymałem na to zgody.

- Ja naprawdę w niczym nie zawiniłem! - zareagował Henryk porywczo, choć nie chciał tego powiedzieć, nie widział powodu, aby tłumaczyć się i upokarzać. Słowa te jednak wyrwały mu się mimo woli..

- Powiedziałem już, że ja panu wierzę - odparł profesor równie

gwałtownie, - To że nie dostałem zgody. Rozumie pan? Czy pan przypuszcza, drogi kolego - ciągnął Koreywo - że gdybym był przekonany o pańskiej winie, to bym w ten sposób dzisiaj z panem rozmawiał? Na pewno nie. Zresztą... - urwał, szukał słów. - Musimy odczekać Niech się to wszystko skończy. Ten proces i tak dalej. Zobaczymy, potem się rzecz jakoś ułoży. Nie trzecia klinika, to inna. Uporządkuje pan swoje sprawy... no, te rodzinne.. Nie wiem, może byłoby lepiej, żeby pan na pewien czas wyjechał? Co? Jak pan sądzi?

- Zostałoby to potraktowane jako, ucieczka.

- Ależ - zachnął się profesor. - Miałem na myśli wyjazd do któregoś ze szpitali za granicą. Mam sporo znajomych. Zapoznałby się pan z tamtejszymi metodami operacji kostnych.

- Panie profesorze, ja nie mogę wyjechać za granicę teraz, kiedy toczy się dochodzenie. Odpowiadam wprawdzie z wolnej stopy, ale jednak odpowiadam. Poza tym trwa dochodzenie przeciwko mojej żonie i memu bratu. Choćbym chciał, nie mogę wyjechać.

Wstał. Koreywo podniósł się również, rozumiał doskonale, co w tej chwili musiał odczuwać chirurg. Wyciągnął do niego rękę na pożegnanie. Lubił go.

Potem już wszystko toczyło się jak w koszmarnym śnie. We wtorek było zebranie wyborcze do rady zakładowej. Krzymuski przyszedł ostatni, wcisnął się w kąt sali, usiłował czytać gazetę. Nie chciał patrzeć na te ukradkowe spojrzenia, pochylone ku sobie głowy, nie chciał słyszeć strzępów rozmów prowadzonych konspiracyjnym szeptem. Może mu się zresztą zdawało, że go tak pilnie obserwują i wciąż o nim mówią... Od tygodnia zasypiał dopiero po dwóch, trzech proszkach, ciężkim snem po

którym rano zrywał się na wpół przytomny. Miał ochotę nie przyjść na to zebranie, ale wiedział, że to byłoby jeszcze gorsze, wtedy mówiliby o nim jawnie i bez skrępowań.

Okulista, docent Żarnecki, zgłosił kandydaturę do rady. Malcowa, internistka, rzuciła jakiś dowcip, sala roześmiała się, zadowolona z przerwania oficjalnego nastroju.

Henryk z trudem dotrwał do końca zebrania. Wyszedł pierwszy, aby już nic nie słyszeć, nikogo nie widzieć. Ze szpitala wybiegł, aż portier obejrzał się za nim niespokojnie, kategorię ruchem ręki zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i chociaż normalnie takie rzeczy rzadko się zdarzają, kierowca przyhamował przed wejściem, mimo iż parę metrów dalej ludzie czekali na postoju.

Kiedy znalazł się w domu, wyłączył telefon. Potem wyjął z szafki butelkę wódki, położył się na tapczanie i odbił korek. Pod ręką miał przygotowaną fiolkę z proszkami nasennymi. Wiedział, był przecież lekarzem, że nie wolno łączyć ich z alkoholem, bo skutki mogą być tragiczne.

Chciał, żeby były.

*

„Antars” miał w stolicy kilka sklepów, największy z nich i najbardziej okazały usytuowany był w samym centrum, na Nowym Świecie. Do tego sklepu wchodziło się trochę jak do muzeum, a trochę jak do salonu wystawowego, tyle było w nim obrazów, starych serwisów, wazonów sprzed stu czy dwustu lat, okazów białej broni, figurek, małych, lecz niezwykle cennych gobelinów, starych ikon i czego tam jeszcze. Pomiędzy dziełami sztuki poutykano jednak również pseudomalowidła,

rzeźby-bohomazy, straszliwe posążki niby-bożków, na nie też znajdowali się amatorzy i płacili słone ceny. Dla tych amatorów istniał i doskonale prosperował „Antars”. Po rzeczy naprawdę wartościowe przychodzono tu rzadko. Te transakcje odbywały się zupełnie gdzie indziej.

Toteż pani Matylda, elegancka starsza pani ubrana w letnią wytworną suknię, którą trudno było czymkolwiek zadziwić, jak zwykle zwróciła się do nowego klienta ze słowami:

- Mamy tutaj autentyczne prymitywy, rzeźby z pewnej wsi w Bieszczadach, robione z drewna, suszonego starym, dziś już w ogóle nie znanym spo...

- Nie interesuje mnie prymityw - przerwał jej w pół słowa. - Chodzi mi o dzieła sztuki - z dawnych lat. Malowane lub rzeźbione przez artystę, nie przez samouka. Urządzam mieszkanie i chcę, żeby było piękne Czy ma pani tutaj coś naprawdę cennego?

Przyjrzała mu się z uwagą. Był to mężczyzna w średnim wieku, na sobie miał jasne, świetnie skrojone ubranie i eleganckie buty w tym samym szarym odcieniu. Gęste włosy były w kolorze lekko kasztanowatym, twarz pociągła, zarumieniona, oczy zasłonięte dużymi, ciemnymi okularami. Dostrzegła dwa grube pierścienie na palcach i złoty zegarek, podobał jej się krawat w szaroperłowym odcieniu, w który, niemodnym dziś zwyczajem, wpięta była szpilka z małym, połyskującym kamieniem.

Ta lustracja trwała zaledwie kilka sekund, pani Matylda miała w tym względzie dużą wprawę. Uśmiechnęła się grzecznie, przeniosła wzrok z klienta na sklep i ruchem ręki przywołała młodszą ekspedientkę.

- Poproś pana kierownika - powiedziała do niej Potem znowu

odwróciła się do mężczyzny w szarym ubraniu. - Mamy sporo pięknych dzieł sztuki i jesteśmy nimi w stanie przyozdobić nie jedno, lecz wiele mieszkań - wskazała na gabloty i półki. - Czy chciałby pan poradzić się naszego eksperta? Jest to młody znawca malarstwa i rzeźby. Jego porady są bezpłatne.

Klient pomyślał chwilę, potem skinął przyzwalająco głową. Z głębi sklepu, jakby tylko na to czekając, wynurzył się bardzo zarośnięty młodzieniec, niedbale ubrany. Zbliżył się, ukłonił i spojrzał na klienta wyczekująco.

- Chciałbym zakupić kilka obrazów, zależy mi na mistrzach starej szkoły... - rzekł mężczyzna w ciemnych okularach. Zarośnięty młody człowiek wykonał parę gwałtownych ruchów ramionami, kaszlnął i powiedział

- Mistrzowie starej szkoły znajdują się w muzeach. W naszych sklepach mamy albo bardzo dobre kopie, robione znacznie później, albo obrazy malarzy średniej klasy.

Klient mierzył niechlujnego, lecz prawdomównego znawcę niedowierzającym spojrzeniem, a pani Matylda ściągnęła wąskie, cienkie brwi i rzekła niechętnie:

- Oczywiście, że dzieła najwyższej klasy znajdują się w muzeach. Tym niemniej, może pan u nas wybrać kilka naprawdę pięknych, wartościowych obrazów. Zresztą - obejrzała się, odsunęła na bok - pan kierownik pana świetnie poinformuje.

Kierownik był duży, tęgi, patrzył bystro niewielkimi oczami, na wpół ukrytymi w tłustych fałdach powiek. Podszedł do nich, popatrzył na klienta i spytał:

- Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

- Sądzę, że tak - odparł człowiek, który chciał urządzić mieszkanie. - Obawiam się tylko, że nie dysponujecie tym, czego szukam. Ale może znajdzie pan coś w magazynie?

Zauważył błyskawiczną wymianę spojrzeń pomiędzy kierownikiem i panią Matyldą. Młody ekspert ulotnił się i przepadł w drugim końcu sklepu. W lot zorientował się, że przy kierowniku nie ma co robić.

- To, co jest w magazynach, mamy w naszej ewidencji - wyjaśniła z pobłażliwym uśmiechem starsza ekspedientka, - Wszystko jest wpisane do ksiąg i w każdej chwili możemy pana o wszystkim poinformować. A nawet, zaprowadzić pana inspektora do magazynu.

- Nie jestem inspektorem - roześmiał się klient. - Nie przychodzę z żadnej kontroli czy coś takiego. Po prostu, chcę sobie ładnie i gustownie urządzić mieszkanie. Spodziewam się niedługo gości z zagranicy. A może pan do mnie zechce zajrzeć, rozejrzeć się i doradzić? - zwrócił się do kierownika. - Samochód stoi przed sklepem. Teraz lub o innej porze?

Kierownik przyglądał się uważnie mówiącemu. Na jego bladej, nalanej twarzy nie odbijało się nic, była jak nieruchoma maska. Klient umilkł i wyraźnie czekał na odpowiedź, przez chwilę panowała cisza. Wreszcie kierownik odpowiedział uprzejmie:

- Mam mnóstwo zajęć i byłoby mi trudno, wie pan... Ale mogę przysłać kogoś, kto doskonale mnie zastąpi. Proszę podać adres i numer telefonu. Jak godność, pana? - Stanisław Kordon. Proszę, to jest mola wizytówka, tam jest adres i telefon. Rano można mnie zastać gdzieś do dziewiątej, a potem wieczorem. Jak się nazywa człowiek, który ma ewentualnie przyjechać? Bo, rozumie pan...

- Rozumiem. On zresztą wcześniej do pana zatelefonuje. Nazywa się Józef Mile.

- W porządku. Oczekuję u siebie pana Milca. Do widzenia.

Pani Matylda wyjrzała przez szybę wystawową.

- Wsiadł do... tak, to jest Ford-mustang. Ciemnowiśniowy. Ładny wóz, Z rejestracją warszawską.

- Dobra - mruknął kierownik. Wsadził ręce w kieszenie i kołysał się na piętach, mocno czymś zamyślony. Potem rozejrzał się po sklepie, jeszcze chwilę się zastanawiał, w końcu poszedł wewnętrznymi schodami do biura.

„Moher” sprawdził raz jeszcze numer mieszkania, potem położył palec na dzwonku. Odezwał się melodyjny gong, a po chwili w drzwiach stanął Stanisław Kordon.

- Pan Mile? - spytał, głos miał trochę zdziwiony.

Być może spodziewał się, że wysłannik kierownika „Antarsu” będzie podobny do zarośniętego eksperta ze sklepu przy Nowym Świecie. Ale „Moher” wiedział, jak powinien wyglądać, kiedy przyjeżdża do kogoś, kto chce kupić wartościowe obrazy. Toteż miał dziś na sobie skromny, lecz starannie uszyty garnitur, nieskazitelnie białą koszulę z krawatem bordo i tylko obrączkę, żadnych pierścieni czy fałszywych sygnetów z cudzym herbem.

- Tak, jestem Józef Mile - przedstawił się formalnie. - Z „Antarsu”.

Kordon odsunął się i wpuścił go do mieszkania, potem zamknął drzwi.

- Proszę - powiedział. - Whisky czy koniak? - zaproponował bez wstępów.

- Whisky z lodem, jeżeli można. Straszny dziś upał.

Rozejrzał się po pokoju. Trochę go to zastanowiło, że na dobrą sprawę klient był już właściwie urządzony, nawet wisiały dwa obrazy. Kordon podchwycił jego spojrzenie, uśmiechnął się lekko.

- To jest mój gabinet do pracy - rzekł, kiedy usiedli w miękkich, klubowych fotelach. - Tutaj mam wszystko, co mi jest potrzebne. Natomiast w pozostałych pokojach, jak wspomniałem podczas wizyty w sklepie, stoją tylko meble. Ściany są jeszcze gołe. Tak się złożyło, że do tej pory nie mogłem się tym zająć. Zaraz tam przejdziemy.

- Dawno pan wrócił do kraju?, jeżeli wolno spytać? - „Moher” dostosował nawet tembr głosu do tego pokoju o dostojnych, ciemnych meblach i do wytwornego gospodarza.

- Niespełna trzy miesiące temu. Ale skąd pan wie, że byłem za granicą?

- O, proszę pana - „Moher” uśmiechnął się z szacunkiem. - Wie się to i owo o naszych potencjalnych klientach. Również kierownik z miejsca zorientował się, że ma do czynienia z człowiekiem na wysokim poziomie.

- Długo pan pracuje w „Antarsie”? - zapytał Kordon nie reagując na pochwałę.

- Długo. Kilkanaście lat

- Dobrze pan zarabia?

„Moher” zmieszał się, na to pytanie nie był przygotowany.

- No, wie pan... Człowiek nigdy nie jest w pełni zadowolony ze swego wynagrodzenia. Zawsze chciałoby się mieć więcej.

- Rozumiem. Zobaczymy, jeżeli pomoże mi pan... A zresztą, chodźmy do tamtych pokoi. Chciałbym każdy z nich ozdobić innym

rodzajem dzieł sztuki. O tutaj na przykład, na tej najdłuższej ścianie widzę trzy obrazy jednego malarza, Albo przynajmniej podobne w treści, w kolorystyce, coś takiego... W tym małym pokoju zmieści się chyba co najwyżej jakiś ładny gobelin i duży wazon, stojący na dywanie. A ten trzeci pokój, moją sypialnię, udekorowałbym jednym, efektownym obrazem, na tej ścianie z boku, i dwoma małymi szkicami lub grafiką po drugiej stronie drzwi. Poza tym, kupiłbym jeszcze parę niewielkich akwarelek do przedpokoju. Oczywiście, nie takich z Rynku na Starówce.

„Moher” w skupieniu rozglądał się po pokojach, przytakiwał lub zaprzeczał, jego zachowanie było pełne szacunku. Zgodził się z gospodarzem, że za prawdziwe dzieła sztuki trzeba dużo zapłacić, westchnął i dodał niby mimochodem, że miewa od czasu do czasu prywatne okazje... Ale nie ma na to pieniędzy. Żałuje, bo trafiają mu się rzeczy piękne, które musi z żalem odesłać do sklepów „Antarsu”.

Kordon nie podjął tematu. „Moherowi” zdawało się nawet, że coś jakby lekki grymas niechęci, jakby drobny wyrzut w przelotnym spojrzeniu... Trzeba z nim uważać - osądził.

Jednakże kiedy znowu usiedli w fotelach i Kordon napełnił szklaneczki whisky, dorzucając kostki lodu, odezwał się z namysłem:

- Wspomniał pan o prywatnych okazjach...

- Szanuję swoje obowiązki, jako pracownika „Antarsu”. Po prostu, znam wiele osób, niektóre z nich od czasu do czasu sprzedają bardzo wartościowe obrazy lub rzeźby. Są to potomkowie dawnego ziemiaństwa i arystokracji. Przychodzą do mnie, pytają, czy nie kupiłbym. Ja albo ktoś z moich znajomych. Niestety, najczęściej muszę odmówić. Ostatnio na przykład trafiał się przepiękny Kossak...

- Który? - przerwał gospodarz.

- Naturalnie, Juliusz. Wyższa cena, pan rozumie. Właściciel chciał tylko sto trzydzieści tysięcy, to jest prawie darmo. - Olej, fantastyczny koloryt.

- I kto kupił?

- Zdaje się, że jeszcze nikt. To było kilka dni temu.

Kordon zamyślił się. Przeniósł wzrok na ściany swego gabinetu, wstał, przeszedł się kilkakrotnie, znów spojrzął na ściany. Mruknął coś do siebie. „Moher” obserwował go z natężoną uwagą.

- Bardzo lubię Kossaka...

- Ja również - odparł „Moher” grzecznie. Po dwóch szklankach whisky lubił nie tyle Kossaka, co niektórych ludzi, zwłaszcza tych, którzy mają pieniądze, z których on mógłby skorzystać.

- Proszę pana - odezwał się Kordon, ważąc coś w myślach - czy mógłby pan mnie skontaktować z właścicielem tego obrazu?

„Moher” milczał, marszczył brwi. Odpowiedział niepewnie:.

- Wie pan, ja... zasadniczo, mnie nie wolno tego robić. Ja powinienem dbać o interes firmy. Jeżeli kupi prywatny nabywca, to „Antars” straci.

- A pan?

- Co ja? Ach, pan pyta, czy ja stracę, czy zarobię? No cóż, ja dostaję swoją pensję.

- Nie ma pan procentu od transakcji?

- Teraz już nie. Było tak kiedyś, ale potem to skasowali. Podwyższyli nam pensje. No, niewiele - uśmiechnął się przepaszająco, jakby to właśnie on Kordonowi dał zbyt skromną podwyżkę.

- Czy pan już tego człowieka skierował do „Antarsu”? Tego z Kossakiem.

- Powiedziałem mu, żeby do nas przyniósł obraz, ale odmówił. Będzie szukał prywatnych nabywców.

- Dlaczego?

- Bo my nie kupujemy, tylko bierzemy w komis. Może przyjść nabywca, może nie przyjść. A ten pan potrzebuje szybko gotówki. Kupuje samochód czy coś w tym rodzaju.

- Skoro on nie przyjdzie do „Antarsu”, to przedsiębiorstwo nie straci. Więc w czym rzecz? Nie rozumiem pańskich skrupułów! Dam panu dobrą prowizję. Jeżeli kupię tego Kossaka, otrzyma pan dziesięć procent. Tylko proszę o nic się nie targować, bo nie dam.

„Moherowi” rozjaśniła się twarz, Kiedy Kordon zaczął mówić w ten sposób, jasno i szorstko, cała transakcja stawała się normalna, bez jakichś tam ugrzecznień, dyplomacji, słownych ukłonów w obie strony. Interes, to jest interes, tu się mówi rzeczowo i bez owijania w bawełnę.

- Żeby nie było nieporozumień - rzekł, dolewając sobie whisky. - Daje mi pan, przy zawarciu tej transakcji trzynaście tysięcy złotych na rękę?

- Tak. Oczywiście, pod warunkiem, że obraz mi się spodoba i nie będzie falsyfikatem.

- Falsyfikat to nie jest - odparł „Moher” obrażonym tonem. - Ja się na tym znam.

Chwilę patrzyli sobie w oczy, potem „Moher” uśmiechnął się szeroko. Whisky szumiała przyjemnie w głowie. Postawił szklanę trochę za mocno, parę kropel wylało się na stół. Wytarł je rękawem marynarki,

wyciągnął nogi w wygodnym fotelu.

- Więc kiedy pan się chce z nim zobaczyć? - spytał.

Umówili się, że właściciel obrazu przyjedzie z „Molierem” do mieszkania Kordonia po uprzednim telefonicznym uzgodnieniu. Kordon prosił, aby transakcja odbyła się u niego w domu, gdyż chciał, jak się wyraził, przymierzyć Kossaka do ścian.

Sprzedawca zjawił się już następnego dnia...Moher” uważał, że szkoda tracić czasu na przeciąganie sprawy i namysły, na co Kordon z właściwą mu rzeczowością dodał, iż szkoda go również na zbędne wyjaśnianie, i poprosił o pokazanie obrazu.

Właściciel - były ziemianin, człowiek niemłody, siwowłosy i dostojny, o tak zwanym rasowym profilu i twarzy nabiegłej krwią, co wskazywało na kłopoty z ciśnieniem, wyjął z kartonu płótno oprawne w wąskie pozłacane ramy i położył je na stole, po czym usiadł w klubowym, fotelu i wyjął papierosy. Zapalił, nie częstując nikogo, zdawało się, obojętny na wszelkie sprawy tego świata, z Kossakiem włącznie.

Kordon wziął obraz do ręki, podszedł do okna i zaczął mu się uważnie przyglądać. Po kilku minutach rozejrzał się po pokoju, choć z pewnością już wcześniej przygotował sobie miejsce, gdzie płótno miało się znaleźć. Zdjął teraz ze ściany, pod którą stało biurko, niewielki pejzaż, reprodukcję któregoś z impresjonistów, przyłożył na to miejsce Kossaka i spytał:

- Jak panowie sądzicie, pasuje? - Ziemianin o arystokratycznym nazwisku nie zareagował. Można było sądzić, że ignoruje metodę przymierzania Kossaków do biurka i tapety. Natomiast Moher” zerwał się z fotela, odszedł parę kroków, zmrużył oczy i przypatrywał się temu jakiś

czas.

- Wspaniale - wykrzyknął. - Daleko bardziej pasuje niż ta reprodukcja. Lubi pan konie i będzie pan je miał nad głową, kiedy siądzie pan przy biurku. Doprawdy, pięknie to wygląda! - zachwycił się.

- Ja również sędzę, że Kossak dobrze nadaje się nad biurko - rzekł Kordon. Zerknął na właściciela obrazu i dorzucił: - Zwłaszcza ładnie kontrastuje z tapetą.

Twarz siwowłosego pana poczerwieniała jeszcze bardziej, zdawało się, że krew z niej tryśnie „Molier” zaniepokoił się. Stary gotów wykitować i będą miał kłopoty - pomyślał. Trzeba zadziałać.

- Wobec tego, może od razu przystąpimy do transakcji? - zaproponował uprzejmie. - Pan - zwrócił się do ziemianina - chce sprzedać, a pan Kordon kupić nie ma problemu.

- Sto trzydzieści pięć tysięcy - powiedział właściciel Kossaka.

- Jeżeli mnie pamięć nie myli - rzekł Kordon - mowa była wczoraj o stu trzydziestu?

- Owszem, to prawda - odparł właściciel. - Wczoraj i jeszcze dzisiaj rano było sto trzydzieści. A te pięć to płaci pan za przymierzanie Kossaka do tapety.

Kordon osłupiał. Miał jednak poczucie humoru, więc roześmiał się i potraktował starszego pana jako dobrego partnera w grze. Śmiejąc się jeszcze, odliczył dodatkowe pięć tysięcy. Kiedy się zegnali, dojrzał w wyblakłych oczach ziemianina coś jakby iskierki rozbawienia. Skłonił się, a ruchem reki zatrzymał „Mohera”, który zresztą wcale się nie spieszył do wyjścia. Czekał na swoją prowizję.

Usiedli przy stole, popatrzyli na nabytek. Zawieszony nad biurkiem

rzeczywiście czuł się tu dobrze, chyba tak jak jego obecny właściciel. Kordon przyglądał się chwilę obrazowi, potem znowu wyjął pieniądze.

- Należy mi się trzysta pięćset - uprzedził „Moher”, śledząc odkładane na stół banknoty. - Miało być od zawartej transakcji.

- Daję panu trzysta pięćset. Niepokój zbyteczny. Z jakimi ludźmi miał pan dotychczas do czynienia?

Kordon uniósł brwi w górę, a „Moher” jak gdyby zawstydzony się i bąknął:

- Przepraszam. Wie pan, różnie bywa... Kiedy przyjdzie pan do „Antarsu” po inne obrazy? Bo kierownik mnie pytał. O tym Kossaku, to chciałbym pana prosić, aby zostało między nami, dobrze? Bo mógłbym mieć nieprzyjemności.

- Załatwione. Nie mówmy już o tym. Whisky? Sam pan mi przecież mówił, że ten arystokrata nie chciał oddawać Kossaka w wasz komis.

- Chętnie.

Po kwadransie rozmowy o tym i owym Kordon powiedział jakby mimochodem.

- Z tego, co widziałem u was w sklepie, właściwie nic bym nie kupił. Może pan zna jeszcze jakichś ludzi, którzy mają ochotę pozbyć się wartościowych dzieł sztuki? Naturalnie, pan znów by dodatkowo zarobił.

„Moher” uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie. Dla niego, który zarobek liczył właściwie dopiero od stu tysięcy, taka prowizja od sprzedaży jednego czy nawet kilku obrazów właściwie nie liczyła się specjalnie. Nie gardził jednak małymi transakcjami, gdyż czasem prowadziły do większych zarobków.

- Sądzę, że mógłbym to zrobić - odparł ostrożnie. - Tylko ze

niektórzy sprzedawcy biorą wyłącznie obcą walutę.

- Interesujące - zauważył Kordon.

- Co?

- No, te upodobania. Ja mam podobne. Roześmieli się. Mimo to „Moher” stał się nagle nieufny. Zbyt szybko i łatwo to szło. Postanowił przemyśleć wszystko spokojnie w domu. A przede wszystkim dowiedzieć się o Kordoniu czegoś więcej. Wstał więc z trudem z głębokiego fotela, odruchowo pomacał się po wewnętrznej kieszeni, w której był portfel, teraz nieco grubszy.

- Transakcje walutowe są zabronione - powiedział. - Chciał, żeby wypadło to jak najpoważniej, ale akurat zaczęła go męczyć czkawka!

- Co pan powie! - mruknął Kordon, nie ruszając się z miejsca.

Prawie leżał w fotelu i spoglądał na stojącego przed nim „Mohera” z wyraźną uciechą. Duże ciemne okulary nie pozwalały dostrzec jego oczu, ale w głosie drgał ledwo powstrzymywany śmiech. „Moher” zaniepokoił się po raz drugi.

- To ja już pójdę - rzekł.

Zamiast jednak przejść w stronę drzwi, oparł się ręką o stół i jakby na coś czekał. Wtedy z ust Kordonia zniknął nagle uśmiech, rysy twarzy ściągnęły się.

A może pan by ode mnie coś kupił? - spytał. - Obaj lubimy konie, ale czy to musi być koniecznie Kossak?

„Moher” milczał przez chwilę. Potem siadł z powrotem, sięgnął po whisky, ale zaraz ręka mu opadła. Nie był to odpowiedni moment do picia. Skupił myśli.

- Oczywiście, że nie - odparł swobodnie. - Może być na przykład

Brandt, Chełmoński czy Wierusz-Kowalski.

- A czy to musi być koniecznie obraz polskiego malarza?

- Czy musi... Nie, jasne, że nie. A co pan chce sprzedać?

Kordon nie odpowiedział. Bawił się zapalniczką. Kiedy milczenie przedłużało się, „Moher” powtórzył pytanie.

- Wcale nie jestem przekonany, że chcę - odrzekł wreszcie gospodarz.

- Tak tylko powiedziałem. Ten obraz jest zbyt piękny, żeby go komukolwiek odstąpić. Ale z drugiej strony, mam obawy... Nie bardzo mógłbym go zawiesić w mieszkaniu.

- Taki duży?

- Nie, skądże! Nie o to chodzi.

- Rozumiem. Nie może pan go tutaj trzymać ze względu na pochodzenie tego obrazu. Trafiłem?

- Mniej więcej. I dlatego czasem przychodzi mi na myśl, żeby go sprzedać. Ale to byłaby zawrotna suma, na jaką pana nie stać. No, dobra! - Podniósł się, wyciągnął do „Moliera” rękę na pożegnanie. - Znowu stał się bardziej oficjalny, niemal sztywny. - Jeżeli znajdzie pan dla mnie coś interesującego, proszę zadzwonić. Do zobaczenia.

Odprowadził go do drzwi i zamknął je starannie.

*

„Boss” długo milczał, swoim zwyczajem pocierając kark i drapiąc się za uchem. Dzień był chłodny, deszczowy, po wczorajszej burzy miało, według zapowiedzi w telewizji, wyjrzeć słońce, ale nie wyjrzało. Temperatura spadła do dziesięciu stopni, co w lipcu było po prostu nieprzyzwoite.

„Boss”, kazał przepalić w kaloryferach, miał w piwnicy własną małą kotłownię. Do różnych posług, jak drobne naprawy i cięższe roboty w ogrodzie wykorzystywał niektórych ze swoich nainędzniejszych „koników”, najczęściej recydywistów, bo byli całkowicie od niego zależni. Pracowali tutaj dorywczo, potem mogli pić i spać przez tydzień, a taki tryb życia bardzo im odpowiadał. Agnieszka chodziła pomiędzy nimi jak królowa, patrzyli jej pokornie w oczy i spełniali każde życzenie, bo wiedzieli, że wysokość zapłaty zależna jest w dużym stopniu od jej dobrego humoru.

- Kto to jest? - spytał wreszcie „Boss”. - Samo imię i nazwisko mi nie wystarczy. Chcę wiedzieć dokładnie.

„Moher” usiadł naprzeciw niego, wyjął mały notes. Nie zdążył go otworzyć, kiedy „Boss” ruchem błyskawicznym i zadziwiająco szybkim jak, na jego tuszę wyrwał mu go z ręki. Zaczął przeglądać kartka po kartce. „Moher” nie odważył się na uśmiech, chociaż miał wielką ochotę. Znał swego szefa tak dobrze, że nie przyniósłby do jego domu czegoś, co go mogło zdekonspirować, czy po prostu wkopać. W notesie były same obojętne sprawy, trochę adresów dziewcząt z instytucji, a także kilka niecenzuralnych dowcipów. „Moher” wiedział, że „Boss” szalenie lubi takie dowcipy.

Nie zdziwił się więc, jak po chwili tłuście ciało zaczęło drgać, podrygiwać w fotelu, aż w końcu zarechotał na całe gardło.

- Skąd to masz? - spytał, oddając mu notes.

- Te kawały? No, słyszy się to i owo od ludzi.

- Dobrze. Po coś wyciągnął notatki, kiedy cię zapytałem o Kordonia.

„Moher” wzruszył ramionami. Sam nie wiedział dlaczego. Żadne

zapiski nie były mu w zasadzie potrzebne, wszystko miał zanotowane w głowie.

- Mów!

- Stanisław Kordon, lat czterdzieści sześć, z zawodu filolog. Przez dwanaście lat był na różnych placówkach dyplomatycznych i konsularnych. Żonaty, jedno dziecko Wrócił do kraju trzy miesiące temu, na razie sam Podobno, ale tego dokładnie nie udało mi się sprawdzić, miał jakiś zatarg ze swoim szefem Kordon od czasu do czasu przyjeżdżał do kraju. Teraz podobno ma przejść do Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Udało mi się przedrzeć przez sito trochę poufnych informacji... Otóż, Kordoniowi zarzucają, ale nie ma na to na razie dowodów, że umieścił sporo forsy w jednym z banków szwajcarskich. Ponadto posądzany jest o pokątny handel dewizami. Są to na razie podejrzenia, w innym wypadku miałby już sprawę.

- I ma przejść do handlu zagranicznego? W tej sytuacji, wątpię.

- Podobno. Te informacje o banku i handlu nie są dokładnie sprecyzowane. Ktoś mu podkłada może świnie, bywa tak między ludźmi. W każdym razie, jedno jest pewne: facet posiada dużą gotówkę. Ma ładne, trzypokojowe mieszkanie. Ale najważniejsze, szefie, zostawiłem na koniec.

- No, no? - zachęcił go „Boss”, udobruchany dowcipami.

„Moher” powtórzył fragment swojej rozmowy z Kordonem, dotyczący ewentualnej sprzedaży jakiegoś cennego obrazu, przedstawiającego konie.

- Ten obraz - zakończył - gość dostał albo z przemytu, albo z kradzieży. Dlatego nie może go po prostu mieć, nie może zawiesić na

ścianie, boby po prostu wpadł. I teraz, szefie, pomyślałem: jeżeli to jest rzecz trefna, jeżeli konie albo jeden koń, jeżeli zagraniczny malarz, to... no, kojarzy pan?

- Tak - odparł „Boss”, wyraźnie ożywiony. - To może być tamten obraz. Ale równie dobrze może być coś zupełnie innego. Załóżmy jednak, że to „Garść wiatru” Skąd by go miał?

- Mnie się zdaje - powiedział „Moher”, wyrażając całą uwagę - że cała sprawa wygląda tak. Z tego, co dotychczas wiemy... „Garść wiatru” zaginęła po drodze z Gdańska do Warszawy. Albo też, zaraz po przywiezieniu tutaj. Wiozła go pracownica Kapslera, niejaka Magdalena Borek. Znaleziono ją, to znaczy milicja znalazła, pobitą i bez obrazu. Ludzie „Karola” szukają go od wielu tygodni. On ma zupełnie dobrych ludzi. I nic. My też szukamy na pana polecenie. „Jakub” wydał już sporo forsy na różne kontakty i wyjazdy. I teraz, szefie, niech pan znowu skojarzy: ten obraz jest w posiadaniu Kordonia. Pytam, skąd się tam wziął? Może Kordon ma jakieś tajne kontakty z dziewczyną? Może ona mu dała czy sprzedała i boi się przyznać, więc...

- Ta dziewczyna nie żyje. Znaleźli ją w lesie, przy drodze do Otwocka.

„Moher” umilkł zaskoczony. Nieprzyjemnie uderzyło go, że „Boss” wie coś, czego on nie wiedział. Kto mu doniósł? pomyślał. Pewnie ta kanalia „Jakub”. Ja się do drania kiedyś dobiore!

- Wiadomo, kto ją zabił? - spytał ostrożnie. Nigdy nie można było przewidzieć, w którym momencie „Boss” ogarnie nagłą złość.

- Nie. Powinieneś to wiedzieć - wypominał mu szef. - Co jeszcze z Kordoniem?

- Myślę, że mógłby się przydać. Ostatnio parę naszych dobrych kontaktów urwało się... Na dziesięć, na dwanaście lat. No, jeden na sześć.

„Boss” skrzywił się. Nie lubił, jak przy nim mówiono o tych sprawach. Zastanawiał się, czy Kordon rzeczywiście ma „Garść wiatru”, czy też chodzi o inny obraz. Spojrzał na „Mohera” krytycznie, tamten zmieszał się. O co mu chodzi? - pomyślał

- Trzeba się dowiedzieć - rzekł „Boss”. - Tylko czy ty potrafisz zrobić to na tyle sprytnie, żeby tamten w razie czego nie miał ciebie w ręku?

Nie chciałbym posyłać do niego obcej twarzy. Wy się już trochę znacie.

- Dowiem się. Ale muszę mieć jakiś pretekst. Coś do zaofiarowania poza sklepem.

- Sądzę, że już to zrobiłeś - odparł „Boss” trochę w ciemno.

„Moher” zaprzeczył tak gwałtownie, że utwierdził go tym samym w podejrzeniach. Tak się jednak składało, że tym razem był z tego zadowolony. Ciągnął więc dalej:

- A skoro zrobiłeś to raz, możesz zrobić i drugi. Dam ci... powiedzmy, małą rzeźbę. Coś naprawdę ładnego. Powiesz, że sprzedawca nie może przyjść osobiście bo jest stary i chory. Możesz powiedzieć, że jest inwalidą poruszającym się na wózku.

- A jak Kordon będzie chciał przyjść do niego?

- To wsadzisz do wózka któregoś z naszych! - zniecierpliwiał się „Boss”. - Takich prostych rzeczy mam cię uczyć? Powiedz, że to jest dawny oficjalista, albo były ziemianin. Ofiara wojny, coś takiego.

- Dobrze, szefie - powiedział ulegle. - Jakoś dam sobie radę.

Niedługo owinę sobie tego dyplomatę dokoła własnego płaca. Chciałbym jednak wiedzieć, zanim tam pójde, czy mam namawiać go do sprzedaży „Garści wiatru”, czy też załatwimy to inaczej?

- Jeżeli on rzeczywiście ma ten obraz - odparł „Boss” i uśmiechnął się przyjaźnie - to, rzecz jasna, załatwimy to inaczej. Ale wtedy trzeba będzie iść absolutnie na pewniaka. Nie możemy ryzykować dla byle czego. Oczywiście, ty namawiaj do sprzedaży. Targuj się, oburzaj, zachwycaj, jeżeli ci pokaże obraz. Umiesz to przecież.

- Tak szefie - odrzekł „Moher” skromnie. - Naprawdę umiem.

*

Zdecydował, że trzeba go lepiej ukryć. Wprawdzie schowek wmurowany za lustrem w sypialni, dobrze i od dawna spełniał swoją rolę, ale Mielich nie lekceważył umiejętności swoich kolegów po fachu, a zwłaszcza doceniał „Boss”. Znał wszystkie możliwości skrytek, schowków, przemyślnych a tajnych szuflad, kasetek wyglądających jak zwykła noga stołowa, sejfów bardziej bezpiecznych niż w londyńskim banku - znał to wszystko i jeszcze dużo więcej, bezbłędnie otwierał to, co miało być przed nim zamknięte i serdelkowatym palcem wskazywał to, na co nikt inny by nie wskazał.

Tak, z „Bossem” nie było żartów. Ale tym razem Mielich postanowił go przechytryć. Sytuację ułatwiało to, że „Boss” popełnił błąd, mianując go kierownikiem akcji poszukiwania „Garści wiatru”. To tak, jakby wilkowi kazać pilnować owiec.

Zdał sobie jednak sprawę, że jeżeli „Boss” zorientuje się, zrobi wszystko, aby się zrehabilitować w oczach podwładnych i nie będzie miał dla „Jakuba” litości. Należało więc obraz ukryć jak najstaranniej, to był

pierwszy, najważniejszy etap działania. Następny wymagał kontaktów z cudzoziemcami niektórych państw. Znajomości Mielich miał, sęk w tym jednak, że znali z „Bossem” tych samych ludzi. Pozostawał więc tylko Juan. Młody, ruchliwy jak rtęć, obrotny i oblatany w interesach, podróżujący bez przerwy z Polski i do Polski, był świetnym kandydatem - do sprzedaży „Garści wiatru” gdzieś w Stanach albo w Kanadzie, gdyby nie... Właśnie. Gdyby Mielich miał do niego choć trochę zaufania. Nigdy nie miał pewności, czy kolejna podróż Juana nie będzie ostatnią.

Miał więc sporo do przemyślenia i do działania, na razie jednak postanowił zająć się ukryciem obrazu.

Wyjął „Garść wiatru” ze schowka, zamknął go starannie, poprawił lustro.

- Co będziesz z tym robić? spytała Irena. - Sprzedajesz?

- Bał - roześmiał się. - Gdybym mógł, to bym go dzisiaj sprzedał. Za bardzo dobrą cenę. I za obcą walutę. Chodź ze mną do piwnicy. Weź płótno - podał jej obraz.

Nie pytała już o nic, wszystko było jasne Mielich zabrał pudło z narzędziami, resztę miał w piwnicy. Schodzili już małymi, krętymi schodkami, kiedy kobieta spytała niespokojnie.

- Słuchaj, a jeżeli on teraz przyjdzie? Potrafi tak wpadać niespodziewanie, W przedpokoju i w pokojach palą się lampy.

- Masz rację. Idź i pogaś wszystko. Sprawdź, czy drzwi dobrze zamknięte. Która godzina?

- Dwadzieścia po dziesiątej. Nie, tak późno jeszcze nigdy nie był, Ale pójdę.

W piwnicy można już było zaśmiecić, okienko było szczelnie

zasłonięte specjalną, drewnianą płytą i żaden promień światła nie wydobywał się stąd na zewnątrz. Mielich rozejrzał się po ścianach, ostatnio rzadko tu zachodził. Były gładkie, czyste. Nie trzymali tu węgla, w swojej małej kotłowni palili koksem. Po drugiej stronie korytarza, w oddzielnej piwniczce, leżał już zapas, przygotowany na następną zimą.

Przejechał wolno palcami po ścianie naprzeciw drzwi, macał i szukał, zanim nie natrafił na ledwie dostrzegalny rowek, biegnący poziomo na wysokości jednego metra nad podłogą. Wówczas odnalazł niewidoczną sprężynę i nacisnął. Ściana jak gdyby rozstąpiła się, odsłaniając spory ciemny otwór

- Poświeć!

Mielichowa uniosła w górę latarkę, skierowała promień światła na schowek. „Jakub” schylił się i z pewnym trudem wcisnął do środka. Tam mógł się już wyprostować. Odnalazł kontakt, zapalił żarówkę. W tej części piwnicy zgromadził rzeczy, o których nie wiedział ani „Boss”, ani nikt z jego gangu. Zgromadził je rok temu, dokonując dużej, korzystnej transakcji. „Boss” nie - było wtedy w kraju.

Irena wsunęła się za nim do piwniczki. Leżało tu kilka obrazów, trochę porcelany, sporo numizmatów. W oddzielnej szafce były sztabki złota i waluta.

- Wiesz, ile to wszystko warte? - mruknął Mielich, uśmiechając się z zadowoleniem, zarówno ze stanu posilania, jak i z tego, że okpił szefa.

- Nie mam pojęcia. - Ile?

- Trochę ponad dwadzieścia tysięcy dolarów.

Popatrz na ten portret - schylił się, wyciągnął ze stosu obrazów jeden i uniósł do światła. - Tylko to malowidło może nam przynieść, przy

sprzedaży za granicą, co najmniej trzy tysiące. Naturalnie dolarów.

- Czyj - to portret?

- Księcia Walerego de Gastillon, malowany przez jakiegoś włoskiego artystę, tam jest podpis. Trochę się przybrudził - Mielich przetarł płótno chustką.

- I porysował - Irena dotknęła obrazu. Słuchaj, one nie powinny tak leżeć w piwnicy. Tu jest wilgoć. Zniszczą się, zakurzą.

- Gdzież tam! Im starsze, im bardziej dotknięte zębem czasu, tym cenniejsze - zaśmiał się, - Nic im nie będzie. Zresztą, gdzie to schowam? Sama wiesz, że na górze nie można On może wypatrzeć. - Otworzył szafkę, wyjął niewielki porcelanowy dzbanek. - A za tę skorupę dostanę z pewnością tyle samo, co za portret, jeżeli nie więcej. To jest dzbanek z serwisu łabędziowego, robił go Jan Joachim Kandler na zamówienie Brhula. Czekaj, gdzie postawić nasz obraz?

- Może tam? - wskazała na półkę. - Lepiej go owinąć papierem.

Mielich podniósł z podłogi gazetę, zawinął w nią „Garść wiatru” i położył na półce. Potem wyszli ze schowka. Za naciśnięciem sprężyny ściana zwarła się z powrotem i znów była gładka, bez śladu otworu.

- Po co brałeś narzędzia? - spytała, kiedy znaleźli się na górze.

- Mogły być potrzebne. Tam rzeczywiście jest wilgoć i nie byłem pewien, czy zamki nie zepsuły się. Zmarzłem jakoś - wstrząsnął nim dreszcz - Lipiec, a na dworze dwanaście stopni. Cholerny klimat! - Podszedł do barku, nalał sobie wódki. Wypił duszkiem.

Dzieła sztuki przedstawiały dla niego tylko wartość wymienną na dolary czy inną obcą walutę. Mieć obraz, żeby wisiał na ścianie? Nie rozumiał tego.

- Właściwie nie bardzo rozumiem, na czym polega ta robota - powiedziała Irena, kiedy znaleźli się w mieszkaniu. - Przywozi się z zagranicy złoto i tutaj sprzedaje. Za dolary czy inną mocną walutę. Potem tę walutę wywozi się z Polski po to, żeby tam kupić złoto i znowu sprowadzić tutaj. Po co? Jak na tym zarabiasz?

Roześmiał się, pogładził ją po twarzy. Bawiła go jej naiwność.

- Widzisz, na każdym kilogramie sprzedanego złota, tu w kraju, zarabiamy z szefem około czterdziestu dolarów. Czasem nawet pięćdziesiąt. Na sprzedanej walucie, oczywiście, mniej. Ale i tak po kilka dolarów... Czekaj, bo ty pewnie znów nie rozumiesz. Więc sprzedajemy tutaj monety, płacimy za złoto banknotami. Za granicą gram złota kosztuje teraz od trzech do pięciu dolarów. Zarabiamy na każdym gramie, mniej więcej, trzy dolary. Gdybym mógł to wszystko robić sam... - Zamyślił się, zapomniał o Irenie. Zasnęła i tak, mimo wyjaśnień, nie rozumiejąc, w jaki sposób to wszystko się odbywa.

Leżał potem długo z otwartymi oczami, myślał i kombinował. Zacząć działać samemu - raz wydawało mu się to możliwe, drugi zupełnie niewykonalne. Miał spore doświadczenie w przestępczych operacjach, takich jak handel walutami i dziełami sztuki, manewrowanie wśród cudzoziemców, którzy nie grzeszyli uczciwością wobec swoich... kooperantów, a właściwie zleceniodawców. Wiedział, że trzeba im uważnie patrzeć na ręce, znać aktualne ceny złota na czarnym rynku, wszelkie wahania kursu walut, nawet orientować się w wydatkach, które ponosili tam, u siebie, w Ameryce Łacińskiej, czy diabli wiedzą gdzie, a którymi usiłowali mydlić oczy jemu i „Bossowi”.

Miał więc Mielich doświadczenie, spryt, zapas gotówki. Nie miał

jednak odwagi, aby rzucić dotychczasowe kontakty, oderwać się, zacząć działać na własną rękę.

ROZDZIAŁ 7

Nie dane mu było umrzeć. Kiedy nie odpowiadał na telefon ani na dzwonek u drzwi, wyważyli je i wtargnęli do środka. Potem pobyt w szpitalu, długie przywracanie do życia. Bardziej byli zdumieni niż przestraszeni tą nieszczęśliwą próbą samobójstwa.

- Co ten Henryk, do jasnej cholery! - irytował się internista Pawłowski, kiedy mieli już najgorsze za sobą i Krzymuski, na wpół drzemiąc, leżał w separacie. - Przecież śledztwo zostało przerwane, niewinność udowodniona, a ten się truje!

- Zawsze to jednak paskudna historia - zauważyła Malcowa, przysiadając na taborecie.

Czuła się w jakiś niezrozumiały sposób winna temu, co się stało, chociaż nie mogła sobie przypomnieć żadnego momentu, żadnego słowa, które mogłoby urazić tego wrażliwego człowieka.

- Diabli wiedzą, może ktoś u nas coś przy nim chlapnął, podejrzewam nawet tego no, jakże mu, Supińskiego. Jego się trzymają takie niewyszukane dowcipy. Paskudna historia - powtórzyła, szukając papierosa. - No, bo weź tak po kolei. Najpierw braciszek coś tam defrauduje czy przemyca, daj mi zapalki, potem okazuje się, że Henrykowa z tym braciszkiem flirtuje, potem milicja robi w mieszkaniu rewizję i znajduje kupę biżuterii z przemytu czy coś w tym rodzaju. Brat idzie do kicia, żona też, on sam przesiedział parę dni w śledztwie. Żonę puszczają, ale wyprowadza się na drugi koniec miasta. Henryk wraca do

pustego domu. Jaki on tam u nich był, ten dom, ale był. No, a potem stary cofa mu nominację na trzecią klinikę. Wystarczy, jak na jednego człowieka.

- Tak, masz rację - przyznał. Zrzucił fartuch, odebrał jej zapalki. Malcowa znana była zarówno z dobrego serca, jak i ze swego roztargnienia. - Lekko, to on nie miał.

- Dobrze, że zdążyliśmy - westchnęła. - Właściwie, jak to się stało?

- Koreywę ruszyło sumienie. Może zresztą nie tyle sumienie, ile potrzebował Krzymuskiego przy operacji. Przyleciał do szpitala świtem-rankiem, jeszcze przed siódmą. I zaraz: jest Krzymuski? A Henryk już pewnie w domu charczał. Wtedy przyszedłem do dyżurki, więc telefonuję do niego do mieszkania, hic, nie odbiera, a przecież normalnie o tej porze już powinien wstać. Myślałem, że wyszedł wcześniej. Czekamy. Nie ma go. Stary zły jak chrzan, gania po korytarzach i głądzi. Niespokojny jakiś. W końcu mówi do mnie, żebym pojechał do niego na Puławską. Wiesz, Henryk tam mieszka, pod szesnastym. Krzysiek zabrał się ze mną. Z podwórza widzimy, że okna pozasłaniane. Dzwonimy, walimy do drzwi. Krzysiek się zaparł, podważył ramieniem, wiesz, te prawie dwa metry wzrostu i sto kilo wagi zrobiły swoje. Zamek puścił. Krzysiek wleciał razem z drzwiami do przedpokoju. I wtedy domyśliłem się, że z Henrykiem coś nie w porządku, ale przypuszczałem, że może popił i zachorował. Ale jak zobaczyłem jego twarz i usłyszałem charczenie, to zrozumiałem, że to coś znacznie gorszego. Zabrałem się do roboty Koreywo aż zzieleniał, kiedy wnosiliśmy Krzymuskiego na salę.

- Stary jest w gruncie rzeczy dobry. I lubi go.

- Gdyby nie Koreywo, Henryk już by nie żył. Pogadali jeszcze trochę

i poszli. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że atmosfera w szpitalu była kroplą, która przepełniła przysłowiowy kielich goryczy.

W dwa dni później, pod wieczór, kiedy Henryk leżał jeszcze w szpitalnej separacie, profesor Koreywo siadł przy jego łóżku i zaczęli rozmawiać. Rozmowa była szczera, po raz pierwszy mówili ze sobą, nie jak szef z podwładnym, lecz jak koledzy. Henryk, z początku nieufny i małomówny, powoli rozgadał się.

- Miałem wielu kolegów - odezwał się w pewnej chwili, jakby do siebie. - Życzliwych, prawdziwych kumpli. Nieraz siedzieliśmy przy kieliszku, gadaliśmy Koleżeństwo na sto dwa. I nagle krach. Jak tylko zaczęła się ta historia, nie było już przy mnie nikogo. Czy pan wie, że na ulicy przechodzili na drugą stronę, żeby tylko przypadkiem nie spotkać się ze mną prywatnie, na neutralnym gruncie? Była też taka rozmowa... Nie wiedzieli, że ja słyszę. W laboratorium. Oni nie wierzą, że ja od Czesława nie wziąłem ani złotówki! Nie wierzą. Najpierw mówili, że to bracia, więc jeden drugiemu na pewno coś tam podrzucił, jak to w rodzinie. A potem, jak aresztowali Helenę... i jak znaleźli w mieszkaniu - zachłysnął się, odkaszlnął - w moim mieszkaniu, rozumie pan? U mnie w domu to przechowywała!

Koreywo słucha? ze zmarszczonymi brwiami i gniewną twarzą. Tych szczegółów nie znał i dopiero teraz zaczynał rozumieć, co pchnęło tego człowieka do tak desperackiego kroku.

- Próbowałem udawać, że nic nie widzę, nic nie słyszę, zająłem się tylko robotą - Krzymuski wrócił znów do atmosfery w szpitalu. - Byłem głuchy i ślepy na półsłówka, drobne zaczepki, uśmieszki. Ostrzej nie mogli, nie mieli żadnych dowodów, prokurator mnie przecież zwolnił. -

Zapalił papierosa, zaciągał się szybko, nerwowo.

- Do dziś nie wiem, dlaczego Czesław zwał winę na mnie. Co chciał przez to uzyskać? Podobno, spodziewając się aresztowania, dał Heli tę biżuterię i kazał ją ukryć. Później dowiedziałem się, że tych dwoje... Wreszcie, przyszło cofnięcie nominacji. To mnie dobiło.

Koreywo pokiwał głową i rzekł z wyrzutem:

- Gdyby pan mi o tym wszystkim powiedział wcześniej... Nie przypuszczałem wtedy, w czasie naszej rozmowy, że jest pan w tak złej formie psychicznej.

- Dawniej, jako lekarz - odezwał się znowu Henryk - stykałem się z ludźmi, których życie tak przeorało, że nie stać ich już było na nic, prócz biernego trwania. Nie rozumiałem ich wtedy, chciałem wziąć za ramiona i mocno potrząsnąć, obudzić z tej martwoty..Oczywiście, zapisywałem jakieś lekarstwa, odsyłałem do psychiatry, próbowałem zachęcić do pracy. Dopiero teraz ich rozumiem. Wiele nocy myślałem sobie nad takimi, jak oni i ja. Przyszło mi do głowy porównanie, dosyć chyba trafne, że jesteśmy, jak te kamienie w wodzie, nazywają je otoczaki. Życie tak długo ścierało z nas ostre brzegi i wszelkie nierówności, że staliśmy się gładcy i jednakowi. Nie zadraśniemy do krwi niczyjej ręki. Łagodne otoczaki, bezpieczne w dotknięciu. Obojętne i niepotrzebne.

Koreywo, wracając później do domu, szedł alejami, aby mieć trochę ruchu i powietrza i rozmyślał nad tym, co mówił Krzymuski. Otwierając drzwi swego mieszkania, powiedział do żony:

- W każdym razie, ja to muszę jakoś załatwić. Tak go nie zostawię.

- Kogo? - spytała zdziwiona, ale on nie udzielił odpowiedzi.

*

„Moher” zawiązał statuetkę w elegancki, biały papier i przewiązał jedwabnym sznurkiem. Zmienił garnitur, włożył czyste skarpetki, butów jednak nowych nie założył, bał się, że będą piekły. Punktualnie o umówionej godzinie zajechał przed dom, w którym mieszkał Kordon, zaparkował w pobliżu i po chwili dzwonił pod znajomy już numer. Jak tylko znalazł się w gabinecie, natychmiast położył przed gospodarzem przyniesioną paczuszkę.

- To jest posążek z autentycznego hebanu, symbolizuje boginię łagodności i dobroci - rzekł cichym głosem. - Nazywa się Kwe-Szahi. Coś absolutnie pięknego. Tysiąc czterysta dolarów.

Kordon odwiązał sznurek i wydobył posążek. Czarna Kwe-Szahi spojrzała na niego podłużnymi oczami z maleńkich, świetlistych kamieni. Była naga, na głowie miała pęk piór rozrzuconych w kształcie wachlarza. Była naprawdę piękna i Kordon potrafił to ocenić, jednakże tysiąc czterysta dolarów, to stanowczo za dużo. Potrząsnął przecząco głową.

- Tym razem nie ubijemy interesu - rzekł, nalewając whisky.

- Niemożliwe! - krzyknął „Moher” ze zdumieniem. - Nie wierzę, żeby pan nie poznał się na tej cudownej robocie. Przecież pan jest znawcą! A to jest prawdziwe dzieło sztuki.

- Owszem. Tylko, że ja nie zbieram rzeźb ze Wschodu. Po prostu, nie interesują mnie. Z pewnością znajdzie pan nabywcę, ma pan coś jeszcze?

- Miałbym kupca - odparł „Moher” ostrożnie.

- Kupca? Na co?

- Na to, o czym pan wspominał w trakcie naszej poprzedniej rozmowy.

Kordon popatrzył na niego przeciągle.

- Przecież nie prosiłem pana o pośrednictwo - rzekł ostro. - To raz. A dwa, to jak pan mógł znaleźć nabywcę na coś, czego pan w ogóle nie widział? A trzy, to ja wcale nie jestem zdecydowany na sprzedaż „Garści”... - urwał, zacisnął usta.

Więc jednak - pomyślał „Moher” z triumfem. Udał, że nie wie o co chodzi, i odparł lekko:

- To nie jest pośrednictwo, bo pan rzeczywiście mnie o to nie prosił. Raz. Zainteresowanemu wspomniałem, że jeden z moich znajomych ma piękny, wartościowy obraz przedstawiający konia. Dwa. Dodałem, że być może kiedyś ten znajomy zechce obraz sprzedać. Trzy To wszystko. Żle?

- No... - Kordon zawahał się. Wstał, pochodził po gabinecie. - Nie mam do pana pretensji.

- To dobrze. A tak, nawiasem mówiąc, ile pan by za niego chciał?

Kordon mimo woli roześmiał się.

- Dużo. To jest oryginał, stara cenna rzecz... „Moher” pomyślał, że każda cena da się wyrazić w liczbach.

- Dużo - zaśmiał się - zależy dla kogo. Dla jednego dużo, dla drugiego mało. Ile w dolarach?

- Dwa?

- Co najmniej osiem tysięcy.

- Żartuje pan!

- Amerykanie daliby ze dwanaście.

- Wątpię Oni tam za końmi, tak jak my, nie przepadają. Wolą samochody.

- Panie Mile samochód służy do jazdy, na ścianie pan go nie powiesi. Amerykanie chętnie kupują stare, francuskie obrazy.

Teraz się całkiem wygadałeś - na twarzy „Mohera” widać było wysiłek. Z trudem powstrzymywał uśmiech zadowolenia. Odwrócił głowę, napił się whisky.

- Proszę pana - rzekł przymilnym tonem - ja wiem, że pan nie chce sprzedać tego obrazu. To pańska sprawa, ja się nie wtrącam. Ale tak mnie pan zaciekawił, że chciałbym po prostu, jeżeli można, obejrzeć go. Pokaże mi pan?

- Nie - uciał krótko

- Pan nie ma do mnie zaufania? - „Moher” obraził się.

- Drogi panie, znamy się od kilku dni zaledwie.

- Ale pan przecież wie, gdzie ja pracuję, zna pan moje nazwisko! Czy ja wyglądam na jakiegoś złodzieja, handlarza, przemytnika?

- Niechże pan się uspokoi, nie posądzam pana o nic takiego. Ale ja mam już takie usposobienie, jestem po prostu nieufny.

„Moher” smutno zwiesił głowę. Demonstracyjnie odsunął, pustą zresztą, szklaneczkę i podniósł się z fotela.

- Żegnaj pana - powiedział tak obrażonym głosem, że Kordon znowu się roześmiał.

- Zabawny z pana człowiek! No dobrze, pokażę. Ale tylko zdjęcie. Kolorowe.

Wyjął z biurka kluczyk, otworzył jedną z szaf, pogrzebał na półce. Leżały tam duże koperty z mnóstwem fotografii. „Moher” zbliżył się. Na zdjęciach były jakieś barwne plenery, morze, plaża, palmy, jakieś białe, i ciemnoskóre kobiety, roześmiane i przybrane kwiatami, jakieś stada owiec, drapacze chmur w wielkich miastach.

Kordon wreszcie znalazł to, czego szukał, i z dużej koperty wyjął

kolorowa reprodukcję obrazu.

- To jest mój koń - rzekł, podając zdjęcie „Moherowi”. - Ten przyglądał się w skupieniu, starając - się zapamiętać wszystkie szczegóły: siwy, biegnący przez pole czy step arab, w oddali ciemniejszy las. Spróbował odczytać nazwisko - malarza, ale nie potrafił; było napisane jakimiś niezrozumiałymi zawijasami.

- Bardzo piękny - zachwycił się i pomyślał, że Amerykanie rzeczywiście mogliby dać za niego sporo dolarów. - Jak się nazywa ten artysta, bo nie mogę przeczytać podpisu?

- Za dużo chciałby pan wiedzieć - odparł Kordon. Wyjął mu z ręki zdjęcie i schował do szafy. - I żeby nie było nieporozumień: nie sprzedaję tego obrazu, nie proszę o pośrednictwo. Jeżeli kiedyś będę chciał go wymienić na dolary, obiecuję panu, że wtedy sam się do pana zwrócę.

- Jak pan zbyt długo będzie czekał, cena może spaść - zauważył „Moher”, choć sam nie bardzo wierzył w to, co mówi.

- Wprost przeciwnie. Z każdym rokiem cena rośnie. Czarną boginię niech pan schowa i odda właścicielowi. Ale gdyby miał pan do sprzedaży jakiś ładny obraz, proszę dać znać.

Pożegnali się i „Moher” wyszedł. Wsiadając do samochodu, spojrzął w okna mieszkania na drugim piętrze. Pomyślał, że jest to trochę za wysoko i że „Boss” będzie musiał nieźle się pogimnastykować, aby odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie Kordon ukrył „Garść wiatru”.

Pułkownik Brezga wszedł do gabinetu szefa. Wolno mu było tam teraz wchodzić o każdej godzinie, nawet w trakcie odpraw w wąskim gronie. Teraz szef siedział sam, przeglądał raporty na temat przestępstw kryminalnych w ostatnim kwartale i porównywał z analogicznym

kwartałem ubiegłego roku. Wykrywalność była nieco wyższa, napady i rozboje zmalały, wzrosły natomiast kradzieże i włamania do mieszkań. Ta statystyka sprawiła, że twarz miał nachmurzoną, choć na ogół była ona pogodna.

Na widok Brezgi wskazał ruchem ręki krzesło, odsunął papiery i mruknął:

- Masz coś nowego?

- Sądzę, że dochodzimy do konkretów - odparł Brezga ogólnikowo; nie chciał „spłoszyć” operacyjnej roboty swych podwładnych. - Wiesz, że Krzymuski się truł?

- Cholera jasna! W areszcie? Czym?

- Nie Czesław. Jego brat, ten chirurg. Próba samobójstwa. Na szczęście, zdążyli go odratować.

Szef milczał chwilę, a potem zapytał:

- Przez brata?

- Nie tylko. Brat, żona. Ostatnio przez te sprawy odmówili mu nominacji. No i chłop się załamał. Pomyśl, jakie dramatyczne i nieprzewidziane skutki może mieć jedno przestępstwo. Zdawałoby się, że po wypuszczeniu Krzymuskiego z aresztu śledczego, mówię o lekarzu, sprawa została zakończona, wszystko jest w porządku. Tymczasem takie sprawy zataczają szerokie kręgi, odbijają się na wielu osobach.

- Zwłaszcza na rodzinach. Pamiętasz samobójstwo tego chłopaka, którego ojciec zdefraudował spółdzielcze pieniądze? Sprawę prowadził kapitan Kłosowski.

- Pamiętam, to było gdzieś w styczniu czy w lutym. Chłopak powiesił się w swoim pokoju, kiedy matka poszła do pracy. Zostawił list.

Straszny list! Adresowany do ojca w więzieniu.

- Oddałeś mu?

Brezga wzruszył ramionami.

- Nie miałem prawa zatrzymać. Zresztą, przyznam ci się, że nie było mi żal tego defraudanta. Niech wie, do czego syna doprowadził... No dobra. Chciałbym cię prosić o pismo do Biura Kryminalnego.

- Po co?

- Napisz, to znaczy poproś dyrektora, żeby zatwierdził Szczęsnego formalnie jako zastępcę Daniłowicza.

Komendant postukał fajką w biurko, wytrząsnął resztkę tytoniu.

- Przecież i tak go nie zastępuje - rzekł z wahaniem. - Mam odkrywać wszystkie karty?

- Jak uważasz - odparł Brezga dyplomatycznie. - zyskaliśmy ogromną pomoc tych dwóch ze Służby Bezpieczeństwa. Pierwszorzędni chłopcy. Ale Szczęsny jest też bardzo potrzebny. Napisz, tobie bardziej wypada niż mnie. Zawsze to wyższy szczebel - uśmiechnął się.

- Długo to potrwa?

- Może już nie tak długo. Zresztą, złożyłem ci wczoraj szczegółowy raport. To co, napiszesz? - podniósł się, potarł bolące zreumatyzowane ramię.

- Napiszę. Ale za skutek nie ręczę. U nich są urlopy, a ostatnio było w kraju kilka zabójstw. No, zobaczymy.

*

Ojca powiesił jak stary kapelusz. Matkę zadusił ręczny. Rodzonom ciotkę w odmiennym stanie okrutnie skopał nogami...

Feliks Gwizdek, starszy woźny przydzielony do sekretariatu

dyrektora i jego zastępcy, przerwał i popatrzał na panią Basię. Był ciekaw, czy słyszała i jak zareaguje. Nie podniosła głowy znad poczty, którą przed chwilą przyniósł, więc zaśpiewał już trochę głośniejsze:

Złapała zbója policja państwowa I przywiązała do słupa, Hukła armata, omskło się ciało, Rodzinie wydali trupa...

- Panie Feliksie! - Sekretarka spojrzała na niego z wyrzutem. - Chce pan, żeby dyrektor usłyszał?

Gwizdek nie miał nic przeciwko 4emu, choć wiedział, że jest to niemożliwe. Dyrektora lubił bardzo w przeciwieństwie do wicedyrektora. Tego Gwizdek nie znosił od pierwszej chwili, kiedy „nastał” do Zjednoczenia Elcotex. Wicedyrektor, Karol Miszewski, choć był to wytworny, elegancki pan, władający kilkoma językami, nie potrafił do tej pory zdobyć sobie serca ani Feliksa Gwizdka, ani nawet sekretarki Basi. Woleli oni, inni pracownicy zresztą również, starszego, jowialnego, a może nawet nieco rubasznego dyrektora Okraszka, który mówił do Basi: „dziecino, załatw mi to”, i chociaż czasem szorstki - miał dla ludzi złote serce. Parzyła mu kawę, przynosiła z bufetu gołąbki z mięsem albo bigos, po którym zażywał raphacholin, ale którego nie umiał sobie odmówić. Dbiała, żeby w jego gabinecie nie było stosu niedopałków, gdyż sam nie palił i źle znosił dym.

W stosunku do wicedyrektora Miszewskiego była uprzejma, wykonywała jego polecenia, ale nie okazywała mu życzliwości, nie wykraczała ani na krok poza to, co musiała.

Zastanawiała się właśnie, dlaczego tak jest, kiedy drzwi od jego gabinetu otworzyły się i stanął w progu.

- Pani Basiu, czy to cała poczta dla mnie? - spytał, trzymając w ręku

plik papierów.

- Tak, panie dyrektorze.

- Powinien być jeszcze list z Frankfurtu. Sygnalizowano go przecież telexem.

- Niestety, panie dyrektorze, nie było takiego listu.

Zauważyła, że jest podenerwowany. Bezwiednie spojrzała na Gwizdka, ale ten rozłożył ręce i potrząsnął głową.

- Może jeszcze nadejść popołudniową pocztą - powiedziała niepewnie. Wiedziała, że po południu prawie nigdy nie przychodziły listy zagraniczne.

- Gdyby przyszedł, proszę mi go natychmiast dostarczyć, bez względu na porę. Do mieszkania. - Spojrzał na zegarek, dochodziła czwarta. - Ja już wychodzę, będę w domu gdzieś za dwie godziny.

- Dobrze, przekażę to Krysi, - ona ma dyżur do dwudziestej.

Miszewski zamknął biurko, zdjął z wieszaka cienki, angielski płaszcz nieprzemakalny, przerzucił go przez ramię i wyszedł. Kiedy znikł za drzwiami. Feliks Gwizdek zaśpiewał znowu:

Wyskoczył przez okno z zapartym oddechem,
Nie wiedział, biedak,
że w grób.

Wtem wystrzał się rozległ i odbił się echem. A na murawę legł trup!

- Pani Basiu, co by pani zrobiła, gdyby dyrektora Miszewskiego nagle diabli wzięli.

- Co też panu przychodzi do głowy!

- Bo ja bym na pogrzeb nie poszedł. Cholera mu w bok.

Uśmiercony tak niespodziewanie przez starszego woźnego wicedyrektor Elcotexu przeszedł na drugą stronę jezdni, otworzył

drzwiczki samochodu, wsiadł i zapuścił silnik. Jechał przez miasto, rozmyślając o różnych kłopotach Zjednoczenia, aż znalazł się w alei Króla. Zatrzymał wóz w pobliżu numeru dwadzieścia osiem, chwilę rozglądał się dokoła.

- Ruch był duży, ludzie wracali z pracy, aleją toczyły się turystyczne autokary i miejskie autobusy, pędziły prywatne Fiaty, „maluchy” i Wartburgi, co kto miał, w to wsiadał i jechał.

Husteckich zastał przy obiedzie, na który Zofia zaprosiła go uprzejmie. Trochę się certował, ale że był głodny, a Erika bawiła z córką we Francji, zasiadł do stołu, bo wolał domową kuchnię niż najlepszą nawet restaurację.

Po obiedzie Hustecka przyniosła kawę i koniak, po czym tłumacząc się robotą w ogródku wyszła. Kiedy zostali sami, „Karol” odezwał się:

- Słuchaj, Wiktor. Mam pewną informację. Zaskakującą!

- Sprawdzoną?

- Nie bardzo. Właśnie należy to zrobić. Otóż, dotarło do mnie, że ludzie „Bossa” wiedzą, gdzie jest „Garść wiatru”. Wiedzą, ale nie mają obrazu. Rozumiesz, co to znaczy?

- Tak. Każdej chwili mogą go mieć.

- Właśnie. Musimy temu zapobiec. Bednarczyk sygnalizował mi w zeszłym tygodniu, że ma jeszcze jednego amatora na ten obraz. Tym razem Kanadyjczyka. Szlag mnie trafia, jak pomyślę, ile tracimy! Kapsler siedzi, Krzymuski siedzi... Zostały nam same płotki.

- Tak źle nie jest. Mamy paru dobrych ludzi do roboty.

- Skąd masz tę wiadomość?

Na to pytanie nie odpowiedział. Część informacji zachowywał

zawsze dla siebie. W ten sposób trzymał współpracowników w szachu.

- W porządku, jeśli nie chcesz, to nie musisz mówić. Interesuje mnie tylko to, na ile ta informacja może być prawdziwa.

- Myślę, że jest. Za dzień, dwa będę wiedział więcej. Zapuść sondę w tamtą grupę, ludzie „Boss” na pewno zechcą zarobić podwójnie. Masz przecież dojście, choćby do tego złotnika na Pradze.

- Staszewskiego. Tak, mam. Sądzisz, że on o tym wie?

- Tam się często kręci taki cwaniaczek, Mile. Jego nie ruszaj, to wielka kanalia i może ci zrobić brzydki kawał. Ale Staszewskiego można by pocisnąć. On kocha pieniądze bardziej niż własne dzieci.

Milczeli kilka minut, popijając kawę.

- Kapslerowi prokurator próbuje pewnie udowodnić, że sprzątnął tę dziewczynę - stwierdził Hustecki.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, przypuszczam. Przecież posłałeś go do Otwocka...

Popatrzyli na siebie. Miszewski uśmiechnął się kątem ust, aż jego rozmówca poczuł nieprzyjemny dreszcz.

- No, tak. Ale, prawdę mówiąc, źle się stało. Mogliśmy od niej wydostać więcej informacji. Było jasne, że kłamie, że kogoś kryje. Może siebie, nie wiem, może Kapslera. W końcu powiedziałaby prawdę.

- Niepotrzebnie się tak uniosłeś.

- Diabli nadali, skąd mogłem przypuszczać, że od jednego uderzenia...

- Są rozmaite uderzenia. Trzeba było trzepnąć dziewczynę parę razy po gębie, żeby porządnie zabolowało, zaraz by zaczęła śpiewać inaczej. A ty od razu w głowę.

- Za dużo wypiliśmy, poniosło mnie. Przyznaję, że zachowałem się jak kompletny dureń. Teraz musimy szukać obrazu, a mogliśmy już mieć pieniądze. Słuchaj, czy sprawdziłeś na wszelki wypadek, kto mieszka w alei Króla pod osiemnastym, trzydziestym ósmym i czterdziestym ósmym?

- Sprawdziłem. Osiemnastka od dawna stoi pusta, dom będą rozbierać. Trzydziesty ósmy, to Mielichowie. On ma sklep z galanterią, ona nie pracuje, zajmuje się domem. Pod czterdziestym mieszka profesor Uniwersytetu Warszawskiego, starszy facet. Sprawdziłem jeszcze ósemkę. Też mało prawdopodobne, rodzina rzemieślnicza, koło domu mają warsztat samochodowy, prości ludzie. Naprawiałem u nich parę razy swój wóz.

Miszewski pomilczał, rozważył w duchu wszystkie możliwości.

- Co to za sklep z galanterią? - spytał. - Pamiętaj, że ty masz dwie pralnie. Mielich może też być z naszej branży. Wyślij kogoś, żeby się pokręcił koło tego sklepu. Może coś wywęszy. A ja zrobię, co tylko będę mógł, żeby się dowiedzieć, gdzie jest obraz.

Omówili jeszcze kilka innych transakcji, które teraz właśnie przyniosły zyski. Hustecki wyraził obawę, czy Kapsler nie „pęknie” w trakcie przesłuchiwań. Miszewski odrzucił jednak te podejrzenia. Wiedział, że on będzie przede wszystkim bronił własnej skóry, a mieszanie do sprawy o zabójstwo spraw walutowo-przemysłowych mogło tylko pogorszyć jego sytuację.

- Zresztą - zakończył „Karol”, kiedy szli już przez ogródek do samochodu - ja jestem całkowicie kryty, nic mi nie udowodnią. A ty miej „czysty” dom. Poczekamy, uspokoi się wszystko, wtedy znowu rozkręcimy robotę. Przede wszystkim jednak trzeba odnaleźć obraz. Jeżeli

„Boss” dostanie go w swoje łapy, to przepadło. On mi to zrobi, choćby na złość. Była kiedyś... no, mniejsza z tym.

- On go ma! Widziałem zdjęcie.

Jak na „Mohera”, był to wyjątkowo - lakonicznie wyrażony triumf. Toteż „Boss” przyjrzał mu się z uwagą, zanim zapytał:

- Co jest na zdjęciu?

Z dokładnego opisu zorientował się, że Kordon rzeczywiście posiada obraz Claude Perraulta. Znał się na francuskim malarstwie, na ile było mu to potrzebne; miał zresztą wiele okazji, aby obejrzeć oryginały najcenniejszych arcydzieł. „Boss” nie wiedział jednak, że oryginał „Garści wiatru” nie istnieje. Uważał, że pozostaje on w nieznanych rękach.

- No to niedługo się dowiemy.

- Co - spytał „Moher” zaskoczony.

- Co?

- Kwestia, gdzie on to chowa - „Boss” nie raczył odpowiedzieć.

- To jest willa?

- Nie. Mieszkanie na drugim piętrze w czteropiętrowym domu na Żoliborzu - podał adres. - Ulica cicha, niewielka, - boczna od Mickiewicza. W nocy spokój, ani śladu patroli.

„Boss” spojrzał na niego podejrzliwie.

- Po coś tam chodził w nocy?

Oj, szefie, jak pragnę zdrowia! Raz pan mi każe o wszystko się dowiedzieć, a potem... - umilkł, bo tłusta, lecz zwinna ręka chwyciła popielniczkę. Na wszelki wypadek odsunął się od stołu.

„Boss” roześmiał się. Lubił straszyć podwładnych.

- Zaraz tu będzie „Jakub”. Zastanowimy się wspólnie, jak to

urządzić.

- „Jakub”! Po co? On już wie? Skąd? - „Moher” zadał kilka pytań naraz, był zirytowany, odpowiedział sam sobie: - On nie może wiedzieć. Pan mu teraz powie? A może ja?

Byłby to dobry rewanż za różne złośliwości, którymi Mielich dość często go częstował przy różnych okazjach. Nie lubili się, choć czuli wzajemnie przed sobą respekt.

- Jeżeli się odezwiesz pierwszy, dostaniesz po łbie! - ostrzegł „Boss” groźnie.

Chciał zaskoczyć „Jakuba” wiadomością o obrazie. Od pewnego czasu zdawało mu się, że ten współpracownik, który brał z nim udział w setkach transakcji, zaczyna działać na własną rękę. Nie miał na to jeszcze dowodów, miał jednak jakiś szósty zmysł i umiał wyciągać wnioski z absolutnych drobiazgów - mrugnięcia okiem, wzruszenia ramionami, nagłego zmieszania, gniewu czy strachu. Miał wreszcie wielu znajomych, którzy niejedno dostrzegli i skwapliwie mu o tym donosili. Rekrutowali się oni z właścicieli prywatnych sklepów galanteryjnych, warsztatów, szklarni, kelnerów i szatniarzy, dozorców, był też wśród nich elektryk ze sklepu sąsiadującego z galanterią Mielichów.

„Moher” dojrzał Mielicha, idącego wzdłuż parkanu okalającego ogródek pieczołowicie pielęgnowany przez Agnieszkę.

- Idzie - powiedział. - Otworzyć mu?

- Tak. Agnieszki nie ma w domu. Albo nie! - wstrzymał go szybkim gestem i dźwignął się z fotela. - Sam otworzę.

Kiedy już siedzieli w pokoju, w którym wszystkie meble, dywany i obrazy były na tyle cenne, na ile kierownik sklepu „Antars” mógł sobie

pozwoić nie ściąając zbytnej uwagi, „Boss” uniół ciężkie powieki, spojrział na „Jakuba” i zapytał:

- Ciagle nic?

- Jeżeli chodzi o obraz, to nic. Mam natomiast korzystną ofertę od...

- Inne sprawy potem - przerwał mu gospodarz. - Nie znalazłeś żadnego śladu? Zupełnie nic?

Coś było w jego głosie, co zastanowiło Mielicha. Niemożliwe - przemknęło mu przez myśl. Narzucił sobie spokój i odparł z nutą ubolewania:

- Szukałem nawet w Gdańsku. Mam tam paru sprytnych chłopaków. To musi jednak trochę potrwać Chyba” że - obraz już jest za granicą.

- A jeżeli nie jest?

- To go znajdę - rzekł twardo.

- Już nie trzeba.

„Jakub” odstawił kieliszek i utkwiał badawczo wzrok w białej, tłustej twarzy „Bossa”, ale nie mógł z niej nic wyczytać.

- Zrezygnowałeś.

- Nie. Wiem, gdzie jest „Garść wiatru”. Zapadła nagła cisza. „Moher” nerwowo oblizywał wargi i spoglądał niespokojnie to na jednego, to na drugiego. Zrozumiał, że „Boss” coś przed nim ukrywa, nie wiedział tylko, jakie będą posunięcia w tej grze. Postanowił więc na razie się wyłączyć i obserwować, co z tego wyniknie. Cokolwiek by było, nie chciał ponieść strat finansowych.

- Wiesz, gdzie jest „Garść wiatru” - powtórzył wolno Mielich. - Wobec tego... Mam to rozumieć w ten sposób, że nie chcesz mi powiedzieć, gdzie on się znajduje.

„Boss” przymknął oczy i milczał. Przyszło mu na myśl, że nie pokierował rozmową tak, jak było trzeba, a teraz nic podejrzeń wymknęła mu się z ręki. A może „Jakub” jest rzeczywiście w porządku...

- Powiem ci - rzekł wreszcie. - Sądysz, że jest jakaś przyczyna, dla której nie powinienem ci o tym mówić?

- Jeżeli jest, to tylko ty ją znasz. Wolałbym jasną sytuację. Miałem szukać obrazu, zrobiłem to i robię nadal. Ty wiesz, gdzie on jest, wobec tego moje poszukiwania są już; oczywiście, zbyt liczne. - Wstał, włożył do kieszeni papierosa i zapalniczkę.

- Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? - spytał tak lodowatym tonem, że „Moher” uśmiechnął się, ale zaraz odwrócił głowę w inną stronę.

- Siadaj, Jerzy - powiedział „Boss”. Bardzo rzadko zwracał się do któregoś z nich po imieniu, kiedy mówili o interesach. - Przecież mamy się naradzić, jak zabrać obraz z pewnego domu. Trzeba to zrobić delikatnie, ostrożnie, bez hałasu i tym podobnych rzeczy. Siadaj, czego stoisz?

Mielich, teraz bardziej zdumiony niż obrażony, siadł z powrotem. Wypił duszkiem koniak, zapalił. Drugi obraz? - myślał. Kopia czy jakaś omyłka? W takim razie, trzeba się pospieszyć ze sprzedażą.

- Więc słucham - rzekł. - Obraz jest u kogoś w mieszkaniu?

- Powiedz mu - „Boss” spojrzał na Milca.

Mielich słuchał, a jednocześnie myślał intensywnie, co może wchodzić w grę i czy zdąży uprzedzić tych dwóch, zanim „ich” Obraz wyjedzie za granicę.

- Czy on - wskazał ruchem głowy na „Mohera” - zna się na tyle że nie popełnimy omyłki? Przecież nie widział nigdy „Garści wiatru”.

- A ty widziałeś? - strzelił nagle „Boss”, Znow była chwila ciszy, „Jakub” uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

- Przecież muszę wiedzieć, czego szukam - odparł pobłaźliwie. - Widziałem reprodukcję w albumie.

- Józek nie. Ale ja wiem - dokładnie, jak ten obraz wygląda, kto go malował, jak się podpisywał. „Moher” opisał mi drobiazgowo, co przedstawia zdjęcie, które pokazywał mu Kordon. Wszystkie detale się zgadzają. Pozostaje więc tylko zastanowić się wspólnie, gdzie facet ukrył obraz, a potem zabrać. Obawiam się, że to drugie będzie łatwiejsze.

- Ej, chyba nie - wtrącił „Moher”, który uznał, że przyszedł czas, aby mógł bezpiecznie przejawiać inicjatywę. - Kordon co prawda wie, że ma obraz z lewego źródła, ale przecież nie замуrował go w piwnicy. Pewnie zamknął po prostu w szafie na dobry zamek. I nie pokazuje nikomu. W końcu, to nie sztaby złota, tylko malowidło. Gdyby tam poszedł zwykły złodziej, to prawdopodobnie by w ogóle obrazu nie ruszył..

- Chyba masz rację - „Boss” kiwnął głową z aprobatą. - Nie demonizujmy sprawy „Garści wiatru”. Dla Kordonia to może być tylko jedno z dzieł sztuki, których sporo ma w mieszkaniu. Pamiętajcie, że facet był przez szereg lat za granicą, zarobił kupę forsy i posiada niejedno wartościowe dzieło sztuki, bo z tego, co mówi, wynika, że kolekcjonuje takie rzeczy. Więc co robimy?

- Mimo wszystko, problem jest delikatny - rzekł Mielich. - Milicja wie, że łączy się on z zaginięciem dziewczyny, aresztowano Kapslera i jeszcze jednego z grupy „Karola”. Nie mamy więc żadnej pewności, czy nie szukają „Garści wiatru”.

- Szukają - odparł „Boss”. - Magdalenę Borek znaleźli martwą przy drodze na Otwock. Nie wiem, skąd obraz - wziął się u Kordonia, czy miał on kontakty z Borkówną, może sprzedała mu to, a może... - umilkł, zastanawiał się nad czymś. - A może - kończył - są dwa obrazy, oczywiście jeden jest kopią. Dlatego właśnie powiedziałem, że musimy działać bardzo ostrożnie i z rozwagą, ale jednocześnie szybko, zanim Kordon nie sprzeda obrazu komuś za granicę.

Postanowili, że spotkają się następnego dnia, każdy już z gotowym planem operacji i z opracowanym zadaniem. Mile miał naszkicować rozkład mieszkania Kordonia, wraz z klatką schodową, najbliższymi domami, wejściem na strych i do piwnicy. Wtedy mieli zdecydować kogo z naganiaczy, i koników można do tej roboty wyznaczyć.

Ale na drugi dzień „Boss” oznajmił, że zmienił zamiar. Sam postanowił pójść do Kordonia. Sytuację ułatwiało to, że został przecież zaproszony przez niego podczas pierwszej bytności w sklepie „Antarsu”.

- Ja nie wiem, czy to nie zbyt duże ryzyko - rzekł „Moher” niechętnie; w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o to, aby Kordon nie wygadał się na temat transakcji z Kossakiem.

- Ryzyko żadne. Mało to razy „Boss” chodził do mieszkania klienta? Tylko, trzeba się zastanowić, co nam to da?

- Zobaczą - odparł „Boss” wymijająco. - Jeżeli nic, to będziemy realizować nasz plan. Ale z nim się wiąże większe ryzyko niż z moim pójściem do Kordonia. Poczekamy dzień czy nawet parę dni. Zadzwonię do niego, umówię się.

Kordonia zdziwił telefon „Boss’a”, zapytał wprost, czy ma mu coś do zaoferowania, wykręcał się brakiem czasu, w końcu umówili się na

czwartek.

W oznaczonym dniu i godzinie „Boss” przyjechał pod dom Kordonia swym niezbyt nowym, ale jeszcze efektownym BMW w kolorze granatu. Wysiadł, przystanął na chwilę na chodniku, rozejrzał się, jakby chciał się upewnić czy wszystko w porządku, choć plan domu i otoczenia miał opracowany już od kilku dni. Otarł spoconą twarz białą chustką: dni znowu były prawdziwie letnie, upalne. Potem skierował się do wejścia.

Kordon nie był sam, to go trochę zaskoczyło. W fotelu siedział szczupły śniady mężczyzna o włosach koloru sadzy i wąskich, czarnych oczach.

Był w białym sportowym ubraniu, które podkreślało jego ciemną karnację, miał krótko przystrzyżone wąsy a na brązowym czole widoczna była różowawa blizna, ukośna i dość głęboka.

Kordon przywitał „Bossa” o wiele przyjaźniej niż to można było sądzić z telefonicznej rozmowy, po czym przedstawił swego gościa:

- Mister Salvatore Miguelo... Czy pan mówi po angielsku lub portugalsku?

- Arie w ząb - odparł „Boss” jowialnie, choć nieźle znał angielski.

- W takim razie, proszę wybaczyć, ale wyłączę pana jeszcze na kilka minut z rozmowy. Mój znajomy przyszedł niespodziewanie i spieszy się, bo jutro wyjeżdża.

- Ależ oczywiście, niech panowie sobie nie przeszkadzają. Ja tu z boku usiądę i odsapnę trochę, bo straszny dziś upał.

- Przyniosę panu kawy. Mrożoną czy gorącą?

- Mrożoną, jeśli można.

Kordon wyszedł, obaj mężczyźni zostali sami. „Boss” przyjrzał się

cudzoziemcowi, uśmiechnął i rzekł po polsku:

- Okropny upał, prawda?

Salvatore Miguelo uniósł ramiona w górę i pokręcił głową z zażenowaniem.

- Ja polski nic! Descufpe o sefthor...*

* Desculpe o senhor - przepraszam pana.

- Sprechen Sie deutsch?

- Deutsch? Oh, no... I'm Brazilian. You now? Brazil I'am

- Brazylia - powtórzył „Boss”, rozplývając się w uśmiechu. - Wiem, znam. Piękny kraj!

- Był pan w Brazylii? - włączył się do rozmowy Kordon. Wniósł do gabinetu filiżanki z kawą. - Miguelo przyjechał do rodziny. Ma tu w ambasadzie siostrę.

- Nie byłem, czego żałuję, ale przecież słyszy się wiele o krajach Ameryki Południowej, Czytałem też to i owo.

Wziął podaną mu kawę i odszedł z nią na bok, dając tym samym do zrozumienia, iż pamięta, o co go proszono. Usiadł w drugim końcu gabinetu i pił małymi łykami, starając się nie uronić ani jednego słowa z rozmowy, prowadzonej po angielsku ściszonymi głosami.

- Więc kiedy pan będzie z powrotem? - pytał Kordon, - Nie chciałbym czekać byt długo. Poza wszystkim innym potrzebne mi są pieniądze. Tamte sprawy wyjaśniły się, nikt już nie ma do mnie żadnych pretensji.

Salvatore Miguelo wyjął notes, sprawdził coś i odparł:

- Po raz drugi przyjadę dwudziestego ósmego lipca. Już z pieniędzmi. Muszę mieć czas na znalezienie dobrego kupca. Pan rozumie,

ja też chcę na tym zarobić. A dzieła sztuki, to nie waluta. Na obraz trzeba mieć amatora. Ile pan chce ostatecznie?

Kordon skrzywił się lekko.

- Powiedziałem już, że dwanaście tysięcy dolarów. W innej walucie nie biorę. Możemy jednak wmówić się, że pan wpłaci tę sumę na moje konto w banku szwajcarskim. Tak będzie panu wygodniej?

- To już wszystko jedno. Najważniejsze, żeby był kupiec z pieniędzmi. A propos, ten francuski malarz jest jakoś mało znany... Nie ma pan czasem Maneta albo Renoira?

Kordon roześmiał się.

- Żartuje pan, Salvatore. Później mógłbym się dla pana postarać o ikony. Ale teraz najbardziej zależy mi na sprzedaniu... no, tego - rzucił okiem na Bossa", który siedział z twarzą spokojną i nieruchomą, popijając kawę. - Cholera, nie mam pewności, czy on nie rozumie. Kończmy. Więc dwudziestego ósmego?

- Tak. Gdyby coś się u mnie zmieniło, dam panu znać. Proszę pilnować obrazu!

- Nie ma obawy. Jest doskonale schowany. Do zobaczenia, Salvatore.

- Do zobaczenia, Stanislav. Que horas sao? O, que tarde!*

* Que horas sao? O, que tarde! - Która godzina? O, jak późno!

Kordon odprowadził gościa do wyjścia, a potem rzekł do Bossa":

- No, teraz już jesteśmy sami, więc słucham. Co pan może mi zaproponować?

- Chcę kupić „Garść wiatru” - odparł bez zająknięcia. - Za dziesięć tysięcy dolarów. Gotówka.

Twarz gospodarza znieruchomiała. Milczał, wpatrując się w swego

rozmówcę, który również nie spieszył się z dalszym ciągiem. Czekał. Przede wszystkim na reakcja Kordonia, bo ani myślał płacić za obraz dolarami. Chciał go mieć za darmo.

- Zagrajmy w otwarte karty - odezwał się wreszcie. - Chyba lepiej i prościej sprzedać go mnie niż temu Brazylijczykowi. Nie wiadomo, czy wróci po raz drugi i czy znajdzie kupca z pieniędzmi.

- Pan mnie okłamał! - warknął Kordon blednąc z gniewu - Zna pan angielski. Powinienem wyrzucić pana z domu.

- Ale pan tego nie zrobi. Ja już za dużo wiem, to przecież jasne. Zamiast się kłócić, pomówmy o interesach. Jesteśmy przecież z tej samej branży - roześmiał się.

- Nie mam „Garści wiatru” na sprzedaż.

- Czyżby? Gdybym teraz cię sprzątnął, ty zakichany dyplomato, to by nikt nigdy tego mi nie udowodnił. - W ręku „Bossa” znalazł się raptem niewielki pistolet, otworem lufy skierowany wprost na Kordonia.

Ale tamten nie zląkł się, uśmiechnął się jedynie lekceważąco. Potem błyskawicznie chwycił za lufę, szarpnął. W pistolecie coś szcęknęło i usłużnie wyskoczył mały ogieniek. Kordon włożył do ust papierosa, zapalił i wciąż nie spuszczać ironicznego wzroku z „Bossa” oddał mu zapalniczkę.

- Mam kilka podobnych cudeniek - wyjaśnił. - Ale za próbę straszenia bronią mógłby pan odpowiadać.

- W porządku - rzekł „Boss”. W głosie jego była nutka podziwu. Zorientował się, że trafił na równego partnera. - To i owo już sobie wyjaśniliśmy. Czy wobec tego nie moglibyśmy się dogadać?

Kordon usiadł w fotelu, rozpierając się wygodnie.

- Po co pan przysłał do mnie tego szczura z kretyńskimi propozycjami? - spytał gniewnie. - Przynosi mi kopię posążku bogini Kwe-Szahi? w dodatku wykonaną w Hamburgu i to bardzo niedawno, sądząc po drewnie. Fałszywy heban, tandetne kamyki w oczach. Za kogo pan mnie ma, panie Krążkiewicz?

Nazwany tak otwarcie własnym nazwiskiem, „Boss” drgnął. Przecież nie przedstawiał się wówczas w sklepie. Pewnie „Moher”... A zresztą, nietrudno dowiedzieć się o nazwisko kierownika sklepu - uspokajał się w duchu.

- Ja mu tego nie dawałem - skłamał gładko. - On tak sam z siebie. Rzeczywiście, dureń, ale dobry chłopak.

- Ponawiam pytanie: co pan ma mi do zaofiarowania.

Tym razem „Boss” zastanawiał się dłuższą chwilę Obaj wiedzieli, że nie chodzi o jakiś obraz czy rzeźbę.

- Współpracę - odrzekł wreszcie. - Pan ma możliwości działania, ja mam pieniądze. Możemy być sobie pomocni.

- Musiałbym uzgodnić - Kordon przyglądał mu się nieufnie. - Nie pracuję sam.

„Boss” zdziwił się. Tego nie przewidywał.

- Z „Karolem”?

Kordon potrząsnął głową..

- Z „Tellym” - mruknął. - Pan go nie zna. Też był za granicą. Przyjechał parę miesięcy temu. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

Wstał, wyciągnął rękę na pożegnanie. Po tej rozmowie „Boss” był tak skołowany, że dwukrotnie minął własny samochód, zanim się zorientował, gdzie jest i co robi. Jadąc później do domu na przemian to

wzdychał, to kłął ciężko. Dowiedział się oto o istnieniu czegoś, co zagrażało całej działalności jego oraz całego tak dobrze prosperującego gangu. Był on - „Boss”, i był „Karol”, reszta się nie liczyła w interesach. „Karola” znał od lat, wiedział, jak go przechytryć albo jak omijać. Znał jego ludzi, czasem nawet świadczyli sobie drobne usługi. Wymieniali koników, czasem podrzucali coś, co im nie pasowało, mogło zaś przydać się drugim. Wynikało to z konieczności, przecież trudnili się tym samym. Obaj skupywali dzieła sztuki i wypychali je za granicę, obaj kochali tylko pieniądze, liczyły się te wartości, które można było kupić lub sprzedać.

Po „Karolu” wiedział, czego mniej więcej można się spodziewać. A „Telly”? Kim jest? Czy i do jakiego stopnia trzeba się liczyć z jego działaniem? Jakie ma powiązania, możliwości, kontakty zagraniczne? Sądząc po Kordoniu, „Telly” i jego ludzie stanowią poważne zagrożenie. Czy w tej sytuacji nie lepiej byłoby dogadać się z „Karolem”, aby wspólnie zlikwidować zagrażający gang?

Teraz „Boss” przypomniał sobie, że „Jakub” już dwukrotnie wspominał o nieudanych transakcjach, twierdząc, że ktoś mu podstawia nogę. Wtedy zlekceważył te informacje, - podejrzewał nawet Mielicha o prywatne interesy. A jeżeli to jednak prawda? Jeżeli robi to grupa „Tellego”? Przecież mają „Garść wiatru”, a to jest najlepszy dowód, że gdzieś, w którymś miejscu, przerwali kontakty „Karola”, zabrali mu obraz, a „Bossowi” uniemożliwili wpływ na tę sprawę.

„Boss” takich rzeczy nie lubił. Postanowił odłożyć na razie plan kradzieży obrazu z mieszkania Kordonia. Jak to dobrze, że sam do niego poszedłem! - myślał. Przed Milcem on by się nie wygadał. Trzeba teraz za wszelką cenę dojść do „Tellego”. Sprawdzić kontakty. Zorientować się, do

jakiego stopnia może nam przeszkadzać, A potem, zobaczymy.

ROZDZIAŁ 8

Pułkownik Brezga usiadł naprzeciw szefa z twarzą tak zadowoloną, iż tamten z miejsca odgadł: coś się ruszyło w sprawie kryptonimu „Garść wiatru”.

- No, mów - rzekł z zaciekawieniem.

- Znaleźliśmy tego taksówkarza, mieszka na Sadybie.

- Serio znaleźliście?! I pamięta dziewczynę?

- Owszem. Kapitalna historia, mówię ci. Potwierdza po raz któryś, że w naszej robocie bardzo się przydaje szczęśliwy przypadek. Zawsze mówiłem, że milicjant bez krzty szczęścia, to ofiara losu.

- Opowiadaj, ty szczęściarzu.

- Nie tyle ja, ile chłopcy ze służby kryminalnej na Mokotowie. Uwzięli się, żeby go znaleźć, me przywiązywałem do tego wagi, bo przecież od kwietnia minęły cztery, a właściwie już prawie pięć miesięcy. Pomyśl, ilu pasażerów mógł wozić w tym czasie ten facet!

Ale tak się złożyło, że tego kwietniowego wieczoru nasz taksówkarz miał wypadek. Jakiś prywaciarz potrącił go swoim Fiatem. Nieszczęścia nie było, trochę zadrapań na skórze i niezła stłuczka wozu. Nadjechali nasi z drogowej, zaczęły się korowody, wiesz, jak to zwykle. Taksówkarz został podwieszony radiowozem do Pogotowia, opatrzyli mu zadrapania, temu z Fiata nic się nie stało. Rzecz w tym, że kierowca taksówki dobrze sobie zapamiętał cały ten wieczór. I pamiętał również, że wypadek zdarzył się wtedy, kiedy on wracał z kursu w aleję Króla, nawet niedaleko stamtąd.

Kiedy więc teras jeden z naszych natrafił na niego i zaczął wypytywać tak, jak to robiliśmy od tygodni ze wszystkimi taksówkarzami, ten od razu przypomniał sobie i wypadek, i kurs w aleję. A było, proszę ciebie, tak. Przy Dworcu Centralnym próbowała go zatrzymać dziewczyna z dużą teczką. Lał deszcz, była burza. Powiedział sobie: „ostatni kurs”, bo był zmęczony i chciał wracać do domu. Ale przez ten deszcz zahamował przy niej samochód. Podała adres: aleja Króla dwadzieścia osiem.

- Zapamiętał numer? Ejże, nie chce mi się wierzyć.

- Cóż, jasne że mógł się pomylić. Nasi już interesują się aleją Króla. Zobaczymy. Ale pokazaliśmy taksówkarzowi zdjęcie Magdaleny Borek i rozpoznał ją wśród kilkunastu innych. Upiera się, że to był numer dwadzieścia osiem. Pamięta, że dziewczyna weszła do ogródka, tam są przeważnie takie małe domy jednorodzinne i wille, że furтка była otwarta, a on zawrócił, już nie czekał na pasażerów, tylko jechał do domu i po drodze miał stłuczkę. Godzina, w której Borkówna wsiadła do taksówki, zgadza się mniej więcej z godziną przyjazdu pociągu z Gdańska.

- Kto mieszka pod dwudziestym ósmym.

- Niejaki Hustecki. Właściciel dwóch pralni chemicznych. Pięćdziesiąt cztery lata, imię Wiktor, żona Zofia, nie pracująca. Samochód, dom, zresztą, odziedziczony po rodzicach. Hustecki nie jest u nas notowany, nie był też karany.

Komendant zapalił fajkę, podniósł słuchawkę i poprosił o dwie kawy.

- I dziewczyna weszła do tego domu? Z teczką - zadumał się. - Z obrazem?

- Można tak sądzić. Oczywiście, cała historia, którą opowiadała kapitanowi Kręglewskiemu w szpitalu, wiesz, o herbacie ze środkiem

nasennym i tajemniczym kierowcy, to bujda. Ale to też jest zastanawiające. Chciała ukryć fakt, że przyjechała do Husteckich. Dlaczego? Jeżeli przywiozła im obraz, to znaczy, że istnieje ścisłe powiązanie między Kapslerem z Gdańska i Husteckim. Handlują dziełami sztuki. Mielibyśmy więc ślad jednego gangu.

- Możliwe. Mam nadzieję, że wzięliście pod obserwację również inne, podobne numery domów w alei Króla?

- Jasne. Pod trzydziestym ósmym mieszkają Mielichowie, on ma sklep galanteryjny w pawilonach. Ich dom jest bardzo podobny do domu Husteckich, to też jest stare budownictwo, przedwojenne i też Mielich dostał po rodzicach. Inne kombinacje ósemek nie są dla nas interesujące. Przy Mielichu bym się, mimo wszystko, zastanowił. Ma możliwości wyjazdów zagranicznych, liczne kontakty. No i to, tak znaczne, podobieństwo domów, numerów. A jeżeli taksówkarz pomylił się wtedy i zatrzymał wóz przed trzydziestym ósmym?

- To nic nie znaczy. Borkówna, spostrzegłszy pomyłkę, musiała wycofać się i przejść do... chociaż, kto wie? - Zamyślił się. Pokręcił głową.

- Nie, raczej poszła do Husteckich. Obraz ma, według nich, wielką wartość. Musiała sprawdzić numer domu i nazwisko osoby, do której przyjechała. Najprawdopodobniej zresztą знаła już Husteckiego. Gdzie był Kapsler, kiedy to wszystko się działo?

- W Austrii. I pewnie dlatego nie przywiózł obrazu sam, tylko polecił to Borkównie.

- Można sądzić, że po oddaniu obrazu Borkówna wyszła od Husteckich i została napadnięta przez nieznaną sprawców. Zrabowali jej to, co tam miała, pobili, bo pewnie krzyczała.

,- Tak by mogło być. Natomiast wciąż niewyjaśnione są okoliczności zabójstwa. Przyjechała do Warszawy z Kapslerem i zniknęła. Potem znajdujemy zwłoki gdzieś przy drodze na Otwock. Powiedz, jaki cel miałby Kapsler, żeby to zrobić? Zemsta za zgubiony, skradziony czy sprzedany za jego plecami obraz? Po to nie woziłby jej aż tutaj. Nonsens.

- Nie wiem. Myślę, że nie wyjaśnimy tego, zanim nie rozszyfrujemy dokładnie Husteckich. Od nich w końcu wszystko się zaczęło: przyjazd dziewczyny w kwietniu i tak dalej. Co u Szczęsnego?

Brezga uśmiechnął się.

- Pozwolisz, że ci niedługo złożę oficjalne sprawozdanie? - odpowiedział pytaniem. I dodał: - Myślę, że już bardzo niedługo.

Pod numerem dwudziestym szóstym w alei Króla mieszkali państwo Kielniakowie. On był emerytem kolejowym, ona całe życie pracowała w domu, gotując, sprząając i wychowując troje dzieci. Teraz, kiedy młode pokolenie poszło już na swoje i pozostali tylko we dwójkę z mężem, mieli dużo czasu, z którym z początku nie bardzo wiedzieli, co robić. On chodził na ryby i z zamiłowaniem uprawiał ogródek, ona wciąż zajmowała się domem, w którym jednak nie było już tak wiele do roboty.

Któregoś lipcowego wieczoru do Kielniaków przyjechał najstarszy syn, pracownik naukowy jednego z instytutów, i przyprowadził ze sobą gościa.

- Kochani, mam do was prośbę - powiedział, - To jest mój kolega szkolny i świetny kumpel, Andrzej Brodowicz. Pozwólcie mu przez jakiś czas pomieszkać na piętterku. Miesiąc, dwa, może zresztą krócej. Ma do napisania pracę i szuka ciszy.

Brodowicz zapewnił, że oczywiście pokryje wszystkie koszty, ale

Kielniakowie niemal obrazili się - od kolegi syna nie wezmą ani grosza. Pokój stoi pusty, niech mieszka jak długo chce. Byli nawet radzi, że znowu - jakaś młoda twarz znalazła się w ich domu.

W ten to prosty sposób kapitan Służby Bezpieczeństwa Jerzy Wiśniakowski zamieszkał jako Andrzej Brodowicz w domu sąsiadującym z domem Husteckich, co w poważnym stopniu ułatwiło mu obserwację. Rzecz jasna, nie robił tego - sam, miał do pomocy kilku wywiadowców, - ci jednak musieli wciąż „zmieniać skórę” i przerzucać się z miejsca na miejsce, aby nie wzbudzać podejrzeń.

Brezga nie zrezygnował też z dyskretnej inwigilacji Mielicha, który w sklepie pokazywał się zbyt rzadko, aby mogło to być jego jedyne zajęcie, dające dochody. Pracowały tam dwie ekspedientki, dobrze wynagradzane. Mielich miał Hillmana, wóz drogi, kupiony z drugiej ręki, lecz w doskonałym stanie. Wkrótce wywiadowcy zorientowali się, że zarówno wyposażenie domu, jak i tryb życia Mielichów wskazuje na to że dysponuje on bardzo dużą gotówką. Nie zaobserwowali jednak żadnych powiązań pomiędzy nimi a Husteckimi; nie spotykali się i nie odwiedzali. Dziwne było tylko, że w samym środku lata obie te, tak zamożne, rodziny nie wyjechały gdzieś nad morze czy w góry, tylko tkwiły w Warszawie. No, ale na urlop wyjeżdża się także jesienią.

Juan pojawił się zupełnie niespodziewanie i z miejsca oznajmił Mielichowi, że potrzebuje kilku wartościowych rzeczy, najchętniej sreber i porcelany, ale mogą być to również obrazy, byle tylko niezbyt duże, w przeciwnym wypadku miałyby kłopoty z wpakowaniem ich do walizki.

- Ile pan ma na to pieniędzy? - spytał „Jakub” rzeczowo.

- Pieniądzy? - zagraniczny gość roześmiał się hałaśliwie. - Ja mam

tyle, ile trzeba. A co pan ma?

- Piękny obraz. Ale bardzo drogi. Stara francuska szkoła, osiemnasty wiek.

- Olej?

- Tak. Wspaniały koloryt.

- Koloryt nieważny. Ramy są?

- Są. Wąskie, pozłacane. - Jaka wielkość?

- Nie mierzyłem, ale tak mniej więcej: czterdzieści na sześćdziesiąt pięć.

Juan pomyślał chwilę, przejechał palcami po gęstych, ciemnych włosach. Coś obliczał w pamięci.

- Z trudem wejdzie. Chyba, że wezmę bez ram. Wtedy da się zwinąć w rurkę. Ale z ramami więcej płacą. Hm... Jak nie bardzo grube, to można rozdzielić i poukładać w walizce wzdłuż... Tak, to by się dało. Ile pan chce?

Mielich mimo woli pokręcił głową.

- Pan nawet nie pyta co namalowane?

- Nieważne! Mnie interesuje cena.

- To jest koń rasy arabskiej.

- Koń... No, niech będzie. Ile pan chce?

- Osiem.

Juan gwizdnął, uniósł brwi w górę i wywrócił oczy.

- Strasznie dużo pieniędzy. Osiem tysięcy dolarów! Pan wie ile to jest złotych?

- Wiem. Ale mnie nie obchodzą złotówki, ja sprzedaję ten obraz wyłącznie za dolary, mogą być też szwedzkie korony.

- Nie moje poletko - - roześmiał się Juan. - Szwecja za daleko i nie w tę stronę. Osiem tysięcy, to za dużo. Ja nie zarobię.

- Juan, pan zarobi na tym co najmniej dwa tysiące, bo pan sprzeda go za dziesięć, jeżeli nie za dwanaście tysięcy. A ja też chcę zarobić.

- Ile? - zainteresował się.

- To moja rzecz. No więc chce pan zobaczyć „Garść wiatru”?

- Jak pan powiedział, „Garść wiatru”? Ładna nazwa. Ale, co ma wiatr do konia? Aha, że biegnie tak szybko, jak wiatr. Ładne. No, pokaż pan, niech pooglądam.

Mielich poprosił Irenę do pokoju, aby zabawiała gościa, zanim on przyniesie obraz. Chodziło mu przede wszystkim o to, aby ruchliwy i ciekawski cudzoziemiec nie poszedł za nim do piwnicy i nie wypatrzył schowka. Irena, zgrabna i ładnie opalona, weszła uśmiechnięta, a czarnooki Juan uwielbiający blondynki z miejsca zaofiarował jej miłość i wspólny wyjazd do Ameryki, no, na razie niechby gdzieś pod Warszawę, na weekend. Powiedziała zalotnie, że się zastanowi, naleła mu koniaku i zimnej jak lód coca-coli. Tak sobie rozmawiali i przekomarzali się, aż Mielich wrócił z obrazem.

Juari przyjrzał się malowidłu bez widocznego entuzjazmu, w tym momencie miał już większą ochotę na wyjazd z Ireną, niż na kupno obrazu. Przyznał, że obraz niebrzydki, że sprzedażą nie będzie kłopotów, ale osiem tysięcy to stanowczo za dużo. Gdyby na obrazie była ładna kobieta... Zwłaszcza o włosach blond... - rozmarzył się.

- Sześć - powiedział stanowczo.

- Siedem i pół - obniżył cenę Mielich. - Sześć zapłaciłem, niechże pan zrozumie, przecież nie będę oddawał bez zarobku.

- Siedem i ani dolara więcej. Pan nie zapłacił za niego więcej niż cztery.

- Żebyś ty wiedział, że nic - pomyślał Mielich. Zgodził się łaskawie na siedem, udając, że go to nie zadowala. Juan wyjął portfel, odliczył starannie, siedem tysięcy dolarów i położył na stole. Irena zawinęła obraz w gruby papier, przewiązała sznurkiem.

- Ma pan tu samochód? - zatroszczył się Mielich, uradowany z transakcji. - Jeżeli nie, to pana podrzucę.

- Nie, dziękuję. Mam swój wóz, stoi dwa domy dalej. Panie Jerzy, kupiłem z miejsca, bo nie pierwszy raz ze sobą handlujemy. Ale gdybym się przekonał, że pan mnie nabrał z tym koniem... Krótko powiem, że nie chciałbym znaleźć się wtedy na pana miejscu. My, południowcy, jesteśmy mściwi.

- Sprzedałem panu cenny, stary obraz francuskiego malarza Claude Perraulta. Nie moja wina, że pytał pan o ramy, nie o artystyczną wartość dzieła i nie o nazwisko. Proszę zapisać w swoim notesie nazwę: „Garść wiatru”, autor - Claude Perrault.

- To zapisz pan na kartce, bo nie chce mi się wyciągać notesu.

- Nie, Juan. Pan to sam napisze w swoim notesie - powtórzył Mielich stanowczo.

Tamten błysnął oczami urągliwie.

- Pan się boi, że ja zgubię tę kartkę i pismo pana zdradzi! - śmiał się.
- Niech będzie, zaraz zapiszę.

Wyciągnął notes, skreślił kilka słów. Spojrzał na zegarek, przestraszył się.

- Dziesiąta dochodzi, a ja miałem być na kolacji u znajomych o

ósmej. Madonna, jak ja się - wytłumaczę! - Uśmiechnął się do Ireny, przymrużył oko. - Powiem, że miałem randkę z taką śliczną kobietą; mogłem zapomnieć o całym świecie.

- Ale pan doskonale mówi po polsku - zauważyła, kiedy odprowadzali gościa do furtki. - Jak pan się nauczył?

- Jestem w Polsce tak często, że się nauczyłem. Do widzenia.

Wrócili do domu. Juan wsiadł do samochodu i ruszył wolno w stronę śródmieścia. Jedna strona alei była nie oświetlona, prawdopodobnie nastąpiła awaria. Nie zauważył, bo zresztą nie interesował się tym, że odkąd ruszył, trzymając się w pewnej odległości zaczęło za nim jechać duże granatowe BMW. Za skrzyżowaniem był niewielki objazd wąską jednokierunkową uliczką. Juan skręcił, jechał ostrożnie. Granatowe BMW skręciło również i nagle jego kierowca dodał gazu. Południowiec obejrzał się, gwałtownie zahamował, ale było już za późno. Tamten wóz wpadł na jego Forda, na ulicy zakotłowało się, chyba w samochodzie kłós krzyknął, bo na chodnikach nie było przechodniów. Juan poczuł ból w tyle czaszki i stracił przytomność.

Ocknął się dość szybko, od pobliskich domów nadbiegli ludzie. Pomacał głowę, wyczuł guz, ale nie było krwi, palce miał suche. Z trudem wygramolił się z samochodu, obejrzał go ze wszystkich stron. Tył wozu był zgnieciony, ale nie tak bardzo, aby nie dało się jechać.

- Co się stało? - spytał jakiś brodac z plecakiem turystycznym i gitarą przewieszoną przez plecy. - Ktoś pana stuknął?

- Tak - odparł Juan. - Może chciał mnie minąć i zawadził.

- Nic panu nie jest? - Kobieta z psem obejrzała niefortunnego kierowcę od stóp do głów. - Chyba nie jest pan ranny.

- Nie, wszystko w porządku. Dziękuję państwu. Wsiadł do Forda, ruszył ostrożnie. Silnik pracował bez przerwy, nic nie stukowało, nie klekotało.

Dobrze, że tak się skończyło - pomyślał z ulgą. Zajechał przed hotel, zaparkował uszkodzony wóz i sięgnął na tylne siedzenie, aby zabrać obraz. Dopiero wtedy zobaczył, że paczki nie ma. Pomyślał, że pewnie w momencie uderzenia pakunek ześliznął się na podłogę. Szukał, jeszcze nie wierząc, że ktoś paczkę zabrał. Ale kto? Czy ten, który go stuknął czy jakiś przechodzień, korzystając z nieprzytomności kierowcy, porwał paczkę i uciekł.

Juan dotknął głowy, guz dokuczał potężnie. Ale najbardziej bolała świadomość straty siedmiu tysięcy dolarów. Co zrobić? Zawiadomić milicję? To nie wchodziło w grę. Musiałby powiedzieć, że zapłacił taką sumę, że w ogóle dał Mielichowi dolary za obraz. Juan orientował się już, że są to sprawy karalne.

W pokoju hotelowym zastanawiał się nad tym wszystkim i nie mógł zasnąć. Nad ranem zrezygnowany doszedł do wniosku, że na tych siedmiu tysiącach dolarów trzeba postawić krzyżyk. Trudno, tak bywa w interesach, Postanowił sobie odbić na czym innym.

*

Granatowe BMW miało uszkodzony przód i wymagało naprawy w dobrym warsztacie. „Boss” nie zmartwił się tym. Uważał, że ma mnóstwo spraw do przemyślenia, dlatego postanowił przez dwa dni nie pójść do sklepu „Antarsu”, wcześniej zawiadamiając, że jest chory. Chciał spokojnie rozważyć, co należy zrobić z „Jakubem”, a także z obrazem „Garść wiatru”, który znajdował się teraz w jego domu.

Juana poznał kiedyś w towarzystwie, które było już wtedy tak rozbawione i zawiane, że trudno się było z kimkolwiek dogadać. Południowiec nie żałował sobie alkoholu, wciąż jednak był na tyle trzeźwy, że przysłuchiwał się uważnie rozmowom, czasem zapisał jakiś adres lub telefon.

„Boss” to zauważył Po co on to robi? - myślał i obserwował go z zaciekawieniem. Rozwahał, czy Juan to potencjalny współpracownik. Dowiedział się, że często podróżuje, był w wielu krajach świata. Tej nocy jednak nie chciał z Juanem wdawać się w żadne delikatniejsze rozmowy, przyglądał mu się tylko. Tak się złożyło, że miesiąc później spotkał go siedzącego w kawiarni z „Jakubem”. To się „Bossowi” mniej spodobało. Sam nie widziany przez nich, zaszył się w kąt, zasłonił gazetą i czekał, co będzie dalej. Potem jednak ktoś przysiadł się do niego, a że propozycja była korzystna, przestał zajmować się tamtymi.

Po raz trzeci zobaczył smagłego, cudzoziemca w samochodzie wczoraj, jadąc wieczorem do Mielicha. Zielony Ford zahamował kilka metrów przed nim...Boss” coś tknęło, sam w tej chwili nie umiałby powiedzieć co, więc wolno minął go w szerokiej alei Króla i spojrzał kierowcy, w twarz. Upewnił się. Tak to był Juan i jechał wyraźnie w tym samym kierunku.

Dobrze - powiedział sobie w myśli „Boss”. Znowu zwolnił, pozwolił się wyprzedzić potem jednak siedział Fordowi na „ogonie” Juan zatrzymał się o dwa domy od mieszkania Mielichów, „Boss” skręcił kawałek dalej na piaszczystą, ślepą drogę, jeździły tamtędy ciężarówki na pobliską budowę, o tej późnej godzinie jednak droga była pusta. Wysiadł z wozu, znał dobrze wszystkie tutejsze zakamarki, wyjścia i podwórka. Ukryty za

krzakami bzu, obserwował dom Mielichów. Stał tak długo, aż zobaczył, że wychodzą wszyscy troje. Juan niósł płaski, spory pakunek, owinięty w papier.

Mielich sprzedał mu coś - pomyślała Ale co? I odpowiedział sam sobie: A jeżeli znalazł to, czego szukał, i sprzedał Juanowi?...

„Boss” szybko podejmował decyzje i na ogół był z nich zadowolony. Wsiadł do BMW, cicho zagrał silnik. Widział, jak Mielichowie odeszli do domu, jak Juan ruszył swoim Fordem. Wtedy pojechał za nim. Miał bardzo mało czasu, aby przemyśleć sposób, w jaki dowiedzieć się, co tamten kupił od „Jakuba”. Nie mógł i nie chciał tego zrobić wprost. Zawsze był podejrzliwy wobec wszystkich swoich współpracowników, śledził ich czasami, sądząc, że go oszukują. Wiedział, że rozmowa z Juanem nic mu nie da, ten wyprze się wszystkiego, prawdopodobnie ostrzeżony już przez Mielicha.

Pozostawał tylko jeden sposób i „Boss” go zastosował. Umiał to zrobić tak, aby nie wyrządzić krzywdy ani sobie ani tamtemu kierowcy. W gruncie rzeczy, bał się wszelkiej fizycznej przemocy, widoku krwi, broni, noża. Potrafił rzucić popielniczką w „Mohera”. ale były to uderzenia tak obliczone, aby przestraszyć, nie zabić.

Teraz siedział w domu i rozmyślał. „Garść wiatru” leżała na stole, przyglądał jej się i zastanawiał, ile też Juan zapłacił Mielichowi. Był prawie pewien, że nie zawiadomi on milicji, wyłoniłoby się z tej okazji zbyt wiele kwestii. Juan w tym wszystkim nie liczył się. Ale jak załatwić sprawę z „Jakubem”. I nagle przyszło mu na myśl, że z pewnością Mielich nawiązał za jego plecami współpracę z „Tellym”.

- Kanalia! - syknął z gniewem na samą myśl o tym. - To jasne, że tak

właśnie się stało. Przecież „Garść wiatru” była w posiadaniu Kordonia, a potem znalazła się u Mielicha. Widocznie albo nie chciał czekać na powrót Salvatore Miguela, albo też Juan dał więcej dolarów. „Boss” to nawet rozumiał, on też wybierał tego kupca, który płacił więcej, choćby nawet przedtem umawiał się z pięcioma innymi.

Tak, ale „Jakub” był w jego grupie, nie miał prawa załatwiać transakcji bez jego zgody i bez dzielenia się pieniędzmi. Zwłaszcza w przypadku tego obrazu. Miał przecież go odnaleźć i przynieść, a tymczasem...

Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy następnego dnia rano Mielich zjawiał się w jego mieszkaniu, jakby nigdy nic i zapytał:

- Więc co robimy? Byłeś u Kordonia?..Bossa” niełatwo było zadziwić, ale tym razem długo milczał i przyglądał się „Jakubowi” spod oka. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wie dział, jak zareagować.

- Byłem - odparł wreszcie.

- Załatwiłeś coś?

- Nie.

Nagle „Boss” zdecydował się, tak szybko, jak wówczas, kiedy Juan skręcił przed nim w małą uliczkę. Już wiedział, co trzeba zrobić, aby mnóstwo rzeczy wyjaśnić w tej zagmatwanej sprawie.

- Więc co robimy? - powtórzył Mielich. Patrzył mu prosto w oczy i „Boss” poczuł, że ogarnia go wściekłość, zmusił się jednak do spokoju.

- Wykonamy nasz plan. Mile znalazł odpowiednich ludzi i sam z nimi pójdzie. - My poczekamy w samochodzie.

- Nie chcesz, żebym ja poszedł z nimi?

- Nie! - w głosie „Bossa” było coś, co sprawiło, że Mielich zmieszał

się i odwrócił głowę.

- No, dobrze - powiedział. - Kiedy to zrobimy?

„Boss” spojrział na zegarek.

- Za niespełna cztery godziny. Pod jednym warunkiem: że od tej pory nie wyjdiesz z mego mieszkania i nie będziesz nigdzie telefonował.

- Oszalałeś?! - „Jakub” groźnie zmarszczył brwi, twarz skurczyła mu się w gniewie. - Co to ma znaczyć?

- Muszę mieć pewność - odparł „Boss” wymijająco.

- Jaką pewność? O co ci chodzi?

- Że nie masz kontaktów z grupą „Tellego”. Oczy Mielicha zaokrągliły się ze zdumienia.

- Z kim?

- Z „Tellym”.

- Kto to jest?

„Boss” popatrzył na niego ironicznie.

- Ile zarobiłeś wczoraj? - mruknął.

Mielich nagle poczerwieniał, odchrząknął. Podeszedł do okna, postać tam kilka minut. Obaj milczeli, bo każde następne słowo mogłoby doprowadzić do zerwania, a tego jeszcze nie chcieli.

*

Hustecki zrobił coś, czego normalnie unikał: zatelefonował do Zjednoczenia i poprosił „Karola”. Mówił oględnie, prosił o spotkanie. Miszewski popatrzał na zegarek, na kalendarz, upewnił się, że sprawa jest ważna, umówili się u niego w domu za godzinę.

Kiedy przyjechał, Hustecki bez wstępów informował go:

- Ten Mielich, o którym ci wspominałem, że ma sklep w pawilonach,

nawiązał kontakt z Juanem. Wczoraj wieczorem zobaczyłem to przypadkiem, kiedy wyszedłem z psem. Juan był u niego i odjechał z jakąś paczką. Na oko, mógł to być obraz.

- Juan Cortez? Ten nasz? Łobuz, pracuje na dwa fronty. No, to jeszcze nie jest tragedia. Ty myślisz, że Mielich miał „Garść wiatru”? I sprzedał mu?

- Wydaje mi się, że tak. I powiem ci coś jeszcze: Krążkiewicz go śledził. Śmiać mi się chciało, bo postawił to swoje BMW z boku, na takiej drodze, która leci tylko na budowę, a sam zaczął się za krzakami i obserwował dom Mielicha. Potem, kiedy Juan wyszedł stamtąd i wsiadł do swego samochodu, on ma zielonego Forda. Krążkiewicz pojechał za nim. Ciekawe, czy się jakoś dogadali i czy odebrał mu obraz.

- Wykluczone! - energicznie zaproponował Miszewski. - Jeżeli Juan raz za coś zapłaci... Chyba że „Boss” dał mu więcej. Ale wątpię. Raczej myślę, że teraz zastanawia się, jak mu to odebrać. - Pomyślał chwilę i spytał: - Wiesz, gdzie Cortez mieszka?

- W hotelu „Forum”. A co, chciałbyś... to jest duże ryzyko.

Miszewski uśmiechnął się swoim zwyczajem kątem ust i Hustecki znowu poczuł się nieswojo.

- Ja się do tego nie mieszam - rzekł stanowczo. - Takie rzeczy, to nie moja branża.

- Jakie rzeczy? - zapytał tamten spokojnie i nie czekając na odpowiedź podniósł się z krzesła. - Muszę wrócić do Zjednoczenia. Dam ci znać, jak załatwię, co trzeba.

Cortez zajmował pokój numer sześćset osiemnaście. „Karol” dowiedział się o tym bez trudu, natomiast - nie udało mu się sprawdzić,

kiedy ma on zamiar wyjechać z Polski. Nie chciał pytać w recepcji, nie chciał w ogóle z nikim tam rozmawiać ani pokazywać się. Wyszedł potem z hotelu i pojechał na dalekie peryferie Warszawy, mieszkał tam kiedyś i do tej pory miał pewne kontakty. Odnalazł dom, stary i brzydki, przeznaczony do rozbiórki. Odnalazł też człowieka, który tam mieszkał, a właściwie gnieździł się jak pluskwa pod tapetą. Usiedli na brudnym wyrku, bo nie było krzeseł ani stołu, i „Karol” wytłumaczył, o co mu chodzi.

Człowiek, nazywany przez kumpli „Brzuchomówcą”, nie był ani młody ani stary, był natomiast przeraźliwie chudy, wyniszczony alkoholem i trybem życia, jaki prowadził. Ucieszył się z pojawienia „Karola”, ponieważ ten dawał mu od czasu do czasu zarobić bez większego wysiłku. Teraz więc patrzył na niego wyczekująco i słuchał, co tamten mówił.

- Obraz? - zdziwił się. - Tylko obraz?

- Żebyś się nie ważył zabierać czegokolwiek innego! Bo już nigdy u mnie nic nie zarobisz.

- W jakim hotelu? - spytał, przyjmując podanego mu papierosa.

- „Forum”. Wiesz, gdzie to jest?

- Pewnie. - Splunął na podłogę i zatarł butem. - Chcesz mieć to szybko?

- Jak najszybciej. Dzisiaj. No, niech będzie jutro rano. Dasz sobie radę? - popatrzał, krytycznym okiem na jego brudne łachy i wykrzywione buty. - Tak cię nie wpuszczą. Masz coś innego do włożenia?

- Znajdzie się. Co jest na obrazie?

- Siwy koń, biegnący polem. Nic więcej.

- I na tym tak ci zależy?

- Zależy.

- No, to... - „Brzuchomówca” wsiał, przeciągnął się. Był chudy, ale jeszcze silny i sprawny, Miszewski wiedział o tym. Prócz tego, miał mnóstwo najróżniejszych znajomości, z których teraz mógł skorzystać. - Daj zaliczkę. Muszę kupić skarpetki, buty, krawat i inne drobiazgi. Ostrzyć się, ogolić.

„Karol” odliczył pięć setek i wcisnął mu w rękę. - Reszta potem - powiedział. - Nie będziesz żałował.

Chudzielec uśmiechnął się, pokiwał głową Dziwna rzecz, elegancki i wykształcony wicedyrektor, ilekroć znalazł się tutaj, u tego strzępu człowieka, tyle razy jakby zrzucał maskę”, spod której ukazywał się ktoś zupełnie inny Dawny praski chuligan i awanturnik, dziecko starych przedwojennych domów i wąskich podwórek-studni.

Po śmierci rodziców przygarnął chłopaka stryj. Naczelną dewizą stryja, właściciela dużego sklepu z warzywami, byle zarobić. Zadbał o wykształcenie sieroty, a kiedy zorientował się, że młody człowiek jest bystry i zdolny, powiedział mu tak: - Jeżeli będziesz mnie słuchał, zrobię z ciebie bogatego człowieka. Ale pamiętaj, że ty musisz panować nad pieniądzem, nie pieniądz nad tobą. I jeszcze pamiętaj, że ktoś tam dawno temu stwierdził, iż żaden pieniądz nie śmierdzi.

„Karol” przyswoił sobie tę zasadę tak dobrze, że osiągnął więcej, niż stryj mógł zamarzyć. Zdobył wykształcenie, ogładę towarzyską, umiejętność obracania się wśród ludzi, zawsze wybierał jednak takich, którzy mogli mu się przydać. Pewnego dnia poznał Wiktora Husteckiego Po roku wzajemnego przyglądania się sobie, nieufnie i ostrożnie, zorganizowali przestępczy gang. Zajmowali się handlem walutą,

wywozem z kraju dzieł sztuki i sprowadzaniem złota. Wyjazdy za granicę ułatwiało „Karolowi” stanowisko w zjednoczeniu. Bez trudu nawiązał kontakty z ludźmi, którzy trudnili się przemytem na dużą skalę. Między innymi z Juanem Gortezem.

- Gdzie ci przynieść ten obraz? - spytał „Brzuchomówca”, kiedy „Karol” wychodził już z meliny.

- Zadzwoń do mnie, do domu Przyjadę.

- W porządku. - „Brzuchomówca” wiedział, że Miszewski nie chciał, aby przychodzili do jego mieszkania tacy ludzie, jak on. Wiedział i nie miał pretensji.

- Słuchaj - powiedział jeszcze, a gdyby ten facet, tego... można go „pomacać” po żebrach?

- Ani się waż! On mi jest potrzebny. Pamiętaj, że jeżeli ja kogoś chcę zlikwidować, potrafię zrobić to sam. - Uśmiechnął się krzywo, tamten odpowiedział uśmiechem. Rozumieli się.

Po kolacji Cortez wrócił do swego pokoju. Głowa już przestała go boleć, czuł się jednak senny i ociężały. Postanowił od razu się położyć i spać spokojnie do siódmej rano. Wziął proszek nasenny, bo w sąsiednim pokoju ktoś głośno rozmawiał. Nerwy sprawiły, że Juan ostatnimi czasy źle sypiał, łatwo się budził i zaczął zażywać środki nasenne.

Gdzieś około drugiej nad ranem drzwi od pokoju sześćset osiemnaście uchyliły się i „Brzuchomówca” bezszelestnie wśliznął się do środka. Stał chwilę, chcąc się upewnić, czy tamten śpi. W pokoju panował półmrok i kiedy wzrok przyzwyczaił się do niego, można było obejrzeć sobie wszystko bez zapalania latarki:

Juan spał twardo, proszek zrobił swoje. „Brzuchomówca”

delikatnymi powolnymi ruchami rąk otwierał szafę walizki, wyciągał szuflady, obmacywał delikatnie tapczan. W końcu zaryzykował i sięgnął pod poduszkę, ale znalazł tam tylko chustkę do nosa. Zaklął w myśli i popatrzał bezradnie dokoła. Wykluczone, żeby obraz był gdzieś tu schowany. Zajrzał jeszcze do łazienki, do szafy w przedpokoju, nawet próbował odchylić dywan, ale był przymocowany. Obejrzał zasłony, okna, spojrzął po ścianach, czy przypadkiem nie wisi na nich siwy koń biegnący przez pole, ale nie wisiał.

Wycofał się więc równie ostrożnie jak wszedł i, sobie tylko wiadomymi drogami, opuścił hotel. Był zły. Chciał zarobić i chciał przysłużyć się „Karolowi”. Nie wyszło. Z ulicznego automatu zadzwonił do niego, obudził i opowiedział o nieudanej wyprawie.

Miszewski miał do „Brzuchomówcy” większe zaufanie niż do Husteckiego czy innych kompanów. Przyjechał do niego następnego, dnia pod wieczór, wysłuchał dokładnego sprawozdania, a potem rzekł.

- Widocznie Juan zdażył to już przesłać za granicę. Albo też - przypomniało mu się, co Hustecki mówił o Krążkiewiczzu, i dodał: - Albo sprzedał komuś tutaj.

- Domyślasz się; komu? - spytał „Brzuchomówca”. - Mógłbym spróbować.

- Nie wiem - odparł „Karol” z namysłem - Dam ci znać. Bardzo możliwe, że cię poproszę drugi raz o podobną przysługę.

Wręczył mu jeszcze jedną pięćsetkę, pożegnali się i wyszedł. W tym momencie zdał sobie sprawę, że „Garść wiatru” interesowała go bardziej niż była tego warta. Ostatecznie, przerzucił już za granicę wiele obrazów, niektóre z nich były niewspółmiernie droższe niż siwy koń Perraulta. Po

cóż więc teraz wkłada tyle trudu w odzyskanie go? Upór czy podrażniona ambicja? Ale prawdą było również to, że nie trafiały mu się ostatnio lepsze dzieła sztuki i że na obraz miał dobrego kupca..

Do tego wszystkiego wplątał się bowiem jeszcze nowy element, z którym należało się Uczyć. Oto w Warszawie pojawił się jakiś nowy gang, zajmujący się skupywaniem i przemycaaniem za granicę obrazów, rzeźb, starej porcelany i wyrobów ze złota. Wieści o nim docierały do „Karola” z różnych stron i były zbieżne. Chwilami sądził, iż ktoś je rozpuszcza świadomie, dla wprowadzenia w błąd. Potem jednak przekonał się, że tu i ówdzie uniemożliwiono mu kupno czegoś, na co jego ludzie od dawna polowali, że cenny obraz lub rzeźba dostawały się w zupełnie nieznane ręce i znikają z obiegu.

Zastanawiał się nad sposobem wywożenia tych rzeczy z kraju. Nowy gang musiał mieć dobrze wypracowane kontakty z cudzoziemcami... „Karol” miał takich kontaktów kilka, wiedział też, że „Boss” posługuje się podobnymi. Albo więc trzeci gang uzyskał ich pomoc, albo też znalazł innych.

Dowiedział się, że kieruje tym gangiem osobnik, którego nikt nie zna, być może nawet nie jest to Polak. Nosi pseudonim „Telly”. Jak dotąd, nie było dostępu ani do jego ludzi, nawet drobnych „koników”, ani do niego samego. Wieści o trzecim gangu jednak rozchodziły się w środowisku, docierały do różnych grup i grupiek przestępczych, szerząc wśród nich obawę i wzburzenie. Konkurencja wydawała się bardzo silna, tym bardziej że jak do tej pory, byli nieuchwytni. „Koniki” próbowały dotrzeć do tamtych, wietrząc lepszy zarobek, nie miały jednak żadnego dojścia.

ROZDZIAŁ 9

- Dlaczego „Telly”? - spytał szef, któremu nie kojarzyło się to z niczym.

Szczesny uśmiechnął się.

- Pułkownik nie ogląda telewizji - stwierdził raczej niż spytał.

- Oczywiście, że oglądam. Co ma telewizja do tego? - obruszył się, nerwowo postukał fajką o biurko.

- A serial z porucznikiem Kojakiem?

Szef pomyślał, przypomniał sobie i odparł:

- Istotnie, aktor, który gra Kojaka, nazywa się Telly Savalas. Ale czy nie sądzisz, że to trochę ryzykowne. Tamci mogą się zorientować.

- E, raczej nie. Są tak zaabsorbowani, ponieważ ponoszą straty finansowe, a dla nich tylko to się liczy. Weszliśmy w środowisko tak głęboko, że przechytujemy im wszystkie lepsze transakcje. I jednym, i drugim.

- Kto jest „Tellym”?

- Nikt. „Telly”, to pseudonim całego trzeciego gangu. Ale rzecz jasna, rozpuściliśmy informację, że „Telly” jest przywódcą, że istnieje. Udało się nam to gwałtownie go szukać, dopasowując do tego pseudonimu coraz to inne osoby i panuje tam niemałe zamieszanie, a o to nam właśnie chodziło. Obserwacja Milca i Krążkiewicza pozwoliła ustalić, że należą do jednego gangu, nazwijmy go pierwszym. Z pewnością Krążkiewicz jest szefem, bo Mile pa to za głupi, choć nie brakuje mu sprytu. W grę wchodzi jeszcze taki mały jubiler z Pragi, ma warsztat bardzo nędzny, ale za to

piękną wille, bogato wyposażoną Sasi teraz pracują nad nim. Myślę, że do pierwszego gangu należy jeszcze Jerzy Mielich, też objęty obserwacją. Ostatnio dała ona kapitalne wyniki.

- No, no? Mówcie - zaciekał się szef.

- Do jego domu w alei Króla pod trzydziestym ósmym przyjechał taki cudzoziemiec, Juan Cortez. Myśmy go - mieli na oku już od dawna, bo po każdym wyjeździe z Polski zahaczał o Wiedeń i odwiedzał antykwariat Bednarczyka. A tutaj kręcił się wokół osób podejrzanych o przemyt i nielegalny handel. Wiem na przykład, że spotykał się z Husteckim.

- Tym spod dwudziestego ósmego?

- Właśnie. Z Wiktorem Husteckim. Więc teraz Cortez pojawił się u Mielicha, wyszedł stamtąd z pakunkiem, który z kształtu i wielkości przypominał zapakowany obraz, i pojechał. Ale, co ciekawsze, za nim ruszył Krążkiewicz swoim BMW. Stał przedtem z boku drogi i wydawało się, że na coś czeka Rzeczywiście, czekał na Corteza.

- Podejrzewa Mielicha o interesy poza gangiem?

- Chyba tak. I chyba ma rację. I teraz, pułkowniku, taka scena: nasz pracownik jedzie za nim, trzyma się oczywiście z daleka, ale jedzie. Z kolei jest mały objazd, naprawiają drogę. Cortez tam wjeżdża, wolno. Krążkiewicz za nim, nagle dusi gaz i uderza w tył jego wozu Mały karambol, porucznik Czarnecki zdębiał, nie wiedział, co zrobić, bo nie chciał się ujawnić, a mogła zaraz pojawić się drogowa. Zanim wymyślił coś rozsądnego. Krążkiewicz wygramolił się z BMW. zabrał z Forda ten pakunek i odjechał.

- A Cortez?

- Nic mu się nie stało, tylko na parę minut go oszołomiło. Wóz lekko uszkodzony, silnik był w porządku, więc facet pojechał dalej.

- Myślicie, majorze, że Cortez zorientował się, kto mu zabrał obraz, czy co tam było w paczce?

- Nie wiem. To mało ważne. Prędzej czy później Cortez nie będzie mógł przyjeżdżać do Polski i tyle. Dla mnie ważne jest, że w tym pierwszym gangu zaczynają się wewnętrzne rozgrywki.

- A drugi gang?

- Do drugiego, jak mogliśmy się już zorientować dzięki akcji „Tellego” należy Hosteckci. Kapsler, który siedzi, prawdopodobnie był tam również Czesław Krzymuski, pseudonim „Lekarz”, no i brakuje mi szefa tego całego interesu Co prawda... - Szczęsny umilkł nagle i zamyślił się.

- Co prawda, co? - zachęcił go szef.

- Mam podejrzenia, ale nie chce mi się wierzyć - odparł major. - Hustecki kontaktuje się z wicedyrektorem Zjednoczenia Elcotex, Miszewskim.

- No - szef pokręcił głową. Popatrzyli na siebie, znali życie z najróżnorodniejszych stron i dopuszczali tę możliwość.

- No cóż. Dowiadawaliście się o Miszewskiego?

- Trochę. Na wszelki wypadek. Opinię ma tak zwaną nieposzlakowaną... Od iluś tam lat

- Co to znaczy? A przedtem?

- Przedtem, czyli w trudnym dzieciństwie i młodości to był taki chuliganek z Pragi. Po śmierci rodziców wziął go na wychowanie wuj czy stryj, właściciel sklepu warzywnego. Miszewski skończył szkołę, potem studia, trochę pobyl za granicą, doszedł do stanowiska wicedyrektora

Zjednoczenia Elcotex. Świadczyłoby to o nim bardzo pozytywnie. Tylko że Kapsler ostatnio trochę puścił farbę.

- Powiedział coś o Miszewskim?

- Tak. Ostrzegałem go kilkakrotnie, że grozi mu sprawa o zabójstwo i żeby nie krył kogoś innego, bo sam wpadnie. Długo wypierał się, kręcił, odmawiał zeznań. Dwa dni temu zaczął mówić. Wyjaśnił zresztą tylko tyle, że tę dziewczynę, wiecie, tę Magdalenę Borek, zawiózł wtedy do mieszkania Miszewskiego i zostawił.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Miszewski ją załatwił? Ale dlaczego?

- Nie wiem. Przypuszczam, że to ma ścisły związek z zaginięciem obrazu „Garść wiatru”.

- Dobra. - Szef podniósł się, Szczęsny również. - Zdaje się, że zbliżamy się do końca?

- Raczej tak. Jeszcze trochę dokładniejszych obserwacji, jeszcze poczekamy, czy Krążkiewicz i Mile nie zaplanowali przypadkiem, włamania do kapitana Zawrata. - Roześmiał się. - Musimy się pośpieszyć, bo prawdziwy Kordon niedługo wraca z zagranicy. Wczoraj miałem od niego szyfrówkę.

- To ktoś od was, tak? - szef chciał się upewnić, nie znał osobiście Stanisława Kordonia.

- Tak, z resortu. Uzgadnialiśmy z nim całą sprawę, kiedy był tutaj na początku lipca.

- Dacie sobie radę z rozliczeniem za obraz Kossaka? To duża suma.

- Damy. Straciliśmy co prawda resortowych sto kilkadziesiąt tysięcy złotych, zyskamy dla całego kraju miliony. Zresztą wartość tych dzieł nie

da się przeliczyć na pieniądze. Wywóz za granicę, to strata niepowetowana. Cholera mnie bierze, jak pomyślę, ile te kanalie przemyciły już wspaniałych obrazów. Nie dość, że wojna... to jeszcze teraz... - Czarne oczy Szczęsnego paliły się gniewem. Pułkownik przyglądał mu się przyjaźnie, a potem spytał półzarterń:

- Gdzieżeś to się nauczył po portugalsku, Salvatore Miguelo?

- Z rozmówek polsko-portugalskich - odparł major szczerze, - Tyle słów, ile było trzeba dla zmylenia Krążkiewicza.

- Podsumowując - rzekł szef - można przyjąć, że prócz tej kopii „Garści wiatru”, która znajduje się w mieszkaniu Kordonia-Zawrata, istnieje jeszcze druga, w posiadaniu Krążkiewicza. I to jest ten obraz, który Kapsler kupił od Anglika w Szczecinie, a który wiozła z Gdańska Borkówna... Nie bardzo wiemy, co się z tym później stało, domyślamy się, że przez omyłkę wręczyła obraz Mielichowi zamiast Flusteckiemu. Mielich prawdopodobnie sprzedał go Cortezowi, a od tego ostatniego wykradł go Krążkiewicz. Popatrzcie, jakimi drogami wędrował jeden falsyfikat i ile już kosztował? Przede wszystkim życie dziewczyny, poza tym Kapsler z pewnością nie mało za niego zapłacił, potem Cortez. W rezultacie zabrał go człowiek, który nie wydał na to ani grosza. Włamanie do Kordonia chyba już nie wschodzi w grę. Przecież Krążkiewicz ma obraz.

- A jeśli sądzi, że to kopia? Zobaczymy!

Mielich odwrócił się od okna. Przez te kilka minut przemyślał wszystko i postanowił zagrać w otwarte karty. Coś tu bowiem było niejasne. Jeżeli „Boss” wie, że on sprzedał „Garść wiatru” Juanowi, wobec tego, po co mają się włamywać do Kordonia? Przecież obrazu tam już nie

ma.

- Posłuchaj - rzekł ugodowym tonem - Porozmawiajmy jak dwaj przyjaciele i współpracownicy. Przyznaję, że postąpiłem wobec ciebie brzydko. Prawda, nie zaprzeczam. Miałem „Garść wiatru” od samego początku, bo Borkówna przez omyłkę trafiła wtedy w nocy do mnie, zamiast do kogoś innego, pewnie z grupy „Karola”. Miałem obraz i ukrywałem to przed tobą i przed resztą.

- Świnia! - warknął „Boss”, jego tłusta twarz zaczerwieniła się ze złości. - Wydałeś moje pieniądze na szukanie tego, co było u ciebie w domu!

- Zwrócę ci wszystko, co do złotówki. Postanowiłem teraz sprzedać obraz Cortezowi. Przyjechał, zapłacił mi trzy tysiące dolarów, zabrał „Garść wiatru”.

- I już go nie ma - dokończył „Boss”; usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech.

Mielich zdziwił się. Tak szybko Juan pozbył się obrazu?

- Kupiłeś od niego?

- Nigdy nie kupuję czegoś, co mogę mieć za darmo.

- Ale skąd wiedziałeś, że on ma?

- Moja rzecz.

- Wybacz, ale nie mogę uwierzyć w to wszystko...

„Boss” zerwał się z fotela i z wyjątkową jak na niego ruchliwością poczłapał do szafy. Wyjął obraz, położył na stole.

- No? - spojrzał triumfalnie na „Jakuba”, który przenosił wzrok z obrazu na „Boss’a” i nie mógł opanować podziwu.

- Jak to zrobiłeś?

- Moja rzecz - powtórzył „Boss”. Schował „Garść wiatru” i rzekł: - Znam się na malarstwie, od razu zorientowałem się, iż to jest tylko kopia. Dobrze zarobiłeś na Juanie, on tego by nie sprzedał za granicą nawet za sto dolarów. Tara nabywca jest ostrożny, radzi się wpierw ekspertów, zanim zapłaci tysiące.

- Ale w takim razie - rzekł Mielich oszołomiony - Kapsler posłał dziewczynę do Warszawy z falsyfikatem? Po co?

- Nie wiem. Jedno z dwóch: albo go oszukali, albo on chciał kogoś oszukać. Nie obchodzi mnie to. Teraz jednak rozumiesz, dlaczego dziś w nocy zabieramy obraz z mieszkania Kordonia.

- Rozumiem. Tam jest oryginał.

- Tak. Z pewnością tam jest oryginał. Skąd Kordon go ma pozostaje jego tajemnicą, bo o ile ja wiem...„Garść wiatru” była dotychczas w posiadaniu nieznanego kolekcjonera prawdopodobnie we Francji. Widocznie Kordon kupił obraz za granicą i przywiózł. Mniejsza z tym, nas powinno obchodzić tylko jedno: jak zabrać oryginał i w jaki sposób jak najprędzej wyekspediować go do Wiednia.

- Co wtedy zrobisz z tą kopią?

„Boss” roześmiał się chytrze.

- Odczekam i sprzedam komuś jako oryginał. Interes przede wszystkim.

- Ciekawe, ile Kapsler zapłacił?

- Mam dobrych znajomych na Wybrzeżu. Dał za obraz nieco ponad sto tysięcy. Sporo, jak za falsyfikat.

- Trudno uwierzyć. Przecież on się chyba trochę zna na malarstwie, inaczej nie podejmowałby się kupna.

- Widocznie ta kopia jest świetnie zrobiona. Nie widziałem oryginału, więc trudno mi coś powiedzieć. Owszem, Kapsler ma opinię fachowca. Cóż, każdy popełnia błędy.

- Kordon chce obraz sprzedać? Wspominałeś coś o tym.

- Tak. Podczas mojej wizyty był tam pewien Brazylijczyk, Salvatore Miguelo. Pertraktowali na temat sprzedaży. Miguelo wyjechał, ma wrócić za niespełna dwa tygodnie, w tej chwili to już - za jedenaście dni. Być może wróci wcześniej. Z dolarami. Dlatego musimy się pośpieszyć.

Przed dziesiątą wieczór stawił się Mile wraz z dwoma kandydatami na włamywaczy. Mówiąc ściślej, byli to zawodowi włamywacze, chwilowo bez zatrudnienia. Chętnie podjęli się „pracy” dla „Boss’a” i jego ludzi. Znali swój złodziejski fach, lubili tego typu zlecenie, a jeszcze bardziej chcieli uszczknąć to i owo. Dopóki to nie psuło jego interesów, udawał, że o niczym nie wie. Mielich trochę krzywił się na te kontakty „Boss’a” ze światem złodziejskim, ale ten nie miał takich skrupułów.

Ci dwaj nie pierwszy raz mieli brać udział we włamaniu. Obcym „Boss” nie pozwalał do siebie przychodzić i nie pokazywał im się. Tych był pewien, znał ich od lat. Mieli pseudonimy: „Kurczę” i „Trupek”, zresztą to nie miało żadnego znaczenia. „Kurczę” był mały, chudy, zwinny, miał palce, do których lepiło się wszystko, czego dotknął, nawet „Boss”, kiedy się go spodziewał, chował co cenniejsze rzeczy do szafy na wszelki wypadek. -

„Trupek” był dość wysoki, miał krótki, ścięty nos, zapadnięte kości policzkowe i duże zęby, które odsłaniał szeroko w uśmiechu. Jego głowa istotnie przypominała trupa czaszkę. Mile go nie lubił, coś go odrzucało od tego człowieka, może nawet bał się go i nigdy nie rozmawiali w cztery

oczy, chyba że wśród ludzi. „Trupek” świetnie dawał sobie radę z wszelkiego typu zamkami i kluczami, za to „Kurczę” potrafił prześlizgiwać się przez bardzo wąskie otwory, przechodził swobodnie z balkonu na balkon, wspinał się na wysokie piętra po gzymsach i rynnach, nie rozumiał, co to lęk przestrzeni.

Weszli obaj do pokoju, ukłonili się grzecznie. „Trupek” wyszczerzył zęby i Mile odruchowo odsunął się na bok. „Boss” przywitał się z nimi, kazał usiąść, nalał po kieliszku, nie więcej. Musieli być trzeźwi.

Powiedział jasno, bez ogródek, co do nich należy. Oni orientowali się w czym rzecz, ale nie znali szczegółów. Teraz słuchali z wyteżoną uwagą, zadawali pytania i uważnie przyglądali się kartce papieru, na której był narysowany plan mieszkania Kordonia

- Mam nadzieję, że dacie sobie radę - rzekł wreszcie „Boss”

- Sie wie, szefie! - zapewnił „Trupek”. - Dziecinna robota.

- No, „Trupek”, nie bądź taki pewny. Chodzi o obraz, którego nigdy nie widziałeś, a ten facet ma w mieszkaniu niejedno malowidło. W dodatku, ten obraz może być gdzieś głęboko ukryty. Upewniłeś się czy Kordon wyjechał? - zwrócił się do Milca.

- Z całą pewnością. Dzwonił do mnie dziś rano, pytając, czy nie mam mu czegoś do zaoferowania, bo wyjeżdża na kilka dni. Spytałem, kiedy wróci, bo może mi się trafić coś ciekawego. Odpowiedział, że prawdopodobnie za trzy dni, a już na pewno, za cztery. Zresztą widziałem, jak wsiadał do swego wiśniowego Forda-mustanga, w ręku miał neseser podróżny. Teraz w domu jest ciemno, wszystkie okna pozastłaniane. Poza nim nikt inny tam nie mieszka.

- Zanim zaczniecie szukać, sprawdzisz. Lepiej dmuchać na zimne.

- Racja. O której wychodzimy?

- O pół do pierwszej. My z „Jakubem” pojedziemy kilka minut wcześniej i zaparkujemy wóz w pobliżu tej malej kawiarenki na rogu. Wy wchodziecie do domu oddzielnie, jeden zostanie na schodach. Kiedy upewnisz się, że mieszkanie jest puste, dasz krótki sygnał latarką, światło będzie widać przez zaciągnięte zasłony. W razie, gdybym zauważył coś podejrzanego, usłyszycie klakson. Zaraz potem odjedziemy, więc dobrze uważajcie. Jaki numer rejestracyjny ma Ford-mustang Kordonia?

Mile poszukał w pamięci, napisał na kartce i podał ją „Bossowi”. Ten przeczytał dwukrotnie, po czym zniszczył kartkę.

Agnieszka, jak zawsze śliczna, obojętna i nie dziwiąca się niczemu, podała kolację. Ostatnio zresztą chodziła jakby zatroskana i jeszcze bardziej nieobecna. Nie orientował się, że poznała mężczyznę, który wzbudził w niej żywe, silne uczucie. Nie nazywała jeszcze tego miłością, bo nie kochała dotąd nikogo, ale czuła, że tęskni za tym człowiekiem, potrzebuje jego serdeczności. Z dnia na dzień coraz trudniej było jej znieść obecność „Bossa”.

Tamten człowiek znajdował się po drugiej stronie bariery - w środowisku ludzi uczciwych, pracujących. Agnieszka stanęła teraz wobec problemu co powiedzieć o sobie i swej dotychczasowej przeszłości. Wiedziała, że prędzej czy później powiedzieć musi,- zanim on dowie się sam.

Nie usiadła dzisiaj do stołu z ludźmi, do których poczuła dziwną odrazę. Pokręciła się między jadalnią a kuchnią, przyniosła co trzeba, i odeszła do swego pokoju. Zorientowała się, że „Boss” szykuje nową robotę, ale nie chciała wiedzieć: jaką. Zapragnęła nagle być daleko od tego

domu, tak daleko, żeby nikt nie mógł jej nigdy odnaleźć. Nastawiła radio. Młody, ciepły głos męski śpiewał:...Bo za jedną siłą dała, druga dała...

Przymknęła oczy Czy potrafi stąd odejść? Właśnie w tę „drugą dała”, która jest zupełnie inna? Nie poznawała sama siebie, gdzie się podziała chłodna, sprytnie kalkulująca, cyniczna Agnieszka. Poczwała nagły skurcz w gardle, do oczu nabiegły łzy.

- Cholera! - szepnęła i rozplakała się.

„Trupek” obejrzał zamki, pomyślał trochę i wyjął narzędzia. Sprawował się cicho Mile i „Kurczę” przyglądali mu się, pierwszy niecierpliwie, drugi z podziwem, bo sam nie znał się na tej robocie. Dlatego najczęściej działali we dwójkę.

- Dziecinada - powiedział znowu „Trupek” i otworzył zamki bezszelestnie. „Kurczę” pozostał na schodach, nasłuchując, czy nie rozlegnie się klakson samochodu.

Mile odsunął „Trupka” na bok, chciał wejść pierwszy. Cały czas rozmyślał nad tym, jak odnaleźć obraz, aby włamywacz tego nie spostrzegł. Ale to było możliwe tylko wtedy, jeśli obraz byłby nieduży; spróbowałby go schować pod koszulę i przykryć. Widział zdjęcie, ale zapomniał spytać Kordonia o wymiary.

Wszedł do gabinetu, ostrożnie dał sygnał latarką, bo mieszkanie wyraźnie było puste, okna pozamykane z opuszczonymi zasłonami. Zobaczył, że nawet sznur od telewizora wyciągnięto z kontaktu na wypadek burzy z piorunami. Obeszli pokoje, zajrzeli do łazienki i kuchni. Pusto.

- W porządku, zaczynamy. Ty szukaj w sypialni, ja w gabinecie. Potem ja w tym małym pokoju, a ty w kuchni - wydał polecenie

„Trupkowi”.

- Dobra jest. - „Trupek” rozejrzał się po ścianach..po oszklonych regałach i cmoknął z zachwytem. - Wziąłbym coś na pamiątkę, szefie? - popatrzał na Milca i westchnął ciężko.

- Nie teraz, potem, nie trać czasu!

„Trupek” oddalił się, a Mile zaczął systematycznie przeszukiwać gabinet. Był tu już parę razy, zapamiętał wtedy każdy ruch Kordonia, który otwierał szuflady, wyciągał zdjęcia, butelkę whisky. Obejrzał wszystko i zabrał się do regałów i gablot. Wielkie masywne biurko z mnóstwem szuflad było pozamykane. Zawahał się, czy nie zawołać „Trupka”, ale zrezygnował. Małe szuflady z pewnością nie kryły obrazu. Zbliżył się do szafy, latarkę miał zawieszoną na piersi, aby ręce były wolne. Upływały minuty, ani śladu „Garści wiatru”

„Trupek” wylazł z sypialni, rozłożył ręce bezradnie.

- Nic, szefie - powiedział z żalem. - Idę do kuchni.

- U mnie też nic. Zaraz przejdę dalej.

W małym, narożnym pokoju zobaczył na podłodze dwa obrazy oparte o ścianę. Rzucił się w tę stronę, odwrócił je do światła i zaklął. Jakieś „picassy” gmatwanina kresek, kółek i trójkątów. Gdy tak się przyglądał, nagle spostrzegł, że spod drzwi gabinetu płynie ostra jasna smuga. Przyszło mu na myśl, że „Trupek” buszuje na własny rachunek. Ogarnęła go wściekłość. Już chciał krzyknąć, otworzył drzwi i stanął na progu jak wryty. Poczul zimny pot oblewający mu twarz.

W gabinecie palił się wielki żyrandol, a za biurkiem siedział w fotelu Stanisław Kordon. Przed nim leżał obraz „Garść wiatru”.

- Dobry wieczór - powiedział Kordon.

Mile był tak zaskoczony, że machinalnie odparł:

- Dobry wieczór Jak pan... Gdzie pan był?

- Jestem tutaj przez cały czas. Po prostu pan mnie nie zauważył.

- Jak.. Przecież wszędzie - umilkł, nie znajdował słów, tak to było niespodziewane.

- Nie wszędzie - zapewnił Kordon. - Zdaje się, że szukał pan „Garści wiatru”? Tutaj leży Proszę niech pan podejdzie i obejrzy sobie. To jest osłonia sposobność, nawiasem mówiąc.

Mile spojrział na obraz, ale wciąż nie mógł odzyskać równowagi. Zastanawiał się, dlaczego „Trupek” nie wychodzi z kuchni słysząc rozmowę. Może zdążył uciec. A tamci, w samochodzie? Klaksonu nie było. Jeżeli „Trupek” rzeczywiście uciekł...

- Pan go sprzedaje? - spytał, podchodząc do biurka. Ciągle był jeszcze oszołomiony niespodziewaną sytuacją.

- Nie W każdym razie nie panu.

- Prędzej już mnie - powiedział wesoło jakiś obcy głos od drzwi.

Do gabinetu wszedł mężczyzna o śniadej twarzy, bardzo jasnych włosach i oczach czarnych, podłużnych.

- My się jeszcze nie znamy, panie Mile. Jestem Salvatore Miguelo.

- Pan kupuje obraz? - „Molier” był kompletnie zdezorientowany i ogłupiały, ale przypomniało mu się, że „Boss” mówił o jakimś Brazylijeżyku.

- Ten falsyfikat? - Mężczyzna roześmiał się. - Zresztą, zaraz sobie o mm porozmawiamy, tylko...” Tak, już idą.

Zanim Mile zdążył zapytać, kto idzie, do gabinetu weszli w komplecie: „Boss”, Mielich, „Trupek” i „Kurczę”. Otaczało ich kilku

mężczyzn ubranych po cywilnemu, ale jeden z nich miał pistolet w rękę. Milca ogarnął strach. Kto to jest? - pomyślał. Pewnie ci od „Tellego”. Dowiedzieli się i zaskoczyli nas? Od kogo mogli się dowiedzieć?

- Więc tak, panowie - powiedział Kordon, podnosząc się zza biurka. - Obraz „Garść wiatru”, który spodziewaliście się tutaj znaleźć, jest falsyfikatem. Oryginału nie ma, został zniszczony podczas wojny i od dawna nie istnieje. Zostaliście oszukani przez sprytnego Anglika, wszyscy, począwszy od Kapslera, który zapłacił za niego ponad sto tysięcy, a skończywszy na panu, panie Krążkiewicz - zwrócił się do „Bossa”, który stał blady i milczący, tylko oczy pały mu wściekłością.. - Trochę dziwne, że kierownik sklepu „Antars” tak kiepsko orientuje się w światowym malarstwie.

- Ale kim wy jesteście, do diabła? - wybuchnął Mile. - Przecież, jeżeli pan - spojrzał na Kordona - jest „Tellem”, to pracujemy w jednej branży, moglibyśmy się dogadać...

- Dureń! - warknął „Boss”.

- Dlaczego? - Mile za wszelką cenę nie chciał rezygnować - Połączymy się, ja w każdym razie gotów jestem - urwał, widząc uśmiechy na twarzach Kordona i „Brazylijczyka”, Coś tu było, nie tak.

- Panie Mile, bardzo wątpię, czy pan chciałby ze mną współpracować - powiedział Kordon. - Jestem kapitanem Milicji Obywatelskiej, moje nazwisko Zawrat. A to jest major Szczęsny, żaden Salvatore Miguelo.

- Przykro nam, ale od tej chwili zaczyna się rozmowa poważna, żarty się skończyły - dodał Szczęsny. - Panie Mielich, zdążyliśmy przez ten czas odnaleźć pańską skrytkę w piwnicy. Poza wszystkim innym, powinien pan

się wstydzic, że cenne dzieła sztuki przechowywał pan w nieodpowiednich warunkach w wilgoci i brudzie, owinięte w szmaty Ale, niestety należy pan do gatunku ludzi, którym kult pieniądza przesłania wszystko.

Kiedy wychodzili „Boss” mruknął do kompanów:

- Powinienem pamiętać, o kim był serial „Kojak”.